KOLEKCJA LITERATURY KLASYCZNEJ

Charles Dickens

David Copperfield

CHARLES DICKENS

DAWID COPPERFIELD

w opracowaniu C. Niewiadomskiej

Konwersja:

NEXTO PL

KAROL DICKENS

sławny powieściopisarz angielski, urodził się w r. 1812, umarł w 1870 r. Ojciec jego był urzędnikiem marynarki ze skromną pensją, mało zajmował się dziećmi, szukając zarobku na utrzymanie rodziny. Matka, zapracowana w domu, nie umiała sobie też radzić z wychowaniem syna. Dopiero w dwunastym roku życia poszedł do szkół, lecz już w piętnastym roku pracuje u adwokata jako praktykant i uczy się stenografji, żeby więcej zarabiać. W "Dawidzie Copperfieldzie" wiele obrazów bierze z własnego życia. I on, zamiast się uczyć, pracował w fabryce szuwaksu, i on zdobył naukę dzięki własnej pracy, silnej woli i wytrwałości. Dickens pisać zaczął wcześnie, lubi malować postaci ludzkie z humorem, śmiać się bez złośliwości. Ale wyszydza pychę, egoizm, obłudę. Do najlepszych powieści należy także "Maleńka Dorrit".

Część I.
Dzieciństwo.

I. SZCZĘŚLIWE DZIECIŃSTWO

Urodziłem się — pogrobowcem.

Mój ojciec umarł, nim przyszedłem na świat, i z ogromnym smutkiem myślałem sobie nieraz, że nigdy mię nie widział!

Pierwsze moje wspomnienie o nim — to biały marmurowy kamień przy kościele, pod którym "spoczywa", jak mi powiedziano. Myślałem o nim nieraz i z dziwnem uczuciem ściskało mi się serce w ciemne wieczory zimowe, kiedy, bawiąc się z mamą w ciepłym i jasnym pokoju, mimo woli spojrzałem w okno. Jakiż samotny musiał tam być pod kamieniem, kiedy nam tutaj tak ciepło i przyjemnie. I to naprawdę straszne, że tu, w jego domu, drzwi przed nim zamknięte.

Głową rodziny, t. j. osobą najstarszą w rodzinie, była ciotka mojego ojca, a więc moja babka cioteczna, miss Betsy Trotwood (Trotuud). Babka Trotwood podobno miała burzliwe życie: wyszła za mąż za człowieka, który źle z nią postępował, a ponieważ była bardzo energiczna, więc się z nim rozstała, odsunęła się od świata i ludzi, powróciła do panieńskiego nazwiska i zamieszkała sama ze służącą w małym domku nad brzegiem morza niedaleko Duwru. W tym czasie tak obrzydli jej mężczyźni, że gdyby to od jej woli zależało, prawdopodobnie nie byłoby ich wcale na świecie.

Ojciec w młodym wieku był jej ulubieńcem: po części go wychowała i kochała jak syna, lecz w zamian wymagała posłuszeństwa. Kiedy się dowiedziała, że ojciec wbrew jej woli ożenił się z mamą, była obrażona śmiertelnie i zerwała z nim wszelkie stosunki. Mamy nie znała, nie widziała nigdy, lecz nazwała ją dzieckiem, woskową laleczką, ponieważ miała wtedy dopiero lat 18, złote włosy, błękitne oczy i niezmiernie łagodny wyraz twarzy.

Ojciec od mamy był dwa lata starszy, ale wątły, słabego zdrowia i w rok po ślubie umarł. Wtedy mama została samiuteńka jedna, bo nikogo z krewnych nie miała.

Pewnego dnia w marcu, przed mojem jeszcze urodzeniem się, siedziała mama smutna w bawialnym pokoju i często podnosiła do oczu chusteczkę. Była naprawdę dzieckiem, nie miała w charakterze takiej siły i stanowczości, jak ciotka, więc czuła się strasznie samotną, opuszczoną i nieszczęśliwą. Zdawało jej się, że chyba też umrze, bo jakże iść przez życie samej jednej między obcymi?

Wtem w ogrodzie spostrzegła nieznaną osobę: wysoką, szczupłą damę w ciemnym stroju, zmierzającą stanowczym krokiem ku drzwiom.

Mama tak się przelękła, że się schowała za krzesło, lecz służąca wpuściła ciotkę, bo to była miss Betsy Trotwood, i otworzyła jej drzwi do pokoju, gdzie znajdowała się mama.

Ciotka objęła pokój badawczem spojrzeniem i naturalnie zaraz spostrzegła mamę za fotelem. Skinęła, aby zbliżyła się do niej, lecz jej zsunięte czoło i przenikliwe oczy tak przerażały mamę, że zaledwie mogła stać o własnej sile.

— Zapewne pani Copperfield? — spytała chłodno, a gdy mama skinęła głowę, dodała: — Jestem Betsy Trotwood, musiałaś pani słyszeć o mnie?

Mama nie mogła dłużej wstrzymać się od płaczu i szlochała, zasłoniwszy twarz rękami.

Ciotka kilkakrotnie potrząsnęła głową, ruszyła ramionami i, ująwszy mamę za ramię, posadziła ją znowu na krześle przy ogniu, który palił się na kominku.

— Oj, dziecko, dziecko — mówiła łagodnie — potrzebne ci to było? Do lalek w twoim wieku? Ale nie płacz, to się już na nic nie zda.

Mama jednak nie mogła uspokoić się tak od razu, a gdy na koniec odsłoniła oczy, ujrzała ciotkę, stojącą przy oknie i patrzącą w ogród, gdzie wiatr wiosenny zginał jeszcze nagie gałęzie wiązów, a zachodzące słońce rozpalało w chmurach żółte i czerwone blaski.

Mama nie śmiała poruszyć się z miejsca, zmrok zapadał z wolna, ogarniała ją dziwna trwoga.

Nagle miss Trotwood odwróciła się od okna i spojrzała z litością na bladą twarz mamy.

— Jesteś chora, moje dziecko — przemówiła. — Tu jest zimno i zziębłaś. Naturalnie, ręce jak lód. Trzeba zawołać służącej, żeby ci przyniosła gorącej herbaty. Jak się nazywa?

— Peggotty — słabym głosem wyszeptała mama. — To mi nic nie pomoże. Zdaje mi się, że muszę umrzeć.

— Głupstwo — powiedziała energicznie ciotka — Herbata cię rozgrzeje. A co do Peggotty, nie słyszałam, jak żyję, podobnego imienia pomiędzy chrześcijanami.

Mama zaczęła się usprawiedliwiać.

— Dawid ją tak nazywał, bo ma imię moje, ale teraz…

— Głupstwo — powtórzyła ciotka — wszystko jedno. Herbata zrobi ci dobrze i będę mogła wreszcie rozmówić się z tobą, w jakim celu tu przyjechałam.

To powiedziawszy, wezwała Peggotty, kazała jej podać szklankę gorącej herbaty, sama poprawiła przygasający ogień i, zająwszy miejsce naprzeciw mamy, czekała aż się uspokoi.

— Przyjechałam dlatego… — zaczęła na koniec. — Wiem, że spodziewasz się córeczki.

— Może synka — szepnęła mama bardzo cicho.

— Nie spieraj się — rzekła miss Betsy — będzie córka. Otóż chcę ci powiedzieć, że od chwili urodzenia biorę ją pod opiekę. Będę jej chrzestną matką, dam jej swoje imię i będzie się nazywała Betsy Trotwood Copperfield. Uważam ją za swoje dziecko i niczego wam odtąd nie zabraknie. Naprawdę to będę miała aż dwie córki.

— A jeśli będzie chłopczyk? — zapytała mama.

— Widzę, że lubisz się sprzeczać — odezwała się ciotka surowo. — Czy i z Dawidem tak postępowałaś?

Na te słowa mama wybuchnęła płaczem i płakała tak strasznie, że zrobiło jej się słabo, a wezwana Peggotty uznała za najlepsze położyć ją do łóżka.

W parę godzin potem byłem już na świecie. Ciotka oczekiwała mnie z niepokojem i zdaje się z niecierpliwością.

— Jakże mała? — było jej pierwsze pytanie, gdy głos mój usłyszała.

— Mały zdrów — rzekła wesoło Peggotty — tęgi chłopak. Będzie pociecha dla pani.

Ciotka spojrzała na nią dziwnym wzrokiem. Następnie, nic nie mówiąc, włożyła kapelusz, płaszczyk, rękawiczki, otworzyła drzwi do ogrodu, wyszła i zniknęła, jakby jej nigdy nie było. Obraziła się, że przyszedłem na świat, i nie chciała mnie nawet widzieć.

Odtąd nie pokazała się więcej. Nie wiedziałbym o jej istnieniu, gdyby najpierw Peggotty, a następnie mama nie opowiedziała mi tego wszystkiego. Biegły lata i życie płynęło nam cicho, może nawet szczęśliwie, o ciotce nie myśleliśmy zupełnie, po prostu zapomnieliśmy o niej.

Inne wspomnienia zarysowały się w mojej pamięci, niby obrazy, które gdzieś widziałem. Najdawniejszy z nich tak wygląda.

Na podłodze w dużym pokoju klęczą czy siedzą niedaleko od siebie dwie postaci: mama i Peggotty, a ja przebiegam od jednej do drugiej. Mama trzyma mię z tyłu za sukienkę, a Peggotty woła i wyciąga ręce. Potem Peggotty trzyma, a mama mię woła i uśmiecha się tak prześlicznie.

Bardzo dobrze pamiętam mamę i Peggotty tak niepodobne, że mogłem je zawsze odróżnić z daleka. Mama szczupła, wysoka, bardzo biała, z masą złotych włosów wysoko na głowie i słodkiemi, jak niebo błękitnemi oczami, a Peggotty niska, bardzo gruba, twarda, z czerwoną twarzą i rękami; jej bardzo czarne oczy zdawały się rzucać jakiś cień na twarz, bardzo czarne włosy, nisko w tyle głowy upięte, miały połysk granatowy.

Pamiętam i nasz dom tak doskonale, że mógłbym narysować każdy pokój. W suterenie była kuchenka Peggotty, z wyjściem na podwórze, gdzie znajdował się gołębnik bez gołębi i psia buda bez psa. Zato było tu dużo drobiu, a kury wydawały mi się

groźnemi i ogromnemi ptakami. Gdakały, jeśli im stanąłem na drodze, a jeden wielki kogut wzlatywał aż na płot i patrzył na mnie w sposób bardzo podejrzany. Gęsi znowu, przechodząc niekiedy za płotem, wyciągały zawsze ku mnie długie szyje, i nieraz potem śniły mi się w nocy, niby dzikie zwierzęta, któremi byłem otoczony.

Z kuchenki do pokoju przebiegałem zawsze przez bardzo długi, półciemny korytarz, na którego końcu znajdowała się spiżarnia, miejsce tajemnicze i pełne ponęty, bo mama i Peggotty zawsze tam znalazły dla mnie jakiś wyborny przysmaczek, choć nie chciały mi nigdy opowiedzieć, co chowały we wszystkich pudełkach i skrzynkach, poustawianych na półkach pod ścianą.

Przez frontowe wejście prosto z długiej sieni na prawo i na lewo były bawialne pokoje: jeden, w którym codziennie spędzaliśmy wieczory z mamą i Peggotty, która wciąż była z nami, jak tylko skończyła robotę, a drugi paradniejszy, "od święta i gości". Ale tam było smutniej. Peggotty mi opowiedziała, że tutaj leżał w trumnie tatuś, kiedy umarł, i wszystko było czarne i żałobne, i wszyscy w czarnych sukniach, kiedy go wyprowadzali na cmentarz.

Bałem się tego obrazu, ale powracał często i zawsze wtedy czułem, jak dreszcz zimny przesuwał mi się po plecach wzdłuż ciała.

Mój pokoik był obok pokoju mamy, a przez okno widziałem cmentarz przy kościele. I dotąd zdaje mi się, że nigdzie na świecie niema takiej zielonej trawy, takich drzew cienistych i takiego spokoju pod białemi krzyżami.

Widać też było kościół. Pamiętam w kościele naszą ławkę z wysokiem oparciem i tuż obok okno, przez które mogłem widzieć nasz dom caluteńki. Peggotty co chwila patrzała w to okno, czy tam nie kradnie złodziej lub czy się nie pali, lecz jeśli ja to samo chciałem zrobić, marszczyła zaraz czoło i dawała mi znaki, żebym zwrócił oczy na księdza. Ale przecież nie mogłem patrzeć na księdza ciągle. Wiedziałem, że nie zawsze bywa tak ubrany, i myślałem, że się rozgniewa, dlaczego tak mu się

przyglądam. A gdyby mię zapytał o to przy wszystkich ludziach? Więc odwracałem oczy i musiałem ziewać, choć wiedziałem, że to źle ziewać w kościele. Spoglądam na mamę, lecz mama udaje, że mnie nie widzi, spoglądam w drzwi otwarte i widzę barana, prawdziwego barana, który się namyśla, czy może zajrzeć do kościoła.

Tak mi się strasznie nudzi, że chciałbym koniecznie coś zrobić, i boję się, że powiem co głośno. Przyglądam się ścianom i białym tablicom, oczy takie zmęczone, że zamykam je na chwilę, słyszę głosy i śpiewy, potem wszystko cichnie, i nagle spadam z ławki z okropnym łoskotem.

Peggotty mię porywa i wynosi na wpół żywego ze strachu.

A teraz patrzę na dom nasz od drogi: okna otwarte, i białe firanki lekko się poruszają, a świeże i słoneczne powietrze napływa do chłodnego pokoju. Na wysokiem drzewie kołysze się wielkie, opuszczone gniazdo.

Ale weselej jeszcze z tamtej strony, gdzie jest podwórko z pustym gołębnikiem i psią budą, zamknięte wysokim parkanem i ogromną kłódką przy bramie. Tu na drzewach takie owoce, jakich nigdy w życiu nigdzie potem nie widziałem, a mama z koszyczkiem chodzi pomiędzy grządkami i zbiera pyszny agrest albo zrywa śliwki. Stoję przy niej i czasem — prawie nieumyślnie — ściągam słodką jagodę i staram się zjeść ją nieznacznie.

To znów minęło lato, wicher i zimno na świecie, drzewa straciły liście, stoją nagie, a w bawialnym pokoju płonie ogień na kominku, i mama tańczy ze mną, póki jej sił nie zabraknie.

Potem pada na krzesło tak strasznie zmęczona, że nie może oddychać, a ja patrzę na nią, i widzę, że jest śliczna, i wiem, że się z tego cieszy. Rozsypały jej się śliczne złote włosy, bawi się niemi i zwija je w palcach.

Takie są najwcześniejsze moje wspomnienia. Nie pamiętam, kiedy zacząłem się uczyć, lecz przypominam sobie potem lekcje z mamą, które były bardzo przyjemne, ponieważ czytaliśmy bardzo ciekawe książki. Nie wiem, czy dobrze się uczyłem, ale mama miała zawsze twarz łagodną i nie gniewała się nigdy.

Była zresztą tak dobra, że nie mogę nawet wyobrazić jej sobie rozgniewaną.

Oboje baliśmy się trochę Peggotty i zwykle ulegaliśmy jej żądaniom. Widzę teraz i rozumiem, że była nie tylko moją, ale naszą opiekunką, i przywykliśmy jej słuchać.

Był wieczór i już późno. W bawialnym pokoju siedziałem sam z Peggotty i czytałem jej o krokodylach. Musiały to być rzeczy bardzo zajmujące, gdyż pamiętam, że słuchała mię z dziwną uwagą, czoło miała zmarszczone, brwi zsunięte i twarz pochmurną, a oczy tak daleko gdzieś wpatrzone, jak gdyby tam w przestrzeni widziały straszliwego krokodyla.

Od niejakiego czasu mama wychodziła dość często wieczorami do znajomych, i widziałem, że Peggotty nie jest z tego zadowolona. Więc chciałem ją zabawić, czytając głośno piękne książki, ale dziś byłem jakoś okropnie zmęczony i śpiący. Oczy mi się kleiły i ledwo już mogłem usiedzieć na swojem wysokiem krzesełku, a jednak za nic w świecie nie byłbym spać poszedł, nie doczekawszy się powrotu mamy. W końcu senność ogarnęła mię do tego stopnia, że Peggotty zaczęła powiększać mi się w oczach, i przybierać ogromne kształty.

Przezwyciężyłem wielką ociężałość i zacząłem palcami otwierać powieki. Widziałem ją przed sobą, pochyloną nad cerowaniem przy blasku woskowej świecy. I nagle przyszła mi do głowy myśl dziwna.

— Peggotty — rzekłem — czy ty miałaś męża?

— W imię Ojca i Syna! — krzyknęła Peggotty, cofając się przede mną. — A tobie znowu co przyszło do głowy?

Krzyknęła tak głośno, że rozbudziłem się zupełnie i tem bardziej pragnąłem zaspokoić swoją ciekawość.

— Powiedz mi — powtórzyłem — czy nie miałaś męża? Przecie jesteś piękna kobieta.

— Nie mam męża i nie miałam, dzięki Bogu — odpowiedziała szorstko. — Skąd ci do głowy przyszły takie myśli?

— Nie wiem, ale mi powiedz: czy każda kobieta może mieć tylko jednego męża?

— Spodziewam się — odpowiedziała.

— A jeśli ten umrze? Czy może wziąć sobie drugiego?

— Jak jej się podoba — mruknęła niechętnie, ruszając ramionami.

Nagle pochyliła się ku mnie, odłożyła na bok pończochę, którą cerowała, objęła moją głową i mocno przycisnęła do siebie. Wiem na pewno, że uścisnęła mię mocno, bo zwykle przy silniejszym ruchu odrywały się z lekkim trzaskiem guziki u jej stanika, zapinanego z tyłu. I teraz usłyszałem najwyraźniej dwa lekkie prztyczki przy staniku.

— Poczytajże mi o tych krokodylach — powiedziała, biorąc na nowo pończochę. — Taka jestem ciekawa.

Nie bardzo rozumiałem, z czego dziś Peggotty jest niezadowolona, dlaczego mię ściska, a potem znowu pragnie słuchać o krokodylach, ale zacząłem czytać. Nie wiem, czy trwało to długo, lecz skończyliśmy już o krokodylach i zacząłem nowy rozdział o aligatorach, gdy u furtki ozwał się dzwonek.

Pobiegliśmy otworzyć. Weszła mama, a za nią jakiś pan wysoki, z bardzo pięknemi czarnemi włosami i brodą po obu stronach twarzy. Widziałem go już w niedzielę, bo nas odprowadzał z kościoła do domu. Mama wyglądała ślicznie. Uśmiechnęła się do mnie, objęła serdecznie i ucałowała mię w czoło i w głowę. Obcy pan patrzył na to z jakimś dziwnym uśmiechem i powiedział, że jestem szczęśliwszy od króla, czy coś tam podobnego.

— Dlaczego? — zapytałem, patrząc przez ramię mamy. Poklepał mię po głowie, a ponieważ z tego powodu ręka jego dotknęła włosów mamy, więc cofnąłem się przed nim żywo.

— Dewi! — szepnęła mama jak gdyby z wyrzutem.

— Kochany chłopiec — rzekł gentleman głośno. — Wcale mu się nie dziwię.

Twarz mamy stała się jeszcze piękniejsza i taka różowa, jak nigdy przedtem nie widziałem. Powiedziała mi słodko, że jestem niegrzeczny, że nie trzeba być takim, ale jednocześnie tuliła mię do siebie i czułem jej serdeczny uścisk. Potem

odwróciła się znów do obcego, przepraszała i dziękowała, że miał z nią tyle kłopotu, i mówiąc: dobranoc, podała mu rękę.

Gentleman pochylił głowę w odpowiedzi i znowu spojrzał na mnie jakimś dziwnym wzrokiem.

— Dobranoc, chłopcze — rzekł bardzo uprzejmie.

— Dobranoc — odpowiedziałem.

— Podaj mi rękę i bądźmy odtąd przyjaciółmi. Ponieważ prawą rękę miałem w dłoni mamy, więc podałem mu lewą.

— O, tak nie można, Dewi! — zaśmiał się jegomość. Mama puściła zaraz moją rękę, ale się uparłem postawić na swojem i podałem mu lewą.

Potrząsnął nią mocno, nazwał mię dzielnym zuchem i, raz jeszcze pożegnawszy nas ukłonem, skierował się do furtki i wyszedł na ulicę.

Peggotty natychmiast przekręciła głośno klucz w zamku, a ja z mamą weszliśmy do pokoju.

Lecz mama nie usiadła dzisiaj przy kominku i nie wzięła mię na kolana, wypytując, co robiłem przez ten wieczór, tylko chodziła, nucąc, jakby o mnie zapomniała.

Wtem weszła Peggotty z zapaloną świecą i stanęła naprzeciw mamy. Zdawało mi się, że patrzy tak na nią, jakbyśmy zbroili co złego. Przypomniałem sobie, że jest bardzo późno, i to prawda, że powinniśmy spać oboje.

W tej samej chwili oczy jakoś mi się zamknęły, uczułem, że zasypiam, że mi bardzo wygodnie na niskim fotelu, ale słyszałem ciągle głosy rozmawiających.

Nagle — nie wiem dlaczego — obudziłem się zupełnie. Spojrzałem na mamę, miała twarz, zalaną łzami, — spojrzałem na Peggotty, łzy jej płynęły po twarzy.

— Nie taki, o, nie taki! — powtarzała głośno, łkając i z trudem wymawiając słowa. — Grzech, nieszczęście, krzywda dziecka!

— Boże! — jęknęła mama, chwytając się za głowę. — Ja doprawdy zwarjuję. Jakiem prawem tak do mnie mówisz? Jestem zupełnie sama na tym świecie, nikt się za mną nie ujmie i dlatego… i dlatego…

— Dziecko — szepnęła łagodniej Peggotty. — Kto ma dziecko, sam nie jest i nie może myśleć o sobie.

— A więc jestem złą matką? — zapytała mama. — Przebaczam ci, Peggotty, boś niesprawiedliwa przez miłość dla niego, ale jesteś niesprawiedliwa. Mój Boże, ileż nocy przepłakałam, myśląc, jak ja potrafię go wychować sama jedna, niedoświadczona. Chłopiec potrzebuje ojca, rzecz wiadoma. Ja potrzebuję także opiekuna, oboje go potrzebujemy i bardzo.

— Nie takiego, nie takiego! — zaczęła znów głośno i łkając Peggotty.

Mama wybuchnęła płaczem i ja także.

Wtedy mama przypomniała sobie, że tu jestem, i rzuciła się ku mnie. Objęła mię mocno, tuliła do siebie, czułem łzy jej na swojej twarzy, a pośród łkań szeptała słodkie słowa.

— Zła jestem matka, Dewi? Za mało cię kocham? Powiedz, czy to prawda? Czy Peggotty kocha cię więcej ode mnie?

Oburzyłem się na to i zerwałem z krzesła, Peggotty wykonała ruch taki, jakby chciała rzucić na ziemię lichtarz z zapaloną świecą, lecz postawiła go tylko na stole, zbliżyła się do mamy, wzięła mię z jej kolan, zaniosła na górę i, zapewne, rozebrała i położyła do łóżka, ale tego już nie pamiętam.

Jeszcze coś mię zbudziło, otworzyłem oczy i ujrzałem nad sobą pochyloną twarz mamy. Siedziała zapłakana i patrzyła na mnie, jej ręka dotykała mojej głowy i spoczywała na ramieniu.

Uczułem się bardzo szczęśliwy.

Nie pamiętam dobrze, ile czasu upłynęło, zanim ujrzałem znowu gentlemana o czarnych włosach, wiem tylko, że to była znów niedziela. Odprowadził nas z kościoła do domu, bo chciał zobaczyć prześliczną geranję, która zakwitła w oknie. Zdawało mi się jednak, że za mało ją podziwiał, chociaż namówił mamę, żeby ułamała dla niego jeden kwiatek.

To mi się nie podobało. Byłem o niego zazdrosny i nic mu odtąd nie wierzyłem, bo powiedział, że ten kwiatek ułamany będzie mu do końca życia przypominał piękną niedzielę. Choć byłem małym chłopcem, ale już rozumiałem, że kwiatek najdalej za parę dni zwiędnie, a pogoda także nie była zbyt

piękna. Doprawdy, mama jest zanadto dobra, udając przez grzeczność, że wszystkiemu wierzy.

On był z tego zadowolony i przychodził do nas dość często, a jeżeli nie przyszedł, spędzałem wieczory sam z mamą, bo Peggotty teraz miała ciągle jakieś zajęcie i rzadko do nas przychodziła.

Za to mama wtedy była taka dobra. Czytywaliśmy razem, mama mi opowiadała jakieś prześliczne historje. Mówiła, że chciałaby, żebym był bardzo mądry. Że mężczyzna musi być mądry i dzielny, bo jest opiekunem kobiety. Że nikomu, nikomu nie powinienem wierzyć, gdyby mi mówił, że ona mię nie kocha.

Jakże mógłbym uwierzyć takiej rzeczy?

Pewnego dnia w jesieni byłem z mamą w ogrodzie od ulicy, kiedy zobaczyliśmy pana Murdstone konno. Zatrzymał się przy furtce, pocałował mamę w rękę i powiedział, że jedzie obejrzeć yacht czyli mały statek swego przyjaciela, i jeśli mama pozwoli, zabrałby mię z sobą. Mogę siedzieć przed nim na siodle.

Dzień był ciepły i piękny, nigdy jeszcze w życiu nie jechałem konno na siodle, więc miałem ogromną ochotę, a mama chętnie zezwoliła.

Pobiegłem do Peggotty, żeby się trochę przebrać i przyczesać, a pan Murdstone z mamą spacerowali tymczasem po alei, w pobliżu furtki, oczekując mego powrotu,

Peggotty była jakoś w złym humorze, nie bardzo delikatnie przyczesała mi włosy, nie mogła znaleźć szczotki, żeby oczyścić ubranie, w końcu jednak wyrwałem się uszczęśliwiony i pobiegłem znowu do furtki.

Za chwilę z wolna jechałem ulicą, oglądając się jeszcze na mamę.

Było mi bardzo dziwnie siedzieć przed panem Murdstone i od czasu do czasu odwracałem głowę, aby na niego spojrzeć. Jego bardzo czarne oczy wydawały mi się dziwne, jakby puste, ale musiałem przyznać, że jest bardzo piękny. Miał świeżą cerę, rysy regularne, prześliczne czarne włosy, brwi prawie zrośnięte i purpurowe usta.

Nad morzem zatrzymaliśmy się przed zajazdem, pan Murdstone oddał konia człowiekowi, a sam wszedł ze mną do pokoju, gdzie czekało na niego dwóch przyjaciół.

Palili cygara i byli otoczeni dymem, lecz ujrzawszy pana Murdstone, podnieśli się z hałasem i witali go głośnemi okrzykami.

— Myśleliśmy, że już nie żyjesz!

— Za wcześnie, moi drodzy.

— Cóż to za kota znalazłeś po drodze?

— To Dewi Copperfield — uśmiechnął się mój opiekun.

— Aha — mruknął z nich jeden — mniej potrzebny dodatek do czarującej wdowy?

— Ostrożnie! — rzekł pan Murdstone. — Są tu ciekawe uszy.

— Gdzie? — spytał obcy, rozglądając się po ścianach i suficie.

I ja także spojrzałem w górę, gdyż zrobiło mi się nieprzyjemnie.

— Janka z Sheffield — rzekł pan Murdstone.

Obaj panowie wybuchnęli śmiechem, a ja doznałem ulgi, gdyż przedtem zdawało mi się, że rozmawiają o mnie. Daleko wolę przecież, że o Janku.Śmieli się obaj długo i podawali mi ręce, potrząsając moją bardzo mocno, wreszcie jeden zapytał:

— A cóż Janek mówi o tym interesie? Czy bardzo zachwycony?

— Wątpię — odrzekł pan Murdstone — ale to rzecz przyszłości. Obecnie, zdaje mi się, niewiele rozumie.

Znowu śmieli się głośno. Jeden z nich zadzwonił i służący przyniósł na tacy biskwity, szklanki i butelkę. Nalali dla mnie także i bardzo mi smakował słodki napój! Podniosłem swoją szklankę i zawołałem głośno:

— Niechaj zwiędną ciekawe uszy Janka!

Wszyscy podnieśli szklanki i zrobiło się bardzo wesoło. Udaliśmy się wreszcie na pokład prześlicznego yachtu.

Pan Murdstone z przyjaciółmi zamknęli się w kajucie i czytali jakieś papiery, a ja zostałem na pokładzie z chłopcem, który miał dużą głowę, rude włosy i grube niebieskie ubranie, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Oprowadzał mię wszędzie,

pokazywał wszystko, o co go zapytałem, ale nie zawsze mogłem zrozumieć, co mówił.

Wróciliśmy do domu dopiero wieczorem, pan Murdstone zasiadł z mamą przy kominku, a ja poszedłem na herbatę, do Peggotty, opowiadałem jej długo o yachcie i wreszcie znalazłem się w łóżku.

Mama przyszła, zanim usnąłem, i chociaż bardzo mi się spać chciało, znów kazała sobie opowiedzieć wszystko, co widziałem i słyszałem na wycieczce. Zapewne byłem senny i źle opowiadałem, bo mię nie rozumiała i kazała sobie powtarzać to samo, wkońcu ucałowała mię serdecznie.

Wydaje mi się, jakby to było nazajutrz, ale prawdopodobnie było znacznie później.

Znów siedzieliśmy we dwoje z Peggotty w bawialnym pokoju, gdyż mama poszła na wizytę. Ona cerowała przy świecy pończochy, a ja czytałem jej o krokodylach albo, bardzo być może, o innych jakich potworach. Peggotty, jak zawsze, słuchała uważnie i spostrzegłem, że często wpatruje się we mnie z otwartemi ustami, jakby miała co powiedzieć lub zapytać. Ale nic nie mówiła, więc czytałem dalej, przyjemnie podniecony jej uwagą.

— Dewi — zaczęła wreszcie, opuszczając pończochę na kolana — cobyś powiedział na to, żebyśmy się we dwoje wybrali na wycieczkę na parę tygodni? Moglibyśmy pojechać do brata mego, do Yarmouth, nad morzem. To byłaby przyjemność.

Patrzyłem na nią ogromnie zdziwiony, chęci mi nie brakowało, ale… ale… —

— A jaki jest ten brat twój? — zapytałem.

— Oh! — odparła Peggotty, wznosząc w górę oczy i ręce. — To jest najlepszy człowiek, jaki może być na świecie. A oprócz tego jest tam przecie morze, statki, łódki, rybacy, bawiłbyś się z Chamem.

Cham to był jej bratanek.

Propozycja Peggotty była tak olśniewająca, że nie śmiałem wierzyć, aby się ziścić mogła. Zrobiło mi się ogromnie gorąco, ale pomyślałem o mamie. Czyby mię puściła z Peggotty?

— Mama nie pozwoli — odezwałem się, tłumiąc westchnienie.

— Kto wie — odparła, lekko ruszając ramionami, z dziwnym wyrazem twarzy. — Chcesz, to zapytam, jak tylko powróci dziś jeszcze.

Przeraziłem się prawie tym pośpiechem.

— Dobrze — rzekłem niepewnym głosem. — Ale cóż się stanie z mamą? Nie może tu być sama w pustym domu.

Peggotty bardzo długo i uważnie oglądała pończochę, wsuniętą do cerowania na rękę, zdawało się, że koniecznie chce w niej znaleźć dziurę.

— Czy słyszysz? — powtórzyłem. — Mama nie może przecież zostać sama.

— Po cóż ma zostać sama? — odezwała się wreszcie Peggotty. — Może się także wybrać na wizytę. Tyle ma znajomych.

— To prawda! — zawołałem. — Jeśli mama zechce, jeśli mama pozwoli… Ach, to będzie dopiero prawdziwa przyjemność!

Naturalnie musiałem czekać, aż powróci, aby tę sprawę załatwić od razu, i chyba jeszcze nigdy nie oczekiwałem jej z takiem upragnieniem.

Nadeszła wreszcie i pozwoliła od razu, nie okazując nawet wielkiego zdziwienia. Byłbym się nad tem może zastanowił, gdyby projekt wycieczki nie pochłonął mię tak całkowicie, gdybym mógł jeszcze myśleć o czem innem.

Wszystko układało się tak dziwnie prędko. Mama dała pieniądze na moje życie i podróż, Peggotty układała w niewielkiej walizce moję suknie i bieliznę, obuwie, wszystko to było takie niezwyczajne, nowe. Nazajutrz zrana mieliśmy wyjechać i dużobym dał za to, żeby mi pozwolili tę noc ostatnią przespać w ubraniu i butach.

Kiedy dziś o tem myslę, doznaję dziwnego uczucia, że mi tak pilno było rozstać się z drogą mamą i kochanym domem, porzucić całe szczęście lat dziecięcych, które tu upłynęły niby dzień pogodny, i nie miałem przeczucia, iż żegnam to wszystko na zawsze.

Mieliśmy jechać pocztą i pierwszy spostrzegłem, że konie stanęły przed domem. Peggotty wyniosła natychmiast walizki, ja pożegnałem mamę i usiadłem prędko na siedzeniu. Ale mama stanęła obok przy powozie i wyciągnęła do mnie obie ręce. Spostrzegłem, że ma łzy w oczach, i wybuchnąłem płaczem. Mama płakała także.

Wreszcie konie ruszyły. Obejrzałem się jeszcze: mama stała przed domem. Znowu wyciągnęła ręce i zawołała tak głośno, że woźnica stanął. Przybiegła do nas i okryła mię pocałunkami.

— Dewi, mój drogi Dewi! — powtarzała. — Mama cię kocha bardzo.

Na koniec ruszyliśmy. Jeszcze raz się obejrzałem i ze zdziwieniem spostrzegłem obok mamy pana Murdstone. Coś do niej mówił, rozkładając ręce, i nie wiem, dlaczego przyszło mi do głowy, że mówi o mnie i że jest tego zdania, iż nie powinna płakać z powodu mego wyjazdu.

— Co mu do tego? — pomyślałem sobie, zdziwiony jego obecnością, i zrobiło mi się dziwnie nieprzyjemnie.

Peggotty też spojrzała za siebie i musiała wykonać jakiś ruch gwałtowny, bo słyszałem kilkakrotny trzask guzików, odrywających się od jej stanika.

II. ROZKOSZNA WYCIECZKA.

Był to chyba najleniwszy koń na świecie ten, którym jechaliśmy, — szedł ze spuszczoną głową, i nic go to nie obchodziło, że ktoś się niecierpliwi i chciałby prędzej być u celu. Woźnica mówił, że on słucha tylko bata, lecz prawdę mówiąc, i ten nasz woźnica był najzupełniej podobny do konia. Tak samo zwiesił głowę i zdawał się drzemać, właściwie nie wiem, po co on siedział na koźle, bo tak samo jechalibyśmy i bez niego.

Na pociechę Peggotty miała duży koszyk, pełen wybornych rzeczy. Trzymała go na kolanach i otwierała często, bo inaczej doprawdy trudno by było wytrzymać. Myślałem, że jej ciężko z takim dużym koszem, ale odpowiedziała, że nie jedziemy przecież do Londynu, i stąd się domyśliłem, że w drodze do Londynu wszystko cięży daleko więcej.

Przez tego konia często drzemaliśmy. Wtedy Peggotty opierała czoło o pokrywkę koszyka i chrapała tak głośno, że byłbym temu nigdy nie uwierzył, gdybym nie słyszał sam, na własne uszy.

Stawaliśmy też często w przydrożnych zajazdach i to wszystko tak mię zmęczyło, że byłem zadowolony, kiedy wreszcie z daleka ujrzeliśmy Yarmouth.

Objąłem wzrokiem wielką piaszczystą równinę, ciągnącą się wzdłuż morza gdzieś bez końca, i mimo woli nasunęły mi się wątpliwości, czy rzeczywiście ziemia jest taka kulista, jak piszą w geografji. Może ten pan nie widział Yarmouth? Albo — chyba że tu jest może biegun?

Peggotty nie mogła mi tego wytłumaczyć.

Im bardziej zbliżaliśmy się do miasteczka, tem wyraźniej w niem widziałem wiele braków i nie kryłem tych spostrzeżeń przed Peggotty. Mojem zdaniem, byłoby lepiej odsunąć trochę

domy od wybrzeża i odgrodzić od wody jakim murem lub wałem. Lecz Peggotty odpowiedziała mi z żywością, że trzeba przyjąć rzeczy tak, jak są, a oprócz tego wiadomo, że Yarmouth jest najpiękniejszem miastem w świecie, o czem każdy powinien wiedzieć.

Zastanowiłem się nad jej słowami i, wjechawszy w ulice miasta, zacząłem zmieniać zdanie. przede wszystkiem uczułem mocny zapach ryby i smoły, potem otoczył mię ruch nadzwyczajny. Kręcili się majtkowie w swoich niezgrabnych sukniach, turkotały wozy po nierównym bruku, a ponieważ słońce świeciło, więc wesołość panowała nadzwyczajna.

Wyraziłem szczerze swój zachwyt Peggotty i przyjęła go z zadowoleniem.

— Otóż Cham na nas czeka — powiedziała, zatrzymując się przed gospodą, gdzie stał wysoki chłopiec z kędzierzawą głową i bardzo szerokiemi ramionami.

Zdziwiłem się, że mię poznał i powitał mojem imieniem, chociaż go nie widziałem nigdy w życiu, bo nigdy nie był w naszym domu. Ale zaprzyjaźniłem się z nim bardzo prędko, zwłaszcza gdy mię posadził na swoich szerokich ramionach. Miał na sobie płócienną bluzę i takie sztywne spodnie, że mogły same stać, choćby w nich nóg nie było. Nie będę już nic mówił o jego kapeluszu, który nosił nie na głowie, ale na bardzo bujnych pokręconych włosach. To wszystko utwierdzało mię w powziętem przekonaniu, że Yarmouth jest miasteczkiem pełnem osobliwości, i zasługuje na uznanie świata.

Cham, niosąc mię na plecach, dźwigał jeszcze w ręku walizkę, a Peggotty szła obok niego z drugim naszym pakunkiem. Mijaliśmy ulice pełne ruchu i ujrzeliśmy na koniec przed sobą tylko ogromne morze i puste wybrzeże.

— Oh, i nasz dom! — wesoło rzekł Cham, ruszając głową. Spojrzałem w tym kierunku, jak mogłem najdalej na pustkowie, na morze, znowu na brzeg, lecz domu nie widziałem nigdzie ani śladu. Był tylko jakiś statek, zagrzebany w piasku, z długą rurą zamiast komina, lecz nic więcej przed sobą nie widziałem, nic nie przypominało ludzkiego mieszkania.

— Gdzie dom? — spytałem Chama. — Widzę tylko okręt na piasku.

— To właśnie — odparł chłopiec. — Tu mieszkamy.

Gdyby stanął przede mną pałac Alladyna z "Tysiąca i jednej nocy", nie mógłbym być nim więcej zachwycony. Więc tu będziemy mieszkać, w tym okręcie? Co za rozkosz! Wydał mi się cudowny i prześliczny.

Bo czyż można wymyślić coś zabawniejszego: mieszkanie w okręcie na ziemi. Były tam małe drzwiczki od ziemi aż do dachu i maleńkie okienka w ścianach, ale rzecz najważniejsza, że to był prawdziwy okręt, który niegdyś pływał po morzu i nie spodziewał się wcale, że będzie kiedyś ludzkiem mieszkaniem na lądzie.

W środku było nadzwyczajnie czysto i tak miło, jak tylko można sobie wyobrazić. Stół stał na środku, pod ścianą komoda, w górze przybity zegar, a na komodzie oparta o ścianę taca malowana: jakaś pani w ogrodzie, z parasolką, i chłopczyk, biegnący za kółkiem. Przed tacą położona była gruba biblja, pewno dlatego, żeby nie mogła upaść, bo potłukłaby wszystkie kubki i spodeczki, ustawione dokoła na komodzie. Na ścianach wisiały prześliczne obrazy z Pisma świętego: Abraham w czerwonej sukni i Izaak w niebieskiej, Daniel w żółtej, pomiędzy zielonemi lwami. Dalej był piękny malowany okręt z prawdziwym drewnianym sterem. Pod ścianami stały skrzynki i kuferki, zastępujące krzesła, a w belki pod sufitem wbite ogromne haki, których przeznaczenia nie mogłem sobie wytłumaczyć.

Peggotty spoglądała na mnie wciąż z uśmiechem, widząc, jak bardzo wszystko mi się tu podoba. Kiedy się rozejrzałem już dokładnie, otworzyła maleńkie, malenieczkie drzwiczki i pokazała mi moją kajutkę. Niepodobna sobie nawet wyobrazić, jaki to był prześliczny i mały pokoik, z malutkiem oknem, małem lusterkiem na ścianie, w którem mogłem się przejrzeć, stojąc. Ramy lustra były z muszelek. W kącie małe łóżeczko, jakby dla mnie zrobione, a na małym stoliku błękitny kubek z

kwiatami. Ściany były tak białe, a pokrycie na łóżku tak jaskrawe, że musiałem mrużyć oczy, patrząc na nie.

Jedna rzecz wszakże dziwiła mię najbardziej od początku w tym zachwycającym domku, to szczególny i dziwnie mocny zapach ryby. Po bardzo krótkim czasie, gdy wyjąłem chustkę z kieszeni, pachniała tak, jak gdybym zawinął w nią raka.

Powiedziałem to po cichu Peggotty.

— Nie dziw się — odpowiedziała. — Mój brat jest rybakiem, łowi ryby i raki morskie, które następnie sprzedaje. Ryby i raki także stanowią tutaj główne pożywienie, suszą się tu na słońcu, a koło domu znajdziesz pełno muszelek i skorup.

Zrozumiałem sprawę dokładnie i nie dziwiła mię więcej.

Na progu tego domku powitała nas bardzo uprzejmie kobieta w dużym białym fartuchu, którą widziałem z daleka, siedząc na ramionach Chama. Obok niej stała prześliczna dziewczynka w niebieskich paciorkach na szyi, imieniem Emilka. Chciałem ją pocałować, lecz uciekła.

Usiedliśmy do stołu i podano obiad: małe rybki gotowane, kartofle i masło, wszystko wyśmienite. Mnie Peggotty nałożyła cały talerz i zajadałem z ogromnem zajęciem, kiedy wszedł jakiś człowiek o łagodnej twarzy, lecz cały zachlapany błotem.

Peggotty się zaśmiała, on ją poklepał po twarzy, a potem pocałował, z czego domyśliłem się zaraz, że musi być jej bratem. Znał mnie także (nie wiem skąd), gdyż zaraz się przywitał i powiedział uprzejmie:

— Prosto tu u nas, Dewi, aleśmy ci radzi i chcielibyśmy bardzo, żeby ci dobrze było.

Podziękowałem grzecznie i odpowiedziałem, że musi mi być dobrze w tak prześlicznem miejscu.

Pan Peggotty był rad niezmiernie, lecz nim usiadł do stołu, musiał umyć się przedtem w całym kotle gorącej wody, bo — jak sam mówił — zimna nie zmyłaby błota. Kiedy się znów ukazał, był daleko ładniejszy, ale taki czerwony, iż przyszło mi na myśl, że jest podobny do raka, który też w gorącej wodzie z czarnego staje się czerwony.

Po herbacie wieczorem siedzieliśmy wszyscy wkoło dużego stołu i dopiero wtedy odczułem najmocniej, jak tu miło i błogo w tym jasnym i ciepłym pokoju, kiedy tuż za oknami mgła, wicher i zimno. Pan Peggotty zapalił fajkę, a ja uczułem się usposobiony do swobodnej rozmowy z tymi dobrymi ludźmi.

— Proszę pana — zacząłem — czy pan dlatego nazwał syna Chamem, że mieszkają państwo w tej arce?

Pan Peggotty poważnie spojrzał na mnie i namyślał się nad czemś głęboko.

— Ja mu nie dawałem żadnego imienia — odezwał się nareszcie.

— Żadnego? A dlaczego nazywa się Chamem?

— Tak nazwał go ojciec, brat mój, Joe.

— Ach! — zdziwiłem się bardzo. — Więc jego ojciec nie żyje?

— Utonął — rzekł pan Peggotty z westchnieniem. Ogromnie mię zdziwiło to odkrycie. Może tak samo mylę się co do Emilki, więc spytałem niepewnym głosem:

— Ale Emilka przecież pańska córka?

— Nie, Dewi. Tom, mój szwagier, był jej ojcem.

— Był? Więc nie żyje? — szepnąłem z westchnieniem.

— Utonął — odparł rybak.

Zrobiło mi się smutno, ale zapragnąłem wyjaśnić rzecz zupełnie, to też po chwili milczenia odezwałem się znowu.

— Pan wcale nie ma dzieci?

— Nie, Dewi, nie mam żony ani dzieci.

— Nie ma pan żony? — Szeroko otworzyłem oczy i spojrzałem na kobietę w czystym białym fartuchu. — Ja myślałem…

— To pani Gummidge — rzekł rybak. — Wdowa po przyjacielu, który także utonął.

Peggotty zaczęła mówić o czem innem i dobrze zrobiła, bo za wiele już tych ludzi utonęło. Wkrótce nadeszła pora udania się na spoczynek. Peggotty zaprowadziła mię do mego łóżka, pani Gummidge z Emilka miały taki sam pokoik w przeciwnym końcu izby i zabrały z sobą Peggotty, a na żelaznych hakach,

które mię zaciekawiały, zawieszono hamaki dla Chama i pana Peggotty.

Doznałem rozkoszy, wyciągnąwszy się w czystem łóżeczku, sen kleił mi powieki, ale jednocześnie słyszałem za ścianą tak groźne wycie wichru i ryk morza, iż zacząłem lękać się burzy, a może nawet drugiego potopu. Lecz przypomniałem sobie, że jesteśmy w arce, i to uspokoiło mię zupełnie. Z okrętem przecież nie można utonąć, zwłaszcza, że pan Peggotty jest z nami.

Zasnąłem też spokojnie i zbudziło mię poranne słońce. Zagrało śliczną tęczą w muszlach koło lustra i na ten widok wyskoczyłem z łóżka, ażeby nie marnować tak pięknego czasu.

Po śniadaniu pobiegliśmy z Emilka zbierać muszelki i kamyczki na wybrzeżu. Było to dla nas najmilsze zajęcie i nigdy nam się nie nudziło. Podziwiałem, że Emilka spostrzega muszelki i kamyczki tak szybko i oddaje mi najpiękniejsze.

— Ja tu zostanę — rzekła, kiedy nie chciałem przyjąć — i znajdę sobie więcej, może daleko ładniejszych, a ty masz czasu mało.

— Z ciebie prawdziwy marynarz — odparłem, chcąc powiedzieć jej coś grzecznego.

— O nie — odpowiedziała Emilka, potrząsając głową energicznie — ja się boję morza.

— Boisz się? — zapytałem z wyrazem wyższości, przybierając odważną minę. — Ja nie boję się wcale.

— Morze jest złe, okrutne — szepnęła Emilka — widziałam. Widziałam, jak rozbiło statek większy od naszego domu w drobne szczątki.

— Ale to nie ten statek, gdzie był… Nie śmiałem skończyć.

— Myślisz o moim ojcu? Nie, tego statku nie widziałam nigdy. I ojca nie pamiętam. Byłam jeszcze bardzo mała.

Wzruszyło mię to podobieństwo z moim losem i zacząłem opowiadać jej o sobie. Ja też nie znałem ojca i on nie widział mię nigdy, ale jestem bardzo szczęśliwy. Mam taką dobrą mamę, że już nie może być lepsza, i żyjemy we troje w ślicznym domku. Bardzo tam jest miło i zawsze tak będzie. A ojciec mój spoczywa na miejskim cmentarzu, gdzie jest cicho, zielono i

prześlicznie; drzewa szumią nad jego grobem gałązkami, a ptaszki od rana śpiewają mu pieśni.

Emilka słuchała mię z ogromnem zajęciem i wtedy przyszło mi na myśl, że ona nie ma matki dobrej i kochającej, a grób jej ojca nieznany nikomu tam na dnie groźnego morza.Żal mi się zrobiło serdecznie Emilki i pokochałem ją za to.

— Wuj Peggotty musi być dobry dla ciebie — zauważyłem z mocnem przekonaniem.

— Wuj Dan? O, jaki dobry! Gdybym była bogata, kupiłabym mu śliczne niebieskie ubranie z diamentowemi guzikami, żółte spodnie, aksamitną czerwoną kamizelkę, ogromny złoty łańcuch, wysoki kapelusz, srebrną fajkę i całe pudełko pieniędzy!

Nie wątpiłem ani na chwilę, że brat Peggotty na takie skarby zasługuje, lecz nie mogłem go sobie w tym stroju wyobrazić. Nie powiedziałem tego, żeby Emilce nie zrobić Przykrości, więc zapytałem tylko:

— Chciałabyś być bogata?

Spojrzała na mnie, pokręciła główką i rozśmiała się głośno.

— Naturalnie, że chciałabym — zawołała. — Mielibyśmy wtedy dosyć pieniędzy dla wszystkich. Wuj Dan nie wypływałby na morze w czasie burzy i każdy biedny rybak miałby u nas pomoc.

Słowa Emilki bardzo mi się podobały i wypowiedziałem jej moje uznanie. Nie zdziwiła się wcale, tylko zapytała mię znowu:

— Więc nie boisz się morza naprawdę?

Spojrzałem na pieniące się, grzywiaste fale, które jak gdyby z gniewem o brzeg uderzały, i zrozumiałem, że są silniejsze ode mnie, a jednak stanowczo potrząsnąłem głową.

— Nie boję się — odpowiedziałem — i zdaje mi się, że ty nie boisz się także: idziesz samym brzegiem, bliżej wody ode mnie i wcale nie uważasz, czy nie wpadniesz.

— O! — zawołała. — Tego nie boję się przecież! Ale gdy burza, wicher, błyskawice, a wuj Dan z Chamem daleko na morzu, wtedy czuję, jak drży mi serce, zdaje mi się, że słyszę, jak wołają

ratunku; wtedy nie mam ani minuty spokoju. I dlatego tak bardzo chciałabym być bogata.

Zrozumiałem ją dobrze, ale z niepokojem śledziłem jej ruchy, gdy prawie zuchwale zbliżała się do skraju stromego wybrzeża i pochylała nad głębią.

— Mogłabyś upaść — rzekłem.

Rozśmiała się głośno srebrnym, wesołym śmiechem i bez namysłu wbiegła na gruby pień drzewa, leżący tak, że koniec wystawał dość daleko nad wodą. Wbiegła nań lekko, stanęła, odwróciła się znowu ku mnie, a za chwilę znalazła się na ziemi.

— Tego się wcale nie obawiam — rzekła — ani troszeczkę!

Szliśmy dalej po piasku, zbierając muszelki i wrzucając do wody gwiazdy morskie, które leżały tu umierające. Cham wreszcie wezwał nas na obiad, a potem poszliśmy we dwoje do miasta.

Tym sposobem zwiedzaliśmy coraz dalej okolice naszego domku, robiąc coraz nowe odkrycia i znajdując bezcenne skarby, które przynosiliśmy do domu. Wśród tak ciekawych i ważnych zatrudnień dni mijały nam szybko i niespostrzeżenie i nie mogłem prawie uwierzyć, że minęły już dwa tygodnie, kiedy Peggotty przypomniała o powrocie. Wuj Dan w przeddzień wyjazdu przewiózł nas łódką po morzu.

Cham towarzyszył nam czasem w wycieczkach: sadzał "na barana" i wchodził dość głęboko do wody, co sprawiało mi trochę strachu i bardzo dużo uciechy. Obejrzeliśmy także parę statków, lecz wydały mi się mniej piękne od tego, w którym mieszkaliśmy.

Nadszedł na koniec smutny dzień wyjazdu. Z głębokim żalem i ściśniętem sercem żegnałem wuja Dana, panią Gummidge, Chama, Emilkę, ci dwoje odprowadzili nas do miasta. o jakież przykre było ostatnie rozstanie, choć nie przyszło mi na myśl, że może ich więcej w życiu nie zobaczę.

Gdy Yarmouth zniknęło mi z oczu, spojrzałem przed siebie i pocieszyłem się myślą, że zobaczę znów mamę, do której się szczerze stęskniłem. Nie wspominałem o niej w ciągu tych dwóch tygodni, zajęty ciągle nowością wrażeń i zabawą, ale

teraz, zbliżając się do domu, coraz silniej czułem potrzebę przytulenia się do jej piersi i spojrzenia w te słodkie, ukochane oczy. Zaczynałem z Peggotty rozmowę o mamie, ale ona, nie wiem dlaczego, odpowiadała mi jakoś niechętnie, jakby nierada była, że powracamy do domu.

Pomimo to byliśmy coraz bliżej; już dojeżdżamy: znana okolica, poznaję drogę, drzewa. Dzień pochmurny i szary, niebo grozi deszczem, wiatr chłodny — a tam widać nasz domek.

Zaledwie mogłem usiedzieć w powozie. Stanęliśmy przed furtką, wyskakuję pierwszy, biegnę, dzwonię, drżę cały, aby rzucić się w objęcia mamy, która nam drzwi otwiera, wtem ze zdziwieniem widzę obcą twarz przed sobą: służącą, której nie znam.

— Pegotty — mówię, odwracając się do Peggotty z dziwnem ściśnięciem serca i dreszczem przestrachu — czy mamy niema w domu?

— Jest, Dewi — odpowiada, biorąc mię za rękę. — Dlaczego się tak śpieszysz, zaczekaj chwileczkę, muszę ci coś powiedzieć.

— Co się mamie zrobiło? — zawołałem już przerażony. — Nie wyszła do furtki i tutaj jej niema, mama chora… albo…

Nie śmiałem wymówić ostatniego słowa, lecz Peggotty je zgadła po mojej bladości, po tem, że musiałem się oprzeć o ścianę, tak nogi drżały pode mną.

— Mama żyje! — zawołała takim głosem, że uwierzyłem odrazu. — Chodź za mną, dowiesz się zaraz wszystkiego.

I wziąwszy mię za rękę, pociągnęła mocno za sobą do kuchenki.

Byliśmy tutaj sami, ona usiadła na krześle, ja stałem przerażony, czekając, co powie.

— Powinnam była powiedzieć ci wcześniej — zaczęła już Peggotty bez mego pytania — ale tak schodziło, chciałam co dzień, chciałam…

— Co się stało? — szepnąłem na wpół żywy.

— Nic się nie stało, Dewi, mama zdrowa, tylko, tylko… masz znowu ojca…

— Ojca? — powtórzyłem, blednąc, gdyż w tej chwili ujrzałem cichy cmentarz i grób otwarty, pusty.

— Drugiego ojca — poprawiła się Peggotty.

— Drugiego ojca?

— Musisz go przywitać — zaczęła znów Peggotty. — Chodźmy.

— Wcale go nie chcę widzieć.

— Ani mamy?

Przestałem się opierać. Wzięła mię za rękę i zaprowadziła do tej pięknej bawialni. Na kominku palił się ogień, przy nim w dużem krześle siedziała mama, a z drugiej strony pan Murdstone. Kiedy drzwi otworzyłem, mama opuściła robotę i podniosła się z krzesła prędko, ale jakby z bojaźnią.

— Spokojnie, Klaro! Panuj nad sobą! Pamiętaj! — mówił pan Murdstone zwolna i z naciskiem. — Jak się masz, Dewi, mój chłopcze.

Podałem mu rękę. Po chwili dopiero zbliżyłem się do mamy i pocałowałem ją jakoś "spokojnie". Mama pocałowała mię także, uderzyła parę razy lekko po ramieniu i zabrała się napowrót do roboty.

Nie mogłem patrzeć na nią, nie mogłem też patrzeć na niego, lecz wiedziałem, że on nie spuszcza z nas oczu. Stanąłem przy oknie i wyglądałem na ogród, gdzie biedne kwiaty pochyliły głowy pod tchnieniem zimnego wiatru.

Wyszedłem stąd, jak tylko mogłem się oddalić. Chciałem uciec do swego pokoiku, ale się przekonałem, że już tam nie mieszkam. Przeniesiono mię dalej. Z jakiemś ciężkiem, zmrożonem sercem rozglądałem się dokoła: wszystko było inaczej, jakby w innym domu. Wybiegłem na podwórze, lecz musiałem się cofnąć natychmiast: z pustej budy wyskoczył ogromny czarny pies i groźnie warczał na mnie.

III. OJCZYM.

Dlaczegóż mię przenieśli do innego pokoju? Tam przynajmniej byłem u siebie, wszystko było mi znane, wszystko przypominało każdą chwilę, każdą noc, tutaj spędzoną, znałem każdy sprzęt i kącik, i one mię znały nawzajem, były mi bliskie, moje. Ale tutaj? Wszedłem, słysząc za sobą złośliwe szczekanie brytana, i zatrzymałem się przy drzwiach, mierząc zimnem spojrzeniem ten obcy pokój, który nawzajem patrzył na mnie obojętnie.

Usiadłem na łóżku i zacząłem myśleć o bardzo różnych rzeczach: o skrzypieniu podłogi pod memi krokami, o kolorze obicia, o kształcie pokoju, o kresach na szkle w oknach, które tworzyły plamy na szarym krajobrazie. Nie wiem, kiedy zacząłem płakać. Czułem się coraz bardziej nieszczęśliwym, samotnym, opuszczonym w tym obcym i zimnym pokoju.

Rzuciłem się na łóżko, nasunąłem kołdrę na głowę i płakałem tak długo, aż usnąłem.

Zbudziło mię wołanie mamy:

— Jest, jest tutaj!

Ktoś ściągnął mi z głowy kołdrę i spostrzegłem obok mamę i Peggotty.

— Co ci jest, Dewi? — zapytała mama.

Uczułem ból w sercu, że mię o to pyta, ale odpowiedziałem jej: — Nic, — i odwróciłem się w przeciwną stronę, żeby ukryć twarz zapłakaną i drżące ze wzruszenia usta.

— Dewi — mówiła mama — moje dziecko!

Te słowa: moje dziecko — wzruszyły mię bardzo głęboko, i żeby nie wybuchnąć nagle głośnym płaczem, ukryłem głowę w poduszki i wyciągnąłem ręce poza siebie, aby znowu nakryć się kołdrą.

Wtem usłyszałem pełen wyrzutu głos mamy, zwrócony do Peggotty.

— Dziękuję ci, Peggotty, za te przyjemności. Wiem dobrze, żeś ty mi to wszystko zrobiła. O, jacyż są źli ludzie, żeby podburzać dziecko przeciw matce!

— Ja?! — zawołała z rozpaczą Peggotty. — Niech pani Bóg przebaczy takie słowa! Ja…

— Przecież widzę — skarżyła się mama. — Ach, Dewi, niedobry chłopcze. Jakże jest smutne i ciężkie to życie! Zamiast szczęścia tylko zmartwienie i troski, kiedy chcielibyśmy wszystkim zrobić dobrze.

Jakaś ręka dotknęła mię w tej chwili, nie mamy, ani Peggotty. Przycisnęła mi ramię i zrozumiałem natychmiast, że to ręka pana Murdstone.

— Co to znaczy, kochana Klaro? — przemówił. — Zapomniałaś, widzę, co powtarzam ci od pierwszej chwili. Stanowczości, moja droga, stanowczości, inaczej nie poradzisz sobie z tym upartym chłopcem.

— Tak mi przykro — szepnęła mama. — Chcę przecież jego dobra…

— Właśnie, moja droga, do tego dążyć musisz z całą stanowczością, to dla jego dobra. Przyrzekłaś mię słuchać.

Choć nie podniosłem głowy, widziałem wybornie, że objął mamę, pocałował w twarz, coś jej powiedział do ucha, i odprowadził do drzwi.

— Zejdź na dół, droga Klaro — przemówił znów głośno — i czekaj na nas zupełnie spokojnie. Muszę rozpocząć wychowanie chłopca, to jest mój obowiązek. Wkrótce obydwaj przyjdziemy do ciebie.

Wyprowadził mamę z pokoju i trzymał rękę na klamce, czekając, aż Peggotty wyjdzie za nią.

Potem usiadł na krześle przy łóżku.

Podniosłem się i stałem także.

Wziął mię za rękę, postawił przed sobą i długą chwilę patrzył mi w oczy spokojnie, z jakimś dziwnie twardym, stanowczym wyrazem, jak gdyby mię chciał złamać tem spojrzeniem.

Stałem nieruchomy i nie spuszczałem wzroku. Zdawało mi się, że zesztywniałem zupełnie, że nie mogę się poruszyć ani spuścić powiek.

Usta pana Murdstone stały się niezmiernie wąskie: różowosina kreska.

— Dewi — przemówił wreszcie — pomyśl, że mam psa upartego. Jak ci się zdaje, czy zmusiłbym go do posłuszeństwa?

— Nie wiem — odpowiedziałem.

— A ja wiem — rzekł twardo. — I wiesz, jakim sposobem? Biciem.

Odpowiedziałem krótkiem, stłumionem westchnieniem.

— Nie żałowałbym rózgi, choćby się wił z bólu, i postawię na swojem, choćbym miał wszystką krew z niego wytoczyć. Zrozumiałeś? Co masz na twarzy?

— Błoto — rzekłem krótko.

Wiedzieliśmy obydwaj, że to ślady łez wylanych, chociażby zapytał był dwadzieścia razy i dwadzieścia razy uderzył, prędzej by pękło mi serce, niżbym się do nich przyznał.

— Widzę, że na swoje lata masz dosyć rozumu — rzekł z uśmiechem, który mię prawie przeraził. — Wiesz, czego chcę, to dobrze. Umyj się, zejdziemy na dół.

Ruchem ręki i głowy wskazał mi w kącie miednicę. Spełniłem jego rozkaz bez oporu, rozumiejąc, że zabiłby mię chyba na miejscu, gdybym się poważył sprzeciwić.

Kiedy wchodziliśmy do bawialnego pokoju, ręka ojczyma przyciskała mocno moje ramię. Zbliżył się do kominka, gdzie siedziała mama, usiadł obok. swobodnie wziął obie jej ręce i odezwał się do niej poważnie, spokojnie.

— Mam nadzieję, najdroższa Klaro, że nie spotka cię więcej podobna jak dziś nieprzyjemność. Odzyskaj dobry humor i bądź wesoła, jak lubię.

Rozmawiał z mamą, jakby już zapomniał o mnie, mama się uśmiechała i odpowiadała, a tylko czasem, czasem, jak gdyby ukradkiem, rzucała w moją stronę nieśmiałe spojrzenia.

Dlaczegoż dla mnie nie miał nikt dobrego słowa ? Przecież jeden serdeczny, szczery uścisk mamy, jakieś wyjaśnienie

spokojne, przyjazne, wlałyby znowu ufność w moje biedne serce i może zmieniłyby całe dalsze życie. Lecz widziałem, że mama się boi ojczyma, chociaż jest dla niej dobry, a jeśli ona się go boi, cóż się stanie z nami wszystkimi?

Usiedliśmy do stołu we troje. Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Czułem się niepotrzebny i tak skrępowany, że zupełnie nie wiedziałem, co mara z sobą zrobić. Ojczym mówił o swojej siostrze, która miała dzisiaj przyjechać, mama jakoś nieśmiało wypytywała o nią.

Zacząłem myśleć o tem, jakby się wymknąć z pokoju i pobiec do Peggotty, z którą przecie mogłem być zawsze jak dawniej, kiedy nagle przed furtką zatrzymał się powóz i pan Murdstone wyszedł na spotkanie gościa.

Mama szła za nim, ja za mamą. Gdy ojczym szybko zbiegł po schodkach do ogrodu, mama odwróciła się nagle, serdecznie, mocno przycisnęła mię do serca i szepnęła, że powinienem kochać i słuchać jej męża. Mówiła to nieśmiało, jakby w tajemnicy, z pośpiechem i obawą. Wyszła natychmiast za nim do ogrodu, ale jeszcze trzymała mię za rękę, kryjąc to poza sobą.

Miss Murdstone była wysoka, poważna, miała bardzo czarne włosy, czarne oczy i zdawała się bardzo podobna do brata. Przywitała się z mamą, potem spojrzała na mnie surowemi oczami.

— Twój pasierb? — zapytała.

— Nasz Dewi — rzekła mama z nieśmiałym uśmiechem i poruszyła rękę, jakby chciała położyć ją na mojej głowie.

Lecz pan Murdstone spojrzał, ręka mamy opadła, a twarz zarumieniła się i posmutniała.

— Wogóle nie lubię chłopców — odezwała się miss Murdstone. — Jak się masz, Dewi — i podała mi rękę.

— Dziękuję — odpowiedziałem i ukłoniłem się jakoś niezgrabnie.

— Brak wychowania — rzekła, spoglądając z powagą na brata.

Mama zaprowadziła miss Murdstone do pokoju, w którym miała zamieszkać, a ja skorzystałem z tego i pobiegłem na koniec do Peggotty.

Nazajutrz zajmowano się mną mało, z czego byłem zadowolony, gdyż w obecności pana i panny Murdstone traciłem zupełnie swobodę, ich obecność ciążyła na mnie, niby jakieś okropne więzy, i odgradzała mię od mamy jakimś murem.

A tymczasem miss Murdstone nie tylko, że nie odjeżdżała, ale widoczne było, że ma zamiar zostać na zawsze.

Wstawała pierwsza w domu i wiedziała wszystko, co się dzieje, gdyż zaglądała sama w każdy kącik. Zabrała klucze mamy zaraz pierwszego dnia rano, zapewniając, że pragnie "wyręczyć" ją w gospodarstwie, i odtąd już nosiła je przez dzień w koszyczku, a w nocy kładła pod poduszkę i mama nie śmiała się wtrącać do niczego.

Widziałem jednak nieraz, że i mama nie jest z tego zadowolona. Naprawdę to dom cały należał do miss Murdstone, rządziła, nie pytając się mamy o radę, a jeśli mama chciała się czem zająć, umiała zawsze jakoś usunąć ją na bok, odsyłając do męża i robótek.

Raz, pamiętam, byłem w pokoju, gdy miss Murdstone oświadczyła bratu, że nie urządzi w niedzielę przyjęcia, na które mama kilka osób zaprosiła, uważając to za niepotrzebne.

Mama zaczerwieniła się bardzo i widziałem, że łzy ma w oczach.

— Ja myślę... — odezwała się porywczo.

— Klaro! — przemówił pan Murdstone takim głosem, że, nie wiem dlaczego, zrobiło mi się zimno.

— Przecież — zaczęła mama — w moim domu...

— W moim domu, Klaro? — powtórzył pan Murdstone.

Miss Murdstone oparła mu rękę na ramieniu.

— Jutro wyjeżdżam, Edwardzie — rzekła spokojnym głosem — nie chcę pomiędzy wami być powodem sprzeczki.

— Moja siostra w moim domu jest u siebie — rzekł pan Murdstone — i proszę cię, nie wspominaj o wyjeździe. Klara jest

dzieckiem i pożałuje za chwilę słów swoich, których doprawdy zrozumieć nie mogę.

Mama zapłakała głośno.

— Ja nie chciałam przecież zrobić ci przykrości, nie miałam zamiaru obrażać Janiny… tylko…

— Moje dziecko — rzekł pan Murdstone — wiem dobrze, że muszę być dla ciebie pobłażliwy, bo jesteś dzieckiem, nie masz charakteru, nie masz woli i stanowczości.

Ale byłaś dotąd łagodna, ulegałaś rozumnej mojej radzie, i mam nadzieję, że tak będzie nadal. Nie ukrywałem przed tobą, że mam zamiar wychować cię na człowieka stanowczego, i sądzę, żeś mi za to powinna być obowiązana.

— Przebacz mi, Edwardzie! — zawołała mama. — Nie gniewaj się, Janino. Ja wiem dobrze, że jesteście mądrzejsi ode mnie, że powinnam was słuchać… tylko… ale… ja nie jestem niewdzięczna, ale…

Płacz co chwila przerywał mamie słowa, było mi jej żal strasznie, poruszyłem się na swojem miejscu i pan Murdstone spostrzegł, że jestem w pokoju.

— Dewi, do łóżka! — rzekł stanowczo i krótko.

Ledwo trafiłem do drzwi, tak mi się nogi plątały. Nie miałem nawet chęci zobaczyć Peggotty i po ciemku poszedłem do mego pokoju, aby w ubraniu rzucić się na łóżko.

W parę dni potem miss Murdstone oznajmiła ze zwykłą sobie stanowczością, że powinienem już chodzić do szkoły. Mama przyznała jej natychmiast słuszność, ale tymczasem jakoś nic się nie zmieniło i uczyłem się dalej w domu.

Lekcje z mamą. Jakże je dawniej lubiłem! Mówiła mama, że jestem pojętny — i rzeczywiście wszystko mi szło łatwo. Książki mię zajmowały i czytałem dużo, chętnie pisałem i nie robiłem wiele błędów, a mamy opowiadania o świecie, o dawnych czasach, o przeróżnych krajach, podróżach zachwycały mię i uszczęśliwiały. Powtarzałem je bardzo dokładnie Peggotty i znajomi mamy mówili, że mam dużo na swoje lata wiadomości.

Ale teraz! Te drogie nasze lekcje stały się męczarnią i zdaje mi się, że nie tylko dla mnie.

Nigdy, już nigdy nie byliśmy sami. Pan Murdstone i jego siostra siedzieli w tym samym pokoju, a ich obecność, spojrzenia i słowa odbierały mi pamięć, rozum i ochotę.

Nie wiem już dzisiaj nawet, jak to długo trwało, zdaje mi się, że wieki całe.

Po drugiem śniadaniu wchodzę z książkami, z tabliczką.

Mama czeka na mnie przy biurku. Pan Murdstone z książką siedzi w fotelu przy oknie, miss Murdstone robi robotę na drutach.

Na ich widok od razu wszystko, co umiałem, ulatnia mi się z głowy, czuję w niej dziwną pustkę. A przecież się uczyłem, pracowałem.

Biorę pierwszą książkę i podaję mamie. Może to jest historją, może geografja lub gramatyka, rzucam po raz ostatni okiem na stronicę i zaczynam wydawać. Mówię prędko, nagle brakuje mi słowa, zaciąłem się. Pan Murdstone spogląda z nad książki. Spostrzegam to, czuję i gubię od razu całe zdanie, sens cały. Zapomniałem. Pan Murdstone opuścił książkę, patrzy na mnie. Zdaje mi się, że mama chciałaby mi pomóc, ale nie ma odwagi, nie śmie.

— Dewi — mówi łagodnie drżącym głosem.

— Droga Klaro — przerywa zimno pan Murdstone — proszę cię, nie bądź dzieckiem. Trzeba, żebyś zrozumiała, czego od chłopca powinnaś wymagać. To obowiązek matki. Umie lekcję, czy nie umie?

— Zdaje się, że nie umie — decyduje miss Murdstone.

— A więc oddaj mu książkę i niech się nauczy.

— Właśnie tak chciałam zrobić — tłumaczy się mama. — A może, Dewi, raz jeszcze spróbujesz?

Próbuję raz jeszcze, ale nadaremnie. Nie mogę już skupić uwagi. Patrzę na miss Murdstone i liczę jej guziki przy staniku, podziwiam ruchy drutów, które w gruncie rzeczy nic mię przecież nie obchodzą.

Mama odkłada książkę, bierze drugą. Rzuca nieśmiałe spojrzenie na męża i ma tak smutną twarz, że postanawiam z całą uwagą teraz odpowiadać. Ale daremnie. Krzyżujące się

spojrzenia pana Murdstone i jego siostry ogłupiają mię dziwnie. Plączę się coraz gorzej i gromadzą się niedorzeczności, które mi nie pozwalają już nic rozumieć jasno.

A do tego smutna twarz mamy. Widzę, jak ją to boli, jaką jej sprawiam przykrość. Chciałbym umieć. Gdyby nie tamtych dwoje, ale przy nich — doprawdy — to jak czary.

A już najgorzej wtedy, jeśli mama, myśląc, że nikt nie widzi, chce mi podpowiedzieć.

— Klaro! — słyszę natychmiast surowy głos pana Murdstone.

Mama chce się uśmiechnąć, ale czerwieni się mocno, widzę, że łzy ma w oczach. Pan Murdstone wstaje, przybliża się do nas, bierze z rąk mamy książkę, uderza mię po twarzy lub po uszach, rzuca książkę na ziemię, każe ją podnieść, zabrać i wyrzuca mię z pokoju wcale niedelikatnie.

Jeżeli jakoś lepiej udadzą się lekcje, to zaczyna się inna męka. Pan Murdstone zadaje mi rachunek. Kupiono w sklepie setki i tysiące serów, za funt płacono tyle, część serów się zepsuła, czy zginęła, po czemu mam sprzedawać pozostałe, aby otrzymać taki zarobek. Mnożę, dzielę olbrzymie cyfry, dodaję, odejmuję i popełniam błędy, nie mogę w żaden sposób wypłynąć z tych serów.

Jeżeli nie ogłupiałem zupełnie tej zimy przy podobnej nauce, zawdzięczam to jedynie bibljotece ojca. Znękany, wyczerpany, przygnębiony smutkiem mamy, tam znalazłem ucieczkę i pociechę. Na szczęście szafa stała w pokoju na górze, gdzie nawet miss Murdstone nie lubiła jakoś zaglądać i zapewne dlatego nie zamknęła jej na klucz. Mogłem więc najswobodniej wybierać, co chciałem: Robinsona Cruzoe, Don Kichota, Chatę wuja Toma, Baśnie z tysiąca i jednej nocy, Podróże Guliwera i tyle innych cudnych, zajmujących książek. Czytając je, zapominałem o wszystkiem, żyłem, myślałem, czułem, przenosiłem się wyobraźnią w inne, Jaśniejsze światy, jak zdeptana roślina, która się podnosi do słońca.

Bardzo mi potrzebne było to czytanie, zawdzięczam mu jedyne chwile wypoczynku, może zdrowie i siły, ale na moją naukę i lekcje nie wpływało to dobrze. Myśl zanadto była czem

innem zajęta, zabierało mi to bardzo wiele czasu. Siedząc niby przy pracy, miałem zwykle ukrytą jakąś kochaną książkę, która mię pokrzepiała, lecz zarazem przeszkadzała uczyć się z całą uwagą.

Byłem zresztą tak zniechęcony. Może i słusznie powtarzałem sobie, że nanic się nie zdadzą moje najlepsze chęci, że wysiłki są nadaremne, wszystko jedno — wobec tych świadków nigdy nic nie będę umiał. I zacisnąwszy usta, szedłem na te straszne lekcje, przygotowany na to, co się stanie.

Lecz niekiedy budziły się inne uczucia. Widziałem, ile mama na tem cierpi, widziałem łzy w jej oczach i twarz bladą, widziałem, jak zmieniała się z dniem każdym, jak stawała się niepodobna do tej dawnej mamy, zawsze miłej, uśmiechniętej i pogodnej. I pragnąłem się uczyć, żeby ją pocieszyć, żeby tamci nie mieli żadnego powodu dokuczać jej przeze mnie, z mojej winy.

Więc pracowałem szczerze i gorliwie, wchodziłem do pokoju pewny siebie, umiałem wszystko dobrze.

Cóż, kiedy wystarczało jedno zająknienie, jedna najmniejsza, najdrobniejsza omyłka, abym uczuł te krzyżujące się na mnie spojrzenia brata i siostry, usłyszał ten głos, który pozbawiał mię zawsze pamięci.

Nie, przy panu Murdstone nie mogłem nic umieć, to już było niepodobieństwem.

Dnia jednego wszedłem jak zwykle z książkami. Było to na wiosnę, ale tego roku jakoś wiosna nie przynosiła mi wesela. Zauważyłem zaraz, że mama patrzy na mnie z przerażeniem i na obu policzkach ma czerwone plamy. Miss Murdstone siedziała sztywna, uroczysta, z mocno zaciśniętemi ustami i szybko poruszała ręką przy robocie, a pan Murdstone przy stoliku mamy okręca wkoło giętkiej witki jakiś rzemień, to znowu go odwija i wywija nim w powietrzu, jakby próbując uderzeń.

— Droga Klaro — zwrócił się do mamy — nie znasz zasad wychowania. Nie można być dziecinną. I ja byłem bity. — Wychowanie chłopców wymaga silnej i stanowczej ręki —

dodała mocnym głosem miss Murdstone. — Naturalnie — potwierdziła mama drżącym głosem — ale… ale… czy to zawsze potrzebne? Dawid przecież i bez tego… — Czy sądzisz, że to było z moją krzywdą, droga Klaro? — zapytał dziwnym głosem pan Murdstone. — Zapewniam cię, że dziś umiem ocenić wartość surowego wychowania. Nie byłbym tem, czem jestem, gdybym przez tę szkołę nie przeszedł,

— Tak — zaczęła znów mama, ale umilkła nagle, spotkawszy zimne, surowe i twarde spojrzenie pana Murdstone.

Zrozumiałem, że rozmowa odnosi się do mnie i uczułem chłód w całem ciele. Pan Murdstone zwrócił się ku mnie, objął mię błyszczącemi niezwykle oczyma i uśmiechnął się, zaciskając usta.

— No, Dewi — rzekł — radzę ci dzisiaj być uważniejszym, niż to bywa co dzień.

To mówiąc, świsnął w powietrzu rzemieniem raz, drugi, owinął go dokoła pręta i położył na stole przy sobie. Wziął w rękę książkę, ale patrzył na mnie.

Przyszedłem dziś przygotowany — jak mi się wydawało — doskonale, byłem pewny triumfu i cieszyłem się W duszy z oczekiwanego zwycięstwa, ale po takim wstępie zapomniałem wszystko. Już nie tylko wyrazy, lecz całe stronice zniknęły gdzieś z mojej pamięci, zniknęły wprost bez śladu, rozwiały się w nicość.

Miss Murdstone z miną stanowczą opuściła robotę na kolana i nie spuszczała oczu z mojej twarzy, pan Murdstone czuwał nad każdym wyrazem.

Jąkałem się, milczałem. Mama dziwnie powolnym ruchem, jakby jej rękom sił nagle zabrakło, odkłada na bok jedną książkę po drugiej, a kiedy przyszło wreszcie do nieszczęsnych 5555 serów, schyliła głowę na stół i wybuchnęła płaczem.

— Klaro! — rzekł pan Murdstone ostrzegawczo.

— Klaro! — powtórzyła miss Murdstone.

— Jestem chora, Edwardzie! — zawołała mama. — Jestem naprawdę chora!

Pan Murdstone podniósł się z krzesła.

— Droga Klaro — przemówił — widzę twoją dobrą wolę, przyznaję, że zrobiłaś z siebie już niejedno, mam na dzieję, że pod mym kierunkiem staniesz się zczasem dojrzałą kobietą, lecz nie mogę od ciebie wymagać za wiele. Dewi ostatecznie poszarpał ci nerwy i byłoby nad twoje siły zostać świadkiem tak dobrze zasłużonej kary. Pójdę z nim na górę, do jego pokoju, ty pozostań z Janiną i bądź zupełnie spokojna. Wypełniamy oboje obowiązek.

Wziął mię za ramię i zwrócił się ku drzwiom. Nagle mama krzyknęła, zerwała się z krzesła i pobiegła za nami. Lecz miss Murdstone zastąpiła jej drogę stanowczo.

— Szalona jesteś, Klaro! — słyszałem już na korytarzu, a potem głośny, okropny płacz mamy.

Pan Murdstone szedł ze mną powoli, poważnie, byłem pewny, że mu to sprawia ogromną przyjemność.

Weszliśmy do pokoju. Pochylił się nade mną i nagle jedną ręką przycisnął moją głowę do swojego boku.

— Panie! Panie! — krzyknąłem. — Nie bij mię! Będę się uczył! Ja chciałem… ja się uczę… ale nie mogę przy panu. Naprawdę ja przy panu wszystko zapominam!

— Naprawdę, Dewi? Więc skosztujesz tego.

Trzymał głowę moją mocno jak w obcęgach, jednak wyrwałem mu się na sekundę. Schwycił mię znowu i w tej samej chwili ugryzłem jego rękę z całej siły.

Nie umiem opowiedzieć, co się stało potem. Bił mię tak długo, jakby mię chciał zabić. Za drzwiami na korytarzu słyszałem okropny płacz mamy i głośny krzyk Peggotty. Ale drzwi były zamknięte od środka i nikt wejść do nas nie mógł.

Zdaje mi się, że w końcu straciłem przytomność, więc rzucił mię na ziemię i wyszedł z pokoju, drzwi zamknął na klucz, a klucz schował do kieszeni.

W zupełnej ciszy, jakby dom był pusty, ocknąłem się na koniec z odrętwienia. Czułem ból w całem ciele, łkałem jeszcze głośno, ale łzy nie płynęły mi po twarzy, a w sercu czułem tylko złość, nienawiść.

Tak, tak, nienawidziłem ich oboje. Chciałem ich gryźć i szarpać, wypędzić ich z domu, gdzie przedtem było nam wszystkim tak dobrze. Ach, poco weszli tutaj? Jakiem prawem?

Długo leżałem bez ruchu na ziemi, nasłuchując ciągle, czy się kto nie zbliża, ale na korytarzu była martwa cisza i szmer najlżejszy nie dochodził znikąd.

Podniosłem się na koniec i spojrzałem w lustro, ale się przestraszyłem swojej twarzy. Nie poznałem się prawie. Czerwony, zapuchnięty, ze złemi oczami, byłem szkaradny i przerażający. Wolałem się nie widzieć i zamknąwszy oczy, rzuciłem się na łóżko.

Przy każdem poruszeniu bolało mię wszystko, czułem, że mam gorączkę i drżałem jak w febrze, ale to wszystko było niczem w porównaniu z tem, co się działo w mem sercu.

I nie wiedziałem, czy boleśniej cierpię od ran, zadanych mi twardym rzemieniem, czy więcej bolą te zatrute noże, które czułem w sobie.

Ściemniło się. Leżałem bezwładny na łóżku, patrząc na szare niebo przez zamglone szyby, kiedy klucz w zamku obrócił się jakoś powoli i na progu stanęła miss Murdstone. Popatrzyła na mnie stanowczo, uważnie, postawiła na stole szklankę mleka i położyła obok kawałek chleba z mięsem. Potem wyszła znowu bez jednego słowa i zamknęła drzwi na klucz.

Nie ruszyłem się z łóżka, leżałem w ciemności, czekając i nasłuchując. W końcu straciłem zupełnie nadzieję.

Jestem zamknięty na klucz, nikt więcej nie przyjdzie. Naturalnie! Oni nie puszczą. Pewno pilnują dobrze mamy i Peggotty, pan Murdstone nie odwraca od niej oczu.

Wstrząsnąłem się mimo woli na wspomnienie tego spojrzenia.

— Biedna mama!

Nagle przyszło mi na myśl, że go ugryzłem w rękę. Bardzo mocno. On mi tego nie daruje. Więc co mię jeszcze czeka? Czy może mię za to wrzucić do więzienia? Czy mię mogą za to powiesić? On postara się, żeby kara była najsurowsza.

Nazajutrz obudziłem się bardzo zmęczony. Zanim jeszcze zrozumiałem, o co chodzi, i przypomniałem sobie dzień wczorajszy, czułem jakiś nieznośny i gniotący ciężar, który był nad moje siły.

Jeszcze nie wstałem z łóżka, kiedy drzwi się otworzyły i weszła miss Murdstone. Oznajmiła mi w paru słowach; że mogę wyjść na pół godziny, lecz nie dłużej. Potem się oddaliła, zostawiając drzwi otwarte.

Przez pięć dni trwało moje uwięzienie i codziennie powtarzało się to samo. Miss Murdstone była dozorcą, rano przynosiła śniadanie i wypuszczała mię na pół godziny, wieczorem prowadziła na wspólną modlitwę, lecz stawiała mię przy drzwiach daleko od wszystkich i zabierała, zanim się ktokolwiek ruszył. Tym sposobem ani razu nie mogłem spojrzeć w twarz mamy, która modliła się z głową schyloną, jakby także dźwigała wielki ciężar. Zauważyłem też, iż pan Murdstone miał rękę, owiniętą w białe płótno.

Te pięć dni samotności i więzienia wydawały mi się dłuższe od lat pięciu, tem okropniejsze, że nie widziałem końca. Czy już tak całe życie tu zostanę?

Gdybym mógł na minutę znaleźć się sam z mamą, padłbym jej do nóg, błagał na kolanach, żeby mi przebaczyła. Lecz między mną i mamą stali już na zawsze oni i może* nigdy więcej nie będziemy sami we dwoje!

Jakież długie i nieskończone były te dnie milczące, bez żadnego dźwięku, bezczynne. Jakież okropne noce, kiedy się budziłem i ogarniała mię trwoga i rozpacz.

Jednej nocy na koniec obudziło mię moje imię, wymówione bardzo cichym, jakby przytłumionym głosem.

— Peggotty! — szepnąłem, wyciągając ręce.

Ale przy łóżku nie było nikogo, choć imię moje znowu powtórzono, i domyśliłem się wreszcie, że mówi do mnie przez dziurkę od klucza.

Pobiegłem cicho do drzwi i przyłożyłem usta do otworu.

— To ty, Peggotty droga?

— Ja, mój skarbie, Dewi, ale sprawuj się cicho, cichutko jak myszka, bo kot złośliwy czuwa, czuwa ciągle.

— Peggotty, powiedz, czy mama się gniewa? Bardzo gniewa się na mnie?

Usłyszałem stłumiony płacz Peggotty, zanim wreszcie odpowiedziała.

— Nie gniewa się, Dewi, wcale się nie gniewa. Bardzo cię żałuje, ale się boi jego. Biedna mama.

— Powiedz mamie, że ją przepraszam.

— Nie gniewa się na ciebie, Dewi. Chciałaby cię uściskać, ale nie pozwolą.

— Co oni ze mną zrobią? Czy nie wiesz, Peggotty?

— Pojedziesz do szkoły. Gdzieś niedaleko Londynu. Już jutro.

— I nie zobaczę mamy?

— Zobaczysz jutro rano.

— Jutro!

— Słuchaj, Dewi — zaczęła znowu bardzo poważnym, uroczystym głosem. — Czy słyszysz?

— Słyszę — szepnąłem, łkając.

— Nie zapominaj nigdy o Peggotty, bo Peggotty cię bardzo kocha. I trzeba, żebyś wiedział, że mama jest bardzo nieszczęśliwa. Zupełnie jak biedna mysz w pazurach kota. Będę tu czuwać nad nią i wiem, że Peggotty nieraz przyda się swojej pani. A do ciebie napiszę, chociaż nie chodziłam do szkoły. O mój skarbie, chyba w tej szkole będzie ci lepiej, niż w domu.

Słuchałem jej, tłumiąc i wstrzymując łkanie.

— Peggotty — rzekłem wreszcie — napisz do swego brata, i do Chama, i do Emilki, że to wszystko nieprawda,że ja taki zły nie jestem. Chcę się uczyć i bardzo chciałbym przeprosić mamę. Uściskaj mamę mocno i powiedz, że będę się uczył.

— Dobrze, Dewi, już dosyć, bo usłyszy! Nie zapomnij, pamiętaj i kochaj mię zawsze.

Ucałowała cicho dziurkę od klucza z tamtej strony, a ja z tej strony przycisnąłem do niej usta. Potem jeszcze usłyszałem: — Dewi kochany — i cichy szelest kroków. Zostałem sam.

Nazajutrz miss Murdstone znalazła mię już ubranego i oznajmiła, że dzisiaj wyjeżdżam do szkoły i że mam zejść na śniadanie do jadalnego pokoju.

Przy stole zobaczyłem wreszcie mamę. Wydała mi się ogromnie zmieniona. To wcale nie ta dawna śliczna pani Copperfield, ale jakaś starsza, zmęczona kobieta, z twarzą bladą i czerwonemi oczyma.

Objęła mię spojrzeniem i połykała łzy, nie mogąc wymówić ani słowa.

— Droga mamo — szepnąłem — ja cię przepraszam, przepraszam.

Wtedy załkała głośno, ale natychmiast z przestrachem spojrzała na miss Murdstone i zapanowała nad sobą.

Przycisnęła do piersi moją głowę i lekko pocałowała mię w czoło.

— Ucz się, Dewi, ucz dobrze — powtarzała.

Czułem uścisk jej ręki, ale jednocześnie odsunęła mnie i wskazała krzesło oraz przygotowane już mleko na stole.

— Powóz zajechał — odezwała się miss Murdstone.

Woźnica przyszedł zabrać moje rzeczy.

— Dewi — zaczęła mama i spostrzegłem znów na jej twarzy owe dziwne, czerwone plamy.

— Klaro! — uroczyście, ostrzegła miss Murdstone.

— Bądź zdrów, mój chłopcze. Ucz się. To dla twego dobra. Przyjedziesz na święta.

— Klaro! — powtórzyła głośniej miss Murdstone.

— Nic nie mówię, droga Janino. Bóg z tobą, Dewi, dziecko moje.

— Klaro! — zawołała surowo miss Murdstone i, wziąwszy mię za rękę, wyprowadziła szybkim krokiem do ogrodu.

Obejrzałem się, czy nie zobaczę Peggotty, lecz nie było jej nigdzie.

Usiadłem sam jeden w obszernym powozie, a leniwy konik z wolna ruszył w drogę.

IV. DO SZKOŁY.

Ujechaliśmy może z pół kilometra i moja chustka była Już zupełnie mokra, kiedy woźnica stanął.

Zadziwiony, podniosłem oczy, ażeby się przekonać, co się stało, i ze zdumieniem ujrzałem Peggotty, która szybko wybiegła z krzaków i rzuciła się do powozu. Objęła mię i przycisnęła do siebie tak mocno, iż uczułem ból kości w nosie. Nie powiedziała ani słowa, tylko położyła na siedzeniu spory koszyczek z ciastkami i wsunęła mi w rękę niewielką sakiewkę. Jeszcze jeden mocny uścisk, aż guziki na plecach odskoczyły z trzaskiem — i zniknęła znów w krzakach przydrożnych.

Gdyby nie ciastka, sakiewka i guzik, który leżał w powozie obok mojej nogi, mógłbym myśleć, że mi się przyśniła.

Woźnica spojrzał na mnie, jakby chciał zapytać, czy już możemy jechać, a ponieważ skinąłem głową, cmoknął na konika i ruszyliśmy dalej.

Napłakawszy się dotąd, ile tylko mogłem, przyszedłem do przekonania, że to się na nic nie zda, a zarazem przyszło mi na myśl, że ani Robinson, ani Guliwer, ani Wuj Tom, ani żaden z bohaterów nigdy nie płakali w najgorszem niebezpieczeństwie i nieszczęściu. Zdaje się, że woźnica odgadł moje myśli, gdyż sam mi zaproponował, że rozłoży chustkę na grzbiecie konia, żeby wyschła. Zgodziłem się chętnie i bardzo mu podziękowałem.

Najpierw postanowiłem zobaczyć, co jest w sakiewce. Była nowa, skórzana i znajdowały się w niej trzy błyszczące szylingi. Zaraz odgadłem, że to kochana Peggotty tak ślicznie wyczyściła je dla mnie. Ale oprócz szylingów znalazłem w niej jeszcze dwie nowe półkorony (po 2 1/2 szylinga), owinięte w papier, na którym ręką mamy było napisane: "Dla kochanego Dewi od mamy".

Na ten widok uczułem, że mię dusi w gardle, i poprosiłem woźnicy, żeby lepiej oddał mi chustkę. Ale on odpowiedział, że lepiej sobie poradzić bez tego. Więc otarłem oczy rękawem, i jakoś się obeszło, chociaż od czasu do czasu jeszcze wybuchałem krótkiem, głośnem łkaniem.Żeby się uspokoić, patrzyłem na drogę, wreszcie zapytałem woźnicy, czy mię zawiezie aż do samego Londynu.

— Co, tym koniem? — zdziwił się. — Dojedziemy tylko do Yarmouth.

— A tam? Co się stanie?

— Zabiorą cię do dyliżansu z oberży.

Wdzięczny za te objaśnienia, suszenie chustki i niewątpliwe współczucie, ofiarowałem mu ciastko. Wziął je, włożył w usta i połknął w taki sposób, jak połyka słoń małe przysmaczki.

— To ona to zrobiła? — rzekł, zwracając do mnie ciemną ogorzałą twarz i pytające spojrzenie.

— Peggotty? Tak. Ona nam wszystko gotuje i piecze doskonale.

Wydął usta, jakby chciał gwizdnąć, lecz nie gwizdnął. Patrzył dość długo bardzo uważnie na konia, w końcu rzucił pytanie.

— Wszystko sama? Ciasto? Wszelkie pieczenie?

— Peggotty? Doskonałe.

I podałem mu drugie ciastko.

Obejrzał je uważnie i zjadł tak, jak pierwsze, a po chwili zapytał:

— Pan będzie pisał do niej?

— Rozumie się. Do Peggotty? Naturalnie.

— Kiedy pan będzie pisał, to może też pan nie zapomni dodać ode mnie, że Barkis (to moje imię), Barkis jest gotów.

— I co więcej? — spytałem po chwili czekania.

— Nic. Barkis jest gotów. Niech pan nie zapomni.

— Nie zapomnę, ale nic więcej?

— Nie trzeba.

Niewiele rozmawialiśmy w ciągu drogi, konik stąpał bez pośpiechu, w końcu jednak znaleźliśmy się na miejscu.

Barkis objechał wkoło podwórze pocztowe, żeby lepiej zawrócić, i złożył moje rzeczy obok wielu innych, które miały widocznie takie same przeznaczenie. Jakaś kobieta wyjrzała przez okno i spytała, czy przyjechał pan Copperfield z Blunderstone.

Ogromnie się zdziwiłem, że o mnie wiedziała, ale zaraz odpowiedziałem, że jestem. Wtedy zawołała dużego chłopca, Wiljama, kazała mię zaprowadzić do bufetu i podać mi obiad.

Wiljam mię zaprowadził do obszernego, nie bardzo widnego pokoju, gdzie na ścianach wisiały wielkie mapy, i zaczął nakrywać do stołu, rzucając na mnie ukośne spojrzenia. Kładł nakrycie mocno, głośno i gwałtownie, że zdawało mi się, iż musi być zły na mnie, choć nie wiedziałem o co. Usiadłem przy drzwiach na rogu krzesełka, bardzo nieśmiało. Serce mi biło mocno i co chwila robiło mi się gorąco.

Wreszcie Wiljam postawił krzesło, jakby je chciał roztrzaskać w kawałki i odwrócił się do mnie z ukłonem.

— Proszę, panie Olbrzymie — rzekł uprzejmie. — Obiad na stole.

Przybliżyłem się, czułem, że siadam niezgrabnie, że źle trzymam nóż i widelec, i czerwieniłem się po same uszy, ile razy podnosząc oczy, spotykałem jego badawcze spojrzenie.

— Żeby choć sobie poszedł — pomyślałem, bojąc się, że na pewno poplamię dziś sosem ubranie.

Lecz on nie myślał odejść.

— Jest dla pana szklaneczka piwa; czy mam podać? — spytał.

— Dziękuję i owszem — odpowiedziałem pośpiesznie. Odwrócił się do szafy, wyjął z niej butelkę, nalał szklankę i pokazał mi pod światło.

— Śliczne piwo! — rzekł, mrużąc oczy i cmoknąwszy językiem.

— Śliczne piwo — powtórzyłem, bardzo zadowolony, że rozmawia ze mną tak uprzejmie.

— To niezwyczajne piwo — dodał, wstrząsając głową. — Był tu wczoraj pan Topson, może pan go zna?

— Chyba nie — zapewniłem wahająco.

— Wszedł rumiany, wesoły, w jasnym kapeluszu i zażądał szklaneczki piwa. "Bardzo mocne!" ostrzegłem, nalewając, ale nie zważał na to, widocznie, był bardzo spragniony i wychylił od razu całą szklankę. No, i naturalnie padł martwy. Przybiegliśmy, ale żadnego ratunku. Za mocne było dla niego, wiedziałem. Ale nie moja wina, przecież go ostrzegłem.

Wzruszył mię nadzwyczajnie ten okropny wypadek, uczułem, że jest mi bardzo gorąco, i zdawało mi się, że z tego powodu lepiej nie pić mocnego piwa. Powiedziałem to Wiljamowi i poprosiłem go o szklankę wody.

— Będzie lepiej dla pana — rzekł poważnie. — Tylko znów gospodyni ogromnie się gniewa, jeżeli gość nie zje tego, co podane. Więc chyba wypiję to piwo za pana, żeby nie poznała. Jestem przyzwyczajony do tego, bo delikatni goście często proszą mię o tę grzeczność. Jakże pan każe?

Odpowiedziałem, że będę mu wdzięczny, jeśli tylko jest

pewny, że mu tak mocne piwo nie zaszkodzi. Uspokoił mię, ma sposób uniknięcia niebezpieczeństwa i, dotknąwszy szklanki ustami, przechylił głowę wtył i wypił wszystko prawie jednym haustem.

Z trwogą oczekiwałem, czy po takim czynie nie padnie na podłogę martwy, jak pan Topson, ale jakoś, na szczęście, nic mu się nie stało i nawet wyglądał weselszy.

Po chwili jednak spostrzegłem, że dziwnie spogląda na mój talerz. Zrobiło mi się gorąco.

— Mocne piwo — rzekł, uderzając się palcami w piersi — trzeba koniecznie cokolwiek zjeść zaraz, żeby nie zaszkodziło. Najzdrowsze są kotlety. Czy to nie szczęśliwe zdarzenie, że pan, zdaje się, ma kotlety!

Wziął jeden z nich za kostkę i zjadł go tak prędko, że sobie pomyślałem, iż piwo musi go okropnie palić. Zanim zastanowiłem się nad tem, już drugi kotlet zniknął w jego ustach, z odpowiednią porcją kartofli.

— Teraz mi znacznie lepiej — rzekł z uśmiechem, i zrobiło mi się nadzwyczaj przyjemnie, że dzięki tym paru kotletom został uratowany od śmierci.

Przyniósł mi śpiesznie leguminę z ryżu, lecz od razu powiedział, że to jest najlepszy środek na szkodliwe działanie piwa. Wziął więc drugi widelec i jedliśmy razem, ale on jadł tak prędko, że nie mogłem się temu nadziwić, i z tego powodu sam niewiele skosztowałem, gdyż zniknęło wszystko.

Korzystając z tak przyjaznego stosunku, spytałem, czy nie mógłbym napisać tu listu do domu. Grzeczny Wiljam Przyniósł mi papier, kopertę, bardzo blady atrament w brudnym kałamarzu i ogromnie zepsute pióro. Lecz powiedział, że można niem pisać, bo on sam wczoraj napisał list do matki bardzo pięknemi literami. Zrozumiałem, że nie wypada mi grymasić, i napisałem jakoś do Peggotty, nie tracąc nadziei, że przeczyta wszystko.

Na podwórzu zaczęto zaprzęgać dyliżans, więc zapytałem jeszcze z wielką nieśmiałością, czy mam co zapłacić i wiele.

Okazało się, że papier tu jest bardzo drogi, atramentu wcale nie liczył przez grzeczność i pióra także. Ale za usługę każdy gość mu płacił, bo z czegóż by wyżywił biedną matkę, siostry, babkę staruszkę i dziadka. Dla nich to pracował ciężko od rana do nocy, żeby przynieść do domu kilka groszy na chleb dla biednych ludzi.

Kiedy to mówił, przewracał oczami, i widziałem, jak strasznie musi cierpieć, więc dałem mu najładniejszego szylinga.

Podziękował i ukłonił się tak nisko, iż przez chwilę myślałem, że pada na ziemię głową naprzód z powodu tego picia. Ale wyprostował się zaraz, zaprowadził mię do dyliżansu, pomógł umieścić rzeczy i życzył szczęśliwej podróży.

Dopiero kiedy ruszyliśmy z miejsca, przypomniałem sobie, iż miałem nadzieję spotkać w Yarmouth kogo ze starych znajomych. Cóż, kiedy nie wiedzieli pewnie, że tu jestem, a teraz już za późno. Całą noc jechać będziemy.

W dyliżansie siedziało pełno ludzi i nie było wygodnie. Duży kosz jakiejś pani kaleczył mi nogi, a ona nie pozwalała mi się ruszyć, ostrzegając, że zniszczę jej kosztowne rzeczy. Dwaj sąsiedzi zasnęli, kiwali się mocno, a chwilami tak mię ściskali, że prawie nie mogłem oddychać.

Wreszcie noc upłynęła, słońce wzeszło, zbudzili się podróżni, a ponieważ wkrótce mieliśmy już dojechać do Londynu, każdy starał się jakoś uporządkować ubranie i zebrać rozrzucone rzeczy.

Na koniec zatrzymaliśmy się znowu przed pocztą, wysiedli wszyscy i każdy ruszył w swoją stronę, pozostałem sam jeden.

Stałem na podwórzu, nie wiedząc co począć.

Po chwili podszedł do mnie siwy człowiek w ubraniu ze świecącemi guzikami i zapytał, kto jestem, dokąd jadę. Wysłuchawszy uważnie odpowiedzi, kazał mi iść ze sobą po schodkach do pokoju, w którym w tej chwili nikogo, nie było, usiąść na drewnianej ławce naprzeciwko wagi do ważenia pakunków i spokojnie czekać, aż ktoś po mnie przyjdzie.

Usiadłem i zamyśliłem się głęboko. Uczułem się w tej chwili bardziej opuszczony od Robinsona na bezludnej wyspie. On był dorosły i mógł tam wszystko znaleźć, a ja jestem mały i mam tylko siedem szylingów. Cóż się ze mną stanie, jeśli nikt po mnie nie przyjdzie?

I jak długo pozwolą mi tu czekać?

Może dziś nikt nie przyjdzie i będę musiał kupić sobie coś do zjedzenia, żeby nie umrzeć z głodu? Na ile dni wystarczy mi siedem szylingów?

Czy pozwolą mi zostać na noc i spać na tej ławce? Mógłbym się potem umyć w podwórzu pod pompą i znów trzeba coś wydać na śniadanie.

Ale jeżeli spać mi tutaj nie pozwolą i znajdę się sam w nocy na ciemnej ulicy?

Pociemniało mi w oczach na to przypuszczenie. Nie miałem pojęcia, co zrobić z sobą w takim razie. Bo może pan Murdstone umyślnie tak zrobił, ażeby się mnie pozbyć.

Jeżeli nikt nie przyjdzie i wydam już siedem szylingów, to muszę umrzeć z głodu. Czy tutaj na tej ławce? Pewno nie pozwolą tutaj, bo mieliby potem kłopot z moim pogrzebem.

Może byłoby lepiej powrócić do domu, ale czyż znajdę drogę? czy dojdę? czy trafię? czy wystarczy mi sił i pieniędzy?

A cóż innego mógłbym tutaj zrobić? Do wojska mię nie przyjmą, bo jestem za mały. Najchętniejbym się zgodził za chłopca na okręcie, ale cóż, pewno także mię nie zechcą. Okropna szkoda, że jeszcze jestem taki mały.

Mimo chłodnego ranka było mi gorąco, tysiące myśli krążyło po głowie, niby pędzonych coraz potężniejszym wichrem, najczarniejszej najsmutniejsze obrazy przesuwały się przed oczami.

Wtem usłyszałem kroki, spojrzałem ku wejściu: we drzwiach, ukazał się znów siwy człowiek ze świecącemi guzikami przy ubraniu, a za nim drugi, któremu mię wskazał, niby przygotowany pakunek.

Obcy wziął mię za rękę i wyprowadził na podwórze. Spojrzałem na niego z pewną nieśmiałością, — był bardzo chudy, blady, z czarną brodą i stojącemi jak szczotka włosami. Czarne ubranie było zniszczone, spłowiałe, ciasne i za krótkie, a szyja owiązana niezbyt czystą białą chustką.

Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że ta chustka stanowi jego jedyną bieliznę.

— Ty jesteś nowym uczniem? — spytał już na podwórzu.

— Tak mi się zdaje, panie, ale nie wiem.

— Jestem nauczycielem w Salem-House.

Ukłoniłem mu się i uczułem się onieśmielony. Nie miałem odwagi nawet wspomnieć o moich rzeczach i dopiero, kiedy uszliśmy spory kawałek drogi, zapytałem, w jaki sposób dostaną się do szkoły.

— Przywiozą je w południe — odpowiedział — umówiłem się z woźnym.

— A my pójdziemy piechotą? Czy to niedaleko?

— Dziewięć kilometrów, nie tak daleko. Ale pojedziemy omnibusem.

Uczułem się tak głodny i zmęczony, że zdobyłem się na odwagę i powiedziałem nauczycielowi o bezsennej nocy, a zarazem spytałem, czy nie można by kupić tu co do zjedzenia.

Zastanowił się chwilę, potem weszliśmy do sklepu, gdzie kupiłem bułkę, parę jaj i duży kawałek wędliny. Musiałem być

bardzo śpiący, gdyż nie umiałem zupełnie policzyć, ile się należy i wiele mi reszty wydadzą z szylinga. Potem już, prawie nie wiem, co się działo. Ogłuszał mię hałas uliczny, mąciło mi się w głowie, pamiętam, że przewodnik prowadził mię za rękę, że szliśmy przez most, który wydał mi się ogromnie długi.

Wkońcu stanęliśmy przed niskim budynkiem z malutkimi oknami. Myślałem, że to szkoła, i ocknąłem się zupełnie. Ale podniósłszy oczy, przeczytałem napis, że to przytułek dla biednych, przeznaczony dla dwudziestu pięciu starych kobiet.

Nauczyciel wszedł ze mną do małej izdebki i zapytał staruszki, która rozpalała ogień, czy może przygotować mi śniadanie.

Na nasz widok staruszka w pierwszej chwili oniemiała, złożyła ręce z uśmiechem zachwytu i powiedziała:

— Karol!

Lecz zaraz potem potrząsnęła głową, ukłoniła mi się uprzejmie i zapewniła prędko, że śniadanie będzie natychmiast gotowe.

Przystawiła do ognia mleko, moje jajka, oglądając się co chwila na "Karola" i uśmiechając do niego tak słodko, że nie wiem, dlaczego przypomniała mi się mama.

— Czy nie masz z sobą fletu? — zapytała wreszcie.

— Mam — odpowiedział "Karol" i pospiesznie wyjął z kieszeni flet, złożony z trzech części, które zręcznie złączył i podniósł do ust.

W chwilę potem śniadanie stało przede mną na stole i wydawało mi się tak wyborne, jak nigdy jeszcze w życiu żaden przysmak.

"Karol" grał na flecie, lecz jego muzyka była dziwnie smutna i nie podobała mi się wcale. Staruszka jednak była zachwycona, oparła się o poręcz jego krzesła i od czasu do czasu przyciskała usta do zjeżonych, szczotkowatych włosów grającego. Jednocześnie zauważyłem, że w izdebce jest i druga staruszka, która, kaszląc i postękując, poruszyła się w kącie na łóżku.

"Karol" musiał grać dosyć długo, bo przespałem się po śniadaniu z głową, opartą na stole, zanim wreszcie obudziła

mię rozmowa, a może i przerwanie muzyki. Otworzyłem oczy i ujrzałem nauczyciela, stojącego przed staruszką, której obie ręce serdecznie całował. Ona przyciskała do piersi jego głowę i szeptała jakieś wyrazy. Nie mogłem wątpić, że to syn i matka.

Spojrzał na mnie, spostrzegł moje otwarte oczy, znów przez chwilę jak gdyby się namyślał, ale nic nie powiedział, skinął tylko głową, że czas iść w dalszą drogę, więc wstałem, podziękowałem staruszce za dobroć i wyszliśmy razem.

Wkrótce nadjechał omnibus, w którym usnąłem znowu i obudziłem się dopiero wtedy, kiedy mię "Karol" wziął za ramię, mówiąc, że jesteśmy w domu.

— W domu? — westchnąłem. — Jakiż będzie ten dom mój nowy?

Z niepokojem wysiadłem i szliśmy dość szeroką drogą do posępnie wyglądającego budynku, który otaczał ciemny mur wysoki. Nad bramą widniał duży napis: Salem-House.

Mój przewodnik zadzwonił i wpuścił nas odźwierny, wysoki, tęgi, na drewnianej nodze, z grubą szyją, czerwoną twarzą i błyszczącemi, groźnemi oczyma.

— Nowy uczeń — rzekł nauczyciel.

Odźwierny objął mię od stóp do głowy swoim groźnym i bystrym wzrokiem, następnie zamknął furtkę na klucz, który schował do kieszeni, a ponieważ odeszliśmy tymczasem kilka kroków, zawołał głośno:

— Hola!

Nauczyciel przystanął i zwrócił się ku niemu. Odźwierny stał na progu maleńkiego domku, który był jego mieszkaniem, i trzymał w ręku parę butów.

— Był tu szewc, panie Mell — przemówił głośno — powiedział, że tych butów nie naprawi, że wstyd nosić takie ciarachy i zabierać taką robotą czas porządnemu człowiekowi.

To mówiąc, rzucił buty w naszą stronę.

Pan Mell postąpił ku nim parę kroków, podniósł z ziemi i zaczął oglądać uważnie z miną bardzo zafrasowaną. Mimo woli spojrzałem na obuwie, które miał na nogach, i zdawało mi się, że również byłoby je trudno naprawić.

Salem-House wydał mi się budynkiem bardzo obszernym, brzydkim, bez żadnych ozdób i dziwnie posępnym. Przy tem zdumiewała mię zupełna cisza: czy podobna, ażeby w szkole nie było słychać chłopców?

Zwierzyłem się panu Mełł z tych wątpliwości. Przystanął i patrzył na mnie ze zdziwieniem. Czyż nie wiem, że to miesiące wakacyj? Że chłopców w szkole niema? W Salem-House niema nikogo, bo pan Creakle (Krikl) właściciel, wyjechał z żoną i córką nad morze, więc mnie przysłano tu tylko za karę, ponieważ źle się sprawowałem w domu.

Mówił to wszystko spokojnie, z dobrocią, jakby nie go nie obchodziło moje sprawowanie w domu, i dzięki temu nabrałem do niego ufności.

Nauczyciel otworzył drzwi ogromnej sali i wpuścił mię do klasy, sam zaś z butami w ręku udał się na górę.

Przystanąłem u progu, zgnębiony tym widokiem. Wielka, posępna, słabo oświetlona sala, trzy rzędy niskich stołów i sześć rzędów ławek, na brudnej i zakurzonej podłodze pełno skrawków papieru i śmieci, to samo na stołach i ławkach, wszędzie ślady rozlanego atramentu, które na ciemnych ścianach tworzą całe mapy. W oknie maleńka klatka z nieszczęśliwym ptaszkiem, który, ćwierkając jakoś żałośnie i cicho, skacze i zeskakuje z drewnianego pręcika, ciągnącego się wzdłuż więzienia. Powietrze duszne, ciężkie, pełne kurzu, zapachu zgniłych jabłek i stęchlizny.

Odważyłem się wreszcie postąpić kilka kroków i na najbliższym stole ujrzałem spory karton, na którym wyraźnem pismem napisano: "Ostrożnie, bo kąsa".

Wskoczyłem na stół w mgnieniu oka, pewny, że gdzieś w pobliżu kryje się pies złośliwy. Oglądałem się trwożnie dokoła, gdy pan Mell wszedł do klasy.

— Co to znaczy? — spytał poważnie.

— Przepraszam pana — rzekłem, czerwieniąc się mocno — ale ten pies... ja się boję...

— Jaki pies? Gdzie?

— Nie wiem, ten, co kąsa...

Pan Mell spokojnie zbliżył się do stołu.

— Zejdź — rozkazał. — Psa tu niema, ale jest chłopiec, który kąsa. Bardzo mi przykro, że od tego zacznie się twój pobyt w szkole, ale muszę spełnić, co mi polecono. Będziesz nosił tę kartę na plecach.

Zamknąłem oczy i spuściłem głowę, było mi gorąco i miałem znów ochotę płakać, ale się powstrzymałem. Wszystko jedno, nic mi nie pomoże!

Zawiesił mi na plecach tę okropną kartę i nosiłem ją odtąd bezustannie.

Jaką to było męką, trudno opowiedzieć. Ciągle zdawało mi się, że ktoś na mnie patrzy i ktoś odczytuje te straszne wyrazy. Nie śmiałem się obejrzeć, gdyż ciągle miałem to wrażenie, że ktoś jest za mną, ktoś śledzi moje kroki, wszystko widzi. Najcięższy kamień nie mógłby być cięższy od tego kawałka papieru, ani tak przygniatać do ziemi.

Chwilami chciałem się oprzeć o drzewo, albo przysłonić plecami do muru, żeby mieć wypoczynek choć przez kilka minut, ale natychmiast zjawiał się przed swoim domkiem człowiek o jednej nodze z groźnemi oczyma i krzyczał strasznym głosem:

— Hej, panie Copperfield! Nie ukrywaj przed ludźmi swojej kary! Nie wolno!

Wtedy czułem w sercu okropne ściskanie, dusiło mię coś w gardle, ale musiałem słuchać i szedłem pochylony z białą tablicą na plecach, wiedząc, że na mnie patrzy służba z kuchni, rzeźnik, piekarz i każdy, kto w jakiejkolwiek sprawie zjawi się w Salem-House.

Pamiętam, iż dochodziło do tego, że bałem się samego siebie, stawałem się jakiś dziki, mogłem naprawdę kąsać,

W jednym kącie podwórza były wielkie drzwi, na których uczniowie wyrzynali imiona swoje i nazwiska. Stałem często przed niemi, odczytując wszystkie kolejno i przy każdem wyobrażając sobie, w jaki sposób on czytać będzie moją straszną kartę. Otoczą mię zapewne wszyscy, klaszcząc w ręce i krzycząc razem: kąsa! kąsa! kąsa! i drażnić będą jak psa na

łańcuchu. A potem może jeden zacznie śpiewać cały napis, a inni będą powtarzali chórem, i wszyscy się odwrócą z największą pogardą, i będę między nimi, jak pies wściekły, nikt mi ręki nie poda.

To samo powtarzało się w sypialni wobec szeregu pustych teraz łóżek. Co mię tu czeka wkrótce?

Czasem wołałem mamy, tuląc twarz w poduszkę, czasem płakałem strasznie, póki nie zasnąłem, lecz i we śnie ciche, spokojne obrazy zawsze się przerywały jakąś katastrofą, po której się budziłem przerażony.

Najprzyjemniejsze teraz były godziny lekcji. Pan Mell pracował ze mną codzień parę godzin, a ponieważ nie było przy tem ani pana Murdstone, ani jego siostry, więc wszystko mi szło jak najlepiej. Uczyłem się z łatwością i szczerem zajęciem, nauczyciel mię chwalił i wtedy jedynie zapominałem o wszystkich zmartwieniach, nawet o strasznej karcie.

Po lekcji wychodziłem na podwórze i błąkałem się między brzydkiemi drzewami, które dziwnie posępnie wyglądały. O pierwszej jedliśmy razem z panem Mellem skromny obiad, potem uczyłem się zadanych lekcyj i sam się dziwiłem, że mi to było tak łatwo, sam rozumiałem, że co dzień bardzo wiele przybywa mi do głowy.

O siódmej pan Mell zamykał rachunkowe księgi, nad któremi przesiadywał wiele godzin, piliśmy herbatę, a potem każdy szedł do siebie. Pan Mell najczęściej siadał w swoim pokoju przy oknie i grał na flecie. Nie lubiłem jego muzyki: była dręcząca, smutna, byłbym chętnie uciekł na drugi koniec świata, żeby jej tylko nie słyszeć.

V. WŚRÓD KOLEGÓW.

Tak mi upływał czas mniej więcej około miesiąca.

Pewnego dnia na koniec wielki ruch zrobił się w domu. Człowiek z drewnianą nogą komenderował głośno, baby nosiły wodę gorącą i zimną, okurzały, myły, zamiatały klasy, przewracały wszystko do góry nogami, robiły dużo hałasu, chlapania i przepędzały nas bez ceremonji obu z panem Mellem z jednego pokoju do drugiego.

Pan Mell oznajmił mi wreszcie, że pan Creakle, właściciel szkoły, przyjeżdża dziś wieczorem.

Rzeczywiście o zmroku zajechał powóz i przez okno widziałem, że wysiada z niego kilka osób.

Było już po herbacie i siedziałem w swoim pokoju, oczekując, co dalej będzie, kiedy na korytarzu usłyszałem stukanie drewnianej nogi i odźwierny wezwał mię surowym głosem, abym natychmiast stawił się przed dyrektorem.

Idąc za nim, zauważyłem, że ta połowa domu, którą zajmował dyrektor, wyglądała daleko ładniej i weselej. W korytarzu był miękki chodnik, jasne lampy, a przez okno ujrzałem kawałek ogrodu, gdzie oprócz drzew i krzewów widniały i grządki kwiatowe. To sprawiło mi wielką ulgę, rozpraszając przygnębiające przekonanie, że mieszkam na pustyni, gdzie wielbłąd jedynie mógłby czuć się zadowolonym.

Kiedy jednakże wszedłem do pokoju, gdzie miałem ujrzeć pana Creakle, w pierwszej chwili zrobiło mi się zupełnie ciemno w oczach i prócz jego osoby, która zdawała mi się być otoczona jakąś szczególną jasnością, nie widziałem nic dokoła.

Pan Creakle wydał mi się ogromnym mężczyzną, o wielkiej i czerwonej twarzy, grubych, czerwonych ustach i straszliwie błyszczących oczach. Nie byłbym zdziwiony, gdyby mi powiedziano, że jest ludożercą.

Siedział przy stoliku na dużym fotelu, z ręką opartą na lasce, z kieszeni kamizelki wysuwał się gruby, błyszczący złoty łańcuszek od zegarka z dużym pękiem breloków, a na stoliku przed nim stała butelka i szklanka.

Za nim, w głębi pokoju, siedziała — jeszcze dla mnie niewidzialna — pani Creakle z twarzą łagodną i dobrą i młoda, bardzo ładna panna Creakle. Człowiek z drewnianą nogą zatrzymał się o parę kroków.

— Aaa! — sapnął pan Creakle jakimś przyduszonym głosem. — To młodzieniec, któremu trzeba przy trzeć zęby!

Człowiek z drewnianą nogą odwrócił mię szybko plecami do niego i trzymał dosyć długo, ażeby dyrektor mógł się przyjrzeć mojej karcie, potem znowu postawił mię w pierwszej pozycji.

Teraz spostrzegłem, że pan Creakle miał głowę łysą pośrodku, a włosy od skroni zaczesane z obu stron w górę, nos bardzo mały i bardzo szeroki, lecz największe wrażenie zrobiła na mnie okoliczność, że ten okropny człowiek nie miał głosu.

Nie miał głosu. Z czerwonych, jakby krwawych ust jego wychodził jakiś przytłumiony i bezdźwięczny szept, przy czem za każdym razem nabierały mu na skroniach, niby sznury, grube, ciemno-sine żyły.

— Jaki raport? — zwrócił się do odźwiernego.

— Nic takiego dotąd — odparł mój dozorca z widocznem niezadowoleniem. — Nie miał, widać, jeszcze okazji.

Skrzywione usta pana Creakle zdradzały wyraźnie naganę za te słowa, lecz pani Creakle, którą w tej chwili spostrzegłem, uśmiechnęła się do mnie i spojrzała bardzo życzliwie.

— Zbliż się! — sapnął pan Creakle.

— Zbliż się! — powtórzył głośniej człowiek z drewnianą nogą.

Postąpiłem krok naprzód.

— Mam szczęście osobiście znać twego ojczyma — rzekł pan Creakle, gwałtownie chwytając mię za ucho, w którem uczułem nagle ból dotkliwy. — Niepospolity człowiek ! Człowiek z charakterem! Ho, znam go dobrze i on zna mię także! A ty znasz mię, młodzieńcze? — dodał, pociągając mię silniej za ucho.

— Jeszcze nie — wyjąkałem bardzo cicho.

— Jeszcze nie? No, to poznasz mię niedługo! — zaśmiał się szkaradnym śmiechem.

— Jeszcze nie? No, to poznasz mię niedługo! — powtórzył mój dozorca głośniej.

Domyśliłem się wtedy, że jego obowiązkiem było powtarzać głośno słowa dyrektora, kiedy mówił do chłopców.

— Dowiesz się, kto ja jestem! — szepnął znowu, zakręcając nieszczęsne ucho, aż mi łzy stanęły w oczach. — Jestem Tatar!

— Jestem Tatar! — głośno powtórzył odźwierny.

— Jeśli powiem, że tak być musi, to będzie! A jeżeli powiem, że co zrobię, to zrobię! — szeptał dalej. — Chociażbym miał połamać zęby psu wściekłemu!

— Psu wściekłemu! — powtórzyło głośne echo.

— Nie mam żony ani dzieci, jeżeli się sprzeciwiają mojej woli — sapnął głośniej. — To nie moja żona i dzieci! Moja wola to prawo. Pełnię swój obowiązek!

— Obowiązek.

Pani Creakle przyciskała chusteczkę do oczu, a miss Creakle płakała, zasłoniwszy twarz rękami. To mię przerażało, ale i dodawało odwagi. Nie czułem się już tak samotny.

— Teraz precz z nim — sapnął pan Creakle i odwrócił się w stronę stolika.

Człowiek z drewnianą nogą wskazał mi drogę ku drzwiom, lecz ja mimo całego strachu nie ruszyłem się z miejsca i, zebrawszy odwagę, przemówiłem:

— Panie…

— Co? Co? Co to znaczy? — zaszeptał pan Creakle pochylony, jakby chciał rzucić się na mnie.

— Proszę pana — powtórzyłem cicho, lecz stanowczo — ja żałuję bardzo tego, co zrobiłem, i chciałem prosić, żebym mógł zdjąć już ten napis, zanim chłopcy przyjadą.

Nie wiem, czy mię pan Creakle chciał przestraszyć, lecz z takim strasznym rykiem zerwał się z fotela, że uciekłem z pokoju, ile mi sił starczyło, jak błyskawica przebiegłem korytarz i wpadłem do sypialni, drżąc na całem ciele.

Przez chwilę nasłuchiwałem z przerażeniem, ale nikt mię nie gonił, więc zamknąłem drzwi i natychmiast położyłem się do łóżka, choć długo w noc nie mogłem zasnąć.

"Znam twojego ojczyma. Człowiek z charakterem" — brzmiało mi bezustannie w bolącem jeszcze uchu i powiększało trwogę przed tym okropnym człowiekiem. Bo jeśli to przyjaciel mojego ojczyma, jeżeli pan Murdstone wybrał umyślnie tę szkołę, aby jego przyjaciel mógł mię dręczyć, to czegóż się mogę spodziewać?

Nazajutrz rano przybył starszy nauczyciel, pan Sharp, który należał do stołu pana Creakle, choć pan Mell jadał z chłopcami. Był to szczupły jegomość, starannie ubrany, z dość dużym nosem i głową na bok przechyloną, jak gdyby nie mógł utrzymać jej prosto. Miał bujne, pięknie wijące się włosy, ale chłopcy powiedzieli mi zaraz, że je co sobota fryzuje.

Z chłopców przyjechał pierwszy Tomek Traddles. Spotkał mię na podwórzu i powiedział:

— Chcesz wiedzieć, kto ja jestem? Poszukaj na samej górze w rogu na prawo.

Wspiąłem się na palce i przeczytałem:

— Traddles!

— Ten sam! — zawołał Tomek i kazał mi opowiedzieć sobie wszystko o moim domu i rodzinie.

Dla mnie było to wielkiem szczęściem, że Tom przyjechał pierwszy, gdyż tak ubawiła go moja tablica, że wziął mię pod opiekę i sam ją prezentował każdemu nowoprzybyłemu.

— Patrzcie! — wołał. — To ci zabawa!

Czytali i śmieli się po większej części, gdyż byli w dobrych humorach. Niektórzy urządzili wkoło mnie indyjski taniec, inni nie umieli oprzeć się pokusie podrażnienia się ze mną, wołając jak na psa, co kilkakrotnie doprowadziło mię do płaczu, lecz ogólnie tak źle nie było, nawet o wiele lepiej, niż się spodziewałem.

Nie byłem uważany jednak za kolegę, dopóki nie przyjechał Steerforth. Przybycie jego wielkie sprawiło wrażenie, od razu zrozumiałem, że jest wodzem wszystkich.

Trzymałem się na boku i nikt się do mnie przez parę godzin nie zbliżał, — w drugim końcu podwórza skupili się wszyscy.

Na koniec jeden z młodszych przybiegł do mnie. Pod szopą na złamanem krześle siedział Steerforth, obok niego kilku starszych na połamanych ławkach i drwach, przeznaczonych na opał. Stanąłem przed nim spokojny, choć blady, oczekując wyroku.

Kazał mi opowiedzieć szczegóły przewinienia i kary, słuchał z zajęciem, a kiedy skończyłem, uderzył mię łaskawie po ramieniu i odezwał się głośno, że mogę "gwizdać na całą tę głupią historję".

Uczułem niewymowną wdzięczność za te słowa, chociaż nie zrozumiałem, dlaczego mam gwizdać, ale widoczne było, że zdjęły one ze mnie wszelką odpowiedzialność i upokorzenie. Koledzy otoczyli mię natychmiast, podawali mi rękę, rozmawiali ze mną.

Sam Steerforth przeszedł się ze mną dokoła podwórza.

— Masz pieniądze? — zapytał. — Wiele?

— Sześć szylingów.

— Radzę ci, oddaj mi je do schowania. A zresztą, zrób, jak uważasz. To zależy od ciebie.

Bez wahania wysypałem mu na rękę wszystko, co pozostało w sakiewce Peggotty.

— Czy chcesz coś wydać zaraz? — spytał znowu.

— Nie, nie mam na co.

— Może byśmy wypili wieczorem w sypialni buteleczkę słodkiego wina? — spytał znowu. — Śpimy razem, zdaje się.

— I owszem — odpowiedziałem pośpiesznie, chociaż nie miałem na to najmniejszej ochoty.

— Doskonale! — zawołał Steerforth. — A może by kupić ciastek za drugiego szylinga na przekąskę?

— Bardzo proszę — pośpieszyłem odpowiedzieć.

— W takim razie radziłbym — zauważył Steerforth — nie pożałować jeszcze na owoce i trochę biskwitów. Pieniędzy wystarczy, a będzie uczta, co się zowie. Jakże myślisz?

— Pan lepiej wie, ja chętnie zgadzam się na wszystko. Uśmiechałem się, ponieważ Steerforth się uśmiechał, ale było mi trochę głupio, że tak od razu wydam wszystko na przysmaczki.

— Załatwię to — mówił Steerforth — ponieważ mnie wolno wychodzić na miasto.

Z temi słowy wsypał pieniądze do swojej portmonetki, uderzył mię parę razy po ramieniu i powiedział, że nie potrzebuję niczego się obawiać, gdyż jestem pod jego opieką.

Tym sposobem na pozór było wszystko dobrze, w sumieniu jednak nie byłem spokojny: wstydziłem się, że lekkomyślnie zmarnowałem drogi dar mamy, i to mię tylko pocieszało, że schowałem papierek, jej ręką zaadresowany, w którym pieniądze były zawinięte.

Kiedy wieczorem znaleźliśmy się wreszcie w sypialni, Steerforth na mojem łóżku porozkładał paczki z ciastkami, owocami, przysmakami, postawił butelkę wina i położył obok kieliszek bez nóżki, który był jego własnością.

Uczta przedstawiała się bardzo wspaniale, lecz nie mogłem być gospodarzem: czułem, że nie potrafię i nie mam humoru. Więc prosiłem Steerfortha, aby mię zastąpił. Zrobił to bardzo chętnie. Wszyscy chłopcy z naszej sypialni zgrupowali się cicho koło mego łóżka i w milczeniu rozkoszowali się łakociami. Ja tylko jeść nie mogłem, wstyd mi było jakoś, lecz naturalnie nikomu o tem nie mówiłem.

Jak wybornie pamiętam do dnia dzisiejszego ten pierwszy tajemniczy wieczór koleżeński! Chłopcy na naszych łóżkach i między niemi siedzą na podłodze cichutko ciemnemi grupami, blade światło księżyca słabo oświetla sypialnię i rzuca na podłogę obraz okna. W ciemności słychać niewyraźne szepty. Czasem błyśnie jaśniej zielonawy ognik zapalonej zapałki, kiedy Steerforth szuka jakiej paczki na łóżku. Odblask pada na twarz chłopców i znów gaśnie. Ogarnia mię uczucie tajemniczości i trwogi, kiedy Tomek zapewnia, że widzi ducha w kącie. Słucham, co chłopcy szepczą i opowiadają, cały przejęty ważnością tej chwili i usłyszanych wieści.

Bo czegóż się nie dowiedziałem tego samego wieczora o szkole i panu Creakle.

Dowiedziałem się, że pan Creakle najzupełniej słusznie nazywa się Tatarem, gdyż jest dziki i srogi jak prawdziwy Tatar, umie tylko bić kijem na prawo i lewo, bez litości i bez rozumu, że na nauce nie zna się zupełnie, gdyż jest głupszy od najmłodszego ucznia w swojej szkole. Kiedyś miał jakiś sklepik w któremś małem miasteczku, lecz zbankrutował i za pieniądze żony kupił sobie tę szkołę.

Człowiek z drewnianą nogą nazywa się Tungay, oddawna służył panu Creakle, jeszcze w owym sklepie, zna jego tajemnice i jest we wszystkiem spólnikiem. Oprócz pana Creakle wszystkich innych ludzi-uważa za swoich wrogów i jedyną w jego życiu przyjemnością jest prześladować uczniów.

Dowiedziałem się, że oprócz żony i córki, miał pan Creakle syna, lecz ten nie był wcale do ojca podobny, ujął się kiedyś za pokrzywdzonym uczniem i został wypędzony z domu. Z tego to właśnie powodu pani Creakle jest zawsze smutna, a miss Creakle często płacze.

Słuchałem tych opowiadań z największą ciekawością i niezmiernem zdumieniem: skąd chłopcy to wszystko wiedzą? Ale najwyższy podziw obudziła we mnie wiadomość, że jest w tej szkole chłopiec, na którego pan Creakle nie poważyłby się nigdy podnieść ręki i że tym chłopcem jest Steerforth.

Wprost zapytany Steerforth potwierdził to z całą pewnością i oświadczył, że gdyby kiedy taki Creakle ośmielił się zapomnieć wobec niego, rozbiłby mu na łysej głowie kałamarz z atramentem, który zawsze nosi w kieszeni.

Po tych słowach Steerfortha nastało milczenie, którego przez czas długi nikt nie śmiał przerywać.

Potem rozmawialiśmy o nauczycielach. Uczniowie przyznawali, że obaj, Sharp i Mell, uczą dobrze i pracują bardzo sumiennie, ale są licho płatni, a pan Mell nie ma nigdy w kieszeni ani grosza. Podobno utrzymuje biedną starą matkę.

To przypomniało mi pierwsze śniadanie w Londynie i przytułek ubogich kobiet, ale westchnąłem tylko i nie

powiedziałem o tem ani słowa.

Z powodu takich rozmów nasza uczta przeciągała się dość długo. Wprawdzie większa część chłopców wróciła do łóżek zaraz po nasyceniu apetytu, ale kilku zostało, szepcząc coraz ciszej i wyjawiając coraz większe tajemnice.

Na koniec położyliśmy się wszyscy. Na zegarze biła dwunasta.

— Dobranoc, Copperfield — rzekł Steerforth cicho — jesteś dobrym kolegą, biorę cię pod opiekę.

— Jesteś bardzo dobry, dziękuję za wszystko — odpowiedziałem wzruszony.

— Czy masz siostrę? — spytał, ziewając.

— Nie.

— To wielka szkoda. Byłaby do ciebie podobna i kochałbym ją pewnie. Dobranoc.

Długo nie mogłem zasnąć, myśląc o Steerforcie, jego pięknej twarzy i wysokim wzroście, tak odpowiednim do wielkiej władzy i godności, które piastował w szkole. Uczułem się bezpiecznym pod jego opieką i szczęśliwym z okazywanej mi przyjaźni.

Nazajutrz rozpoczęła się nauka.

Było nas wszystkich razem czterdziestu sześciu ze mną. Wszyscy pracowaliśmy w jednej sali, podzieleni na grupy czyli klasy, pod kierunkiem pana Mella i pana Sharpa.

W sali panował gwar zmieszanych głosów, który mię odurzał i nie pozwalał zebrać myśli. Nagle wszyscy umilkli i zrobiła się cisza tak głęboka, jakby całe życie zamarło.

Podniosłem oczy i ujrzałem w progu pana Creakle; wydał mi się olbrzymem z bajki, który zagląda do swych niewolników.

Obok niego stał Tungay.

Pan Creakle długą chwilę mierzył nas spojrzeniem, wreszcie zaczął przemawiać swoim sapiącym głosem, który jednak w tej ciszy słychać było dosyć wyraźnie.

— Zaczynamy nowe półrocze. Zabierzcie się do pracy, bo ze mną żartów nie ma. Wiecie dobrze! Bądźcie skorzy do lekcji, bo ja skory jestem do kary. Wykręty nie pomogą ze mną żadne, nie

potrzebuję was chyba zapewniać. Więc do roboty, jeżeli nie chcecie spotkać się z moim kijem.

Skończywszy tę przemowę, zbliżył się do ławki, w której siedziałem z brzegu, spojrzał mi w oczy swemi srogiemi oczyma i oznajmił, że jeżeli umiem kąsać, to jego laska kąsa też boleśnie. I na próbę uderzył mię nią kilkakrotnie.

Kiedy zacząłem płakać, rozśmiał się okropnym śmiechem i podobną rozmowę zaczął z następnym uczniem.

W ten sposób z wolna obszedł całą klasę, zatrzymując się najdłużej przy najmłodszych i znacząc swoją drogę jękami i łzami. Przed rozpoczęciem pracy już połowa uczniów płakała.

Kiedy dziś o tem myślę, nie mogę zrozumieć, jakim sposobem taki potwór mógł mieć władzę, mógł mieć prawo utrzymywania własnej szkoły? Jakim sposobem prawdziwi rodzice powierzali mu dzieci? Przecież szkół innych, lepszych nie brakowało w kraju, jakim sposobem mogła istnieć taka?

Prawda, że sam w tej szkole dużo korzystałem, nauczyciele byli sumienni, gorliwi, prawdopodobnie poprzedni właściciel zrobił jej dobrą sławę, a pan Creakle nabył niedawno i jeszcze go rodzice nie poznali.

Trudno inaczej wytłumaczyć sobie, że powierzano mu chłopców. Ja przysłany byłem za karę i mój ojciec wiedział, co robi, ale inni? Biedny Traddles na przykład co dzień mówił, że napisze o wszystkiem do stryja, który się nim opiekował, lecz jakoś nigdy nie uczynił tego. Dlaczego?

Biedny Tomek miał specjalne szczęście do laski pana Creakle. To on tak nieszczęśliwie rzucił piłkę, że stłukł szybę w gabinecie dyrektora i podobno skaleczył mu łysinę. To on był ukarany, kiedy Steerforth głośno roześmiał się w kościele. Prawda, że zyskał za to najwyższą pochwałę, gdyż sam Steerforth powiedział, że jest najmężniejszy z mężnych, i rozumiałem, że za takie słowa warto cierpieć o wiele więcej.

Steerforth otaczał mię stale przyjaźnią i, chociaż mię to nie mogło osłonić od bolesnych plag pana Creakle, lecz wśród kolegów zapewniało mi życzliwość, a nawet pewne znaczenie.

To ostatnie podniosło się niespodziewanie skutkiem drobnej okoliczności.

Nie pamiętam już z powodu czego, podczas gry na podwórzu wspomniałem o sposobach ucieczki niewolników w "Chacie wuja Toma". Steerforth spojrzał na mnie, lecz nic nie powiedział, dopiero kiedy leżeliśmy w łóżku, spytał, czy znam tę książkę.

— Naturalnie — odparłem. — Tę i wiele innych, znalazłem wszystkie w ojca bibljotece i to było największą przyjemnością w domu, że je mogłem przeczytać.

— A pamiętasz? — pytał znów Steerforth.

— Jakżebym mógł nie pamiętać tego, co przeczytałem?

— W takim razie posłuchaj: będziesz mi te wszystkie książki kolejno opowiadał, kiedy się spać położymy. Często nie mogę zasnąć, rano także budzę się wcześnie, to będzie przyjemna rozrywka.

Byłem dumny z tego układu i gorliwie spełniałem włożone na mnie obowiązki. Inna rzecz, czy autorowie poznaliby w tych powieściach swoje dzieła, lecz ja opowiadałem z mocną wiarą, że tak czytałem, i ta pewność nadawała mi swobodę i czyniła opowiadanie zajmującem.

Inni chłopcy z naszej sypialni korzystali też nieraz z tych powieści i spoglądali na mnie z pewnem uszanowaniem. Miało to jednak i swoje złe strony: Steerforth był wymagający, nie uwzględniał mego znużenia, ja przez ambicję nie chciałem się także uskarżać i tym sposobem często bywałem zmęczony, niewyspany i nie mogłem skupić uwagi do pracy.

Mniejsza o to, kochałem Steerfortha tak bardzo, że dla niego znosiłem chętnie i plagi pana Creakle, i niezadowolenie dobrych nauczycieli, i znużenie. Jeden życzliwy uśmiech, dobre słowo z jego strony, wynagradzały mi hojnie wszelkie przykrości i krzywdy.

Nadszedł też obiecany list Peggotty, jaki przyjemny! Duże pudło ciastek, pomarańcz i dwie butelki wybornego wina z porzeczek.

Zaniosłem to natychmiast wszystko do Steerfortha i prosiłem, aby postąpił, jak uważa za odpowiednie.

Obejrzał każdą rzecz z wielkim spokojem, a potem się uśmiechnął.

— Wino — rzekł — schowamy, aby cię pokrzepić, kiedy jesteś zmęczony przy opowiadaniu.

A więc to zauważył! Zaczerwieniłem się mocno i zacząłem błagać, aby nie zważał na to i obdzielił wszystkich, ale pozostał przy swojem. Schował obie butelki do swego kuferka i wydzielał mi sam po trochu, kiedy osądził, że potrzebuję wzmocnienia.

Może zrobił rozsądnie, gdyż sam uczułem wkrótce skutek pożądany: opowiadałem lepiej i nie czułem zupełnie wyczerpania.

Nauka szła mi nieźle i zdawałem sobie sprawę, że najwięcej zawdzięczam to panu Mellowi, który widocznie mię lubił i pomagał mi chętnie. To też sprawiało mi ogromną przykrość, że Steerforth obchodził się z nim pogardliwie, mówił o nim z lekceważeniem i dokuczał przy każdej sposobności. Tem więcej mię to bolało, że mu kiedyś opowiedziałem o mojem śniadaniu w przytułku i obawiałem się zawsze, że wypowie to głośno panu Mellowi przy chłopcach.

Przyszło wreszcie do tego z wielkiem mojem upokorzeniem i bólem.

Pan Creakle był niezdrów i nie wychodził z pokoju. Rozumie się, że chłopcy cieszyli się z tego i hałas był niezwykły w całej szkole. Nie pomogły nawoływania obu nauczycieli, ani nawet ukazanie się Tungaya, hałaśnicy wiedzieli, że jutro nie minie ich kara, ale tem bardziej dzisiaj chcieli użyć.

Deszcz drobny padał, więc pomimo rekreacji nie mogliśmy się bawić na podwórzu i kazano nam siedzieć w klasie pod dozorem pana Mella, ponieważ to była sobota i pan Sharp, jak zwykle, poszedł do fryzjera.

Nie przypominam sobie, abym kiedy w życiu spotkał łagodniejszego niż pan Mell człowieka. I teraz siedział przy swoich rachunkach, starając się pracować pośród gwaru,

którego niepodobna opowiedzieć. Chłopcy tańczyli, śpiewali, gwizdali, rzucali papierowemi kulami, kłócili się, krzyczeli, mocowali, przedrzeźniali go i pokazywali na migi jego podarte buty i zbyt ciasne ubranie.

Nagle podniósł się z krzesła i uderzył w stolik książką, którą znalazł pod ręką.

— Ciszej, chłopcy! — zawołał. — Jak możecie tak krzyczeć, przecież to można zwarjować.

Stałem właśnie przy stoliku obok niego i widziałem, jak na te słowa chłopcy ucichli nagle i spojrzeli na niego trochę zadziwieni, a trochę i zmartwieni może.

W przeciwnym końcu sali, oparły plecami o ścianę, stał Steerforlh. Ręce trzymał w kieszeni, patrzył na pana Mella i zaczął gwizdać.

— Ciszej, Steerforth! — zawołał pan Mell znowu.

— Sam pan bądź ciszej — odpowiedział Steerforth — i pilnuj swojej roboty.

Któryś zaśmiał się i klasnął w ręce, ale natychmiast umilkł. Pan Mell był tak strasznie blady, że nikt nie śmiał przemówić słowa i wszystkie oczy były na niego zwrócone.

— Panie Steerforth — rzekł wreszcie — oddawna widzę i sądzę twoje postępowanie, lecz jeśli ci się zdaje, że przywileje, z jakich korzystasz w tej szkole, dają ci prawo ubliżać nauczycielowi i krzywdzić gentlemana, mylisz się, panie Steerforth.

— Gentlemana? — powtórzył Steerforth drwiąco. — Któż to taki?

— To za wiele! Wstyd, Steerforth! — zawołał głośno Traddles.

— Ciszej! — zwrócił się pan Mell do niego. — Co zaś do ciebie, Steerforcie, powtarzam, że postępek twój jest nieszlachetny. Można być nieszczęśliwym i ubogim, a jednakże godnym szacunku, można być bogatym i nawet potężnym, a mieć niski charakter, i dlatego…

— Słuchaj, panie Mell i wy wszyscy! — zawołał Steeforth. — Ten zuchwały i nędzny żebrak…

Nie wiem prawie, co się stało dalej. Jakiś okropny krzyk, czy pan Mełł rzucił się na Steerfortha, czy Steerforth na niego — i nagle wszystko skamieniało: pan Creakle stał pośród nas, a nieodstępny Tungay obok niego.

Pan Creakle wyglądał strasznie: twarz miał jeszcze czerwieńszą niż zwykle, żyły na skroniach jeszcze bardziej sine i grubsze, a oczy rzucały jakieś złowrogie blaski. Położył rękę na ramieniu pana Mella, który usiadł przy stoliku, i potrząsnął nim mocno.

— Zdaje mi się, że pan się zapomniałeś! — powiedział zupełnie wyraźnie.

Pan Mell potrząsnął głową.

— Ja się nie zapomniałem, sir — rzekł drżącym głosem — ale pan dawno zapomniałeś o mnie i dlatego… gdyby pan nie zapomniał…

Pan Creakle wsparł się ciężko na Tungayu i usiadł na najbliższej ławce jak na tronie, zmierzył pana Mella wzrokiem, który mógł sparaliżować mu język, i skinął na Steerfortha.

— Opowiedz, co to znaczy? — odezwał się krótko. Steerforth się zawahał i milczał przez chwilę, widoczne było dla mnie, że wolałby uniknąć odpowiedzi. Ale nie było rady.

Spojrzał na pana Mella wyzywająco.

— Zarzuca mi, że korzystam w szkole z przywilejów. Niech się wytłumaczy, co przez to rozumie — rzekł wreszcie.

— Proszę się wytłumaczyć! — sapnął pan Creakle groźnie.

— Chciałem przez to powiedzieć — rzekł pan Mell spokojnie — iż żaden uczeń, a więc i pan Steerforth nie ma prawa ubliżać mi dlatego, że jestem biedny.

— Uniosłem się, przyznaję — mówił wyniośle Steerforth — nie byłbym go nazwał żebrakiem, gdybym panował nad sobą.

Twarz pana Creakle znowu mocniej sponsowiała.

— W każdym razie, Steerforcie — zaczął — w SalemHouse nauczyciele nie mogą być żebrakami. Powinieneś to odwołać ze względu na szkołę.

Steerforth podniósł głowę z miną pogardliwą.

— Nigdy nie cofam słowa — odparł dumnie. — Jeśli zrobiłem zarzut, choćby w uniesieniu, muszę mieć do niego podstawę. Dla mnie to wszystko jedno, czy pan Mell żyje z jałmużny, czy kto z jego najbliższych krewnych. A jeżeli pan żądasz, abym mówił jasno, więc mówię najzupełniej jasno, że matka tego pana mieszka w przytułku dla ubogich.

Pan Creakle sapał przez chwilę jakby nie mógł przemówić.

— Co to ma znaczyć? — odezwał się wreszcie. — Jak pan śmiałeś?

Pan Mełł uśmiechnął się dziwnie.

— Dajmy pokój tej komedji — rzekł na koniec. — Może pan nie wiedzieć, o czem pan wiedzieć nie chce, a co do mnie...

— Precz natychmiast! — syknął pan Creakle z wściekłością.

Pan Mełł oparł rękę na mojem ramieniu.

— Żegnam pana i panów — rzekł, obejmując wzrokiem całą salę — a tobie, Steerforcie, życzę uczciwie i z serca, abyś się kiedyś wstydził tego, co dziś popełniłeś. Mam nadzieję, że nie spotkamy się więcej.

Wziął ze stolika parę swoich książek, wyjął z szufladki flet, położył kluczyk i oddalił się spokojnie, unosząc w ręku całe swoje mienie.

W klasie panowało głębokie milczenie.

Wtem pan Creakle uderzył laską i zaczął niewyraźnie sapać jakąś przemowę, którą Tungay powtarzał głośno. Dziękował Steerforthowi w imieniu całej szkoły za wyjaśnienie niskiego podejścia, którego był ofiarą, i mocno uścisnął mu rękę.

Steerforth jednakże nie zdawał się być zachwycony. Głowę podniósł wysoko, lecz brwi miał zsunięte, a w oczach jakieś błyski niepokoju.

Traddles zaszlochał głośno.

Uszczęśliwiony pan Creakle wymierzył mu kilka uderzeń i wyszedł, wsparty na swoim Tungay'u, kończyć chorobę w łóżku czy na sofie.

Wtedy zaczęliśmy spoglądać na siebie. Traddles płakał głośno z głową, opartą na ławce, i ja byłbym zrobił to samo, gdybym się nie bał obrazić Steerfortha.

— Mazgaj! — przemówił Steerforth pogardliwie. — Zasłużyłeś na to, co cię spotkało od Creakle.

— Wszystko mi jedno — odparł biedny Traddles. — Pan Mell został skrzywdzony i będę go zawsze żałował.

— I czemże go skrzywdziłem, niedołęgo?

— Upokorzyłeś go i pozbawiłeś chleba. Myślę, że to chyba dosyć?

— Upokorzyłem? I ty wyobrażasz sobie, że jego uczucia są takie, jak nasze? A co do chleba, ma czego żałować, istotnie! Napiszę do matki i w dwójnasób wynagrodzi mu tę stratę.

Wiedzieliśmy wszyscy, że matka Steerfortha była bogatą wdową, kochała jedynaka i spełniała wszystkie jego życzenia i zachcianki. To też ta obietnica pocieszyła niejedno sumienie i wydawała się bardzo szlachetną. A Steerforth mówił dalej. Przekonał nas, że to zrobił dla naszego dobra, że wszyscy powinniśmy mu być wdzięczni.Łatwo wierzymy temu, kto nam się podoba, a Steerforth był tak piękny, starannie ubrany, tak szlachetnie wyglądał!

Lecz wieczorem, gdy skończyłem zwykłe opowiadanie i w sypialni zaległa cisza, na próżno przyciskałem głowę do poduszki, usiłując zasnąć spokojnie. Blada twarz nauczyciela stała mi tak wyraźnie przed oczami, widziałem jego smutne i dobre spojrzenie i słyszałem z daleka ten straszny głos fletu, który rozdzierał mi serce. Nasunąłem kołdrę na głowę i tłumiłem szlochanie. To ja odwdzięczyłem mu się w taki sposób za to, że mię nakarmił, gdym był głodny! O, jakże byłem nieszczęśliwy!

Odtąd miałem tajemnicę przed Steerforthem, której może nie umiałbym mu nawet opowiedzieć, ale której czas nie zacierał, chociaż okrył ją kurzem zapomnienia.

W szkole wróciło wszystko do zwykłego trybu. Steerforth nabrał jeszcze większego znaczenia, na miejsce pana Mella przybył nowy nauczyciel, który umiał pozyskać sobie jego względy, więc i uczniowie byli z niego zadowoleni, lecz ja straciłem wiele i coraz lepiej rozumiałem, jaką pomocą dla

mnie był ten dobry człowiek, któremu się tak szkaradnie odwdzięczyłem.

Pewnego popołudnia bawiliśmy się znowu w wielkiej sali z powodu niepogody. Pośród największej wrzawy zjawił się jak zwykle pan Creakle i machał laską na prawo i lewo, gdy we drzwiach stanął Tungay i zawołał głośno:

— Odwiedziny do Copperfielda!

Wystąpiłem naprzód, blady i czerwony na zmianę, przerażony, niespokojny i uszczęśliwiony, oczekując z bijącem sercem na koniec cichej rozmowy pana Creakle z Tungayem. Wreszcie pan Creakle rozkazał mi sucho, abym przede wszystkiem udał się na górę, umył ręce, oczyścił ubranie i wziął czysty kołnierzyk. Następnie mogę zejść do jadalnego pokoju.

Zdaje mi się, że nigdy w życiu nie przebrałem się i nie umyłem tak prędko, lecz dopiero przed drzwiami jadalnego pokoju przyszło mi na myśl, że to może mama! Uczułem ściśnienie w gardle i zatkałem, ale uspokoiłem się natychmiast i popchnąłem drzwi lekko.

Stawiały opór. Wcisnąłem się więc zadziwiony i ujrzałem pod ścianą Chama i pana Peggotty. Kłaniali mi się nisko i mieli twarze tak wesołe, że wybuchnąłem śmiechem z radości, że ich widzę. Oni śmieli się także, w końcu musiałem wyjąć z kieszeni chustkę od nosa, gdyż miałem oczy zapłakane.

Zobaczywszy to, pan Peggotty skinął głową na Chama, żeby co powiedział.

— Pan Dewi bardzo urósł — oznajmił Cham wesoło.

— Urosłem? Naprawdę? — zdziwiłem się bardzo.

— O, tak, pan Dewi urósł — powtórzył pan Peggotty. I zaczęliśmy znowu śmiać się wszyscy troje tak długo,że zacząłem płakać.

— Miałem list od Peggotty — powiedział żywo stary rybak.

— A mama? — zapytałem. — Czy pisze o mamie? A Peggotty czy zdrowa?

— Mama zdrowa, Peggotty zdrowa, wszyscy zdrowi — zapewniał mię z przekonaniem.

Nastąpiła chwila milczenia.

Pan Peggotty wyjął z torby ogromnego homara, kilka krabów, cały woreczek krewetek i garść pięknych muszli. Kładł to wszystko na rękach Chama, który stał nieruchomy i nie wiedział, co ma z tem począć.

— Pan Dewi lubił u nas te morskie przysmaki, więc mówiłem do Chama: zawieziemy taki gościniec. Pani Gummidge to ugotowała, a Emilka zebrała te muszelki.

Wziąłem w rękę parę muszelek i patrzyłem na nie wzruszony: przypominały mi szczęśliwe chwile.

— Peggotty napisała — mówił dalej rybak — żebyśmy tu wstąpili, jak będziemy kiedy w Gravesen. A że pogoda piękna, więc powiedziałem do Chama: popłyniemy do Gravesen i odwiedzimy pana Dewi. I jesteśmy.

Chciałem spytać go o Emilkę, kiedy niespodziewanie Steerforth, gwiżdżąc, wszedł do pokoju.

— Przepraszam cię, Copperfield — rzekł, spojrzawszy na moich gości, nie wiedziałem, że jesteś tutaj.

— Nic nie szkodzi — zawołałem ucieszony. — To pan Peggotty z Yarmouth. Był w Gravesen i przyszedł mię odwiedzić.

— Bardzo mi przyjemnie poznać panów — rzekł Steerforth. — Tyle o was słyszałem od Dawida.

— To wszystko nic, mój drogi — odezwałem się, ucieszony jego serdecznością dla rybaków — nie widziałeś najpiękniejszej rzeczy w świecie: domku pana Peggotty z prawdziwego statku!

— Jakto? Z okrętu? — pytał Steerforth ze zdziwieniem. Zawiązała się bardzo wesoła rozmowa. Steerforth miał dar szczególny zjednywania ludzi: obaj rybacy byli nim zachwyceni i zapraszali, aby zobaczył ich domek, on zaś przyrzekł skorzystać z pierwszej sposobności.

Serdeczne było nasze pożegnanie. Przy pomocy Steerfortha przeniosłem szczęśliwie gościniec do sypialni, a wieczorem odbyła się wspaniała uczta.

Biedny Traddles sam tylko odpokutował za nią. Dziwnie nie miał szczęścia ten chłopiec: jemu jednemu zaszkodziły kraby. Jęczał i wił się z bólu, potem musiał zażyć ogromną porcję wstrętnego lekarstwa, a ponieważ nie chciał powiedzieć, co było

przyczyną choroby, dostał laską od pana Creakle i musiał się nauczyć sześć paragrafów greckiego.

Odwiedziny pana Peggotty były jedyną chwilą jasnych wspomnień i urozmaicenia jednostajnych dni życia szkolnego. Poza tem co dzień jedno i to samo: chłodne ranki, kiedy trzeba wstawać z łóżka, i chłodne, ciemne noce, kiedy do łóżka wracamy; wieczory w chłodnej, słabo oświetlonej sali, pełnej wrzawy, krzyku i kłótni, i przedpołudnia szkolne z kuciem i odwiedzinami pana Creakle.

A wśród tych szarych dni z daleka, het, z daleka, niby wschodząca gwiazda błyskała nadzieja wakacyj. Z wolna blade światełko stawało się jaśniejsze, wyraźniejsze, zbliżało się i rosło. Nieskończenie długie miesiące, które widzieliśmy przed sobą, topniały nieznacznie, niby sople lodu, już liczymy tygodnie, już dnie tylko zostały.

Wtedy ogarnęła mię trwoga, że nie pojadę do domu, lecz Steerforth mię zapewniał, że będę odesłany. Nowa obawa: może zachoruję? a może złamię nogę? Nie, wszystko szczęśliwie, już pojutrze, już jutro, już dziś, już wyjeżdżam, siedzę wśród obcych ludzi w dyliżansie, odchodzącym do Yarmouth.

Noc była przykra, męcząca i długa, mało spałem i często się budziłem, ale za każdym razem zamiast pustyni podwórza i krzyku pana Creakle widziałem przez okno drogę, pola i drzewa, a słyszałem prychanie konia i nawoływania woźnicy.

VI. OSTATNIE CHWILE SZCZĘŚCIA W RODZICIELSKIM DOMU.

O świcie dyliżans stanął przed dużym zajazdem, kazano mi wysiąść i zaprowadzono do małego, czyściutkiego pokoiku, gdzie oczekiwało mię posłane łóżko.

Jakże wygodnie, ciepło i przyjemnie wyciągnąć się w łóżku po nieprzespanej nocy. Krótki był wypoczynek, gdyż Barkis miał przyjechać po mnie o dziewiątej, nie zaspałem jednakże i nie czekał ani minuty.

Leniwy konik ruszył wolnym truchtem.

— Jak pan dobrze wygląda, panie Barkis — odezwałem się, rozweselony widokiem tej znajomej twarzy.

Pan Barkis spojrzał na mnie, otarł twarz rękawicą i obejrzał ją uważnie, jakby mógł znaleźć na niej obraz swego oblicza.

— Napisałem do Peggotty, jak pan kazał — zapewniłem go znowu poważnie.

— Eh! — mruknął obojętnie, jak gdyby z niechęcią.

— Czy się co złego stało? — zapytałem cokolwiek niespokojny.

— Ni-ic — mruknął znowu. — Nie odpowiedziała.

Otworzyłem oczy szeroko.

— Nie wiedziałem, że miała odpowiedzieć. Tego jej nie napisałem — tłumaczyłem się, szczerze zmartwiony.

— Eh — zaczął znowu Barkis — nie potrzeba. Kiedy człowiek mówi. że jest gotów, to tak samo, jakby powiedział, że czeka na odpowiedź.

Zastanowiłem się nad tem poważnie.

— Ja tego nie wiedziałem, panie Barkis — rzekłem — może i Peggotty nie wie. Jeśli pan chce, to jej powiem.

— Jeśli chcesz — zaczął Barkis po namyśle. — Można jej powiedzieć, że Barkis jest gotów i czeka na odpowiedź. Jak ona

się nazywa?

— Kto? Peggotty?

— Peggotty! Czy to imię, czy nazwisko?

Po raz pierwszy sam nad tem się zastanowiłem.

— Nie — rzekłem — ona się nazywa Klara.

— Tak myślałem — szepnął i pogrążył się w głębokie zamyślenie, milcząc i pogwizdując czasem z cicha.

— Tak — odezwał się wreszcie głośno. — Można jej powiedzieć: Barkis czeka na odpowiedź. Na jaką odpowiedź? Na odpowiedź, że jest gotów.

Wreszcie wyjął z kieszeni kawałek ołówka i jakby dla pamięci napisał na wewnętrznej stronie kozła — Klara Peggotty.

Z wolna ogarniało mię dziwne uczucie wobec zbliżania się do tego domu, który nie był już dawnym domem: mamy, moim i Peggotty, i nigdy, już nigdy takim jak dawniej nie będzie. Chwilami zdawało mi się, że wolałbym wrócić i gdzieś daleko spędzić ten czas ze Steerforthem. Lecz oto już przede mną znane wiązy i topole, pełne gniazd ptasich, nasz dom, nasze okna.

Szedłem cicho ścieżką przez mały ogródek z trwogą, czy nie zobaczę w którem oknie pana Murdstone albo miss Murdstone. Lecz nikogo nie było. Otworzyłem ostrożnie drzwi do sieni i postąpiłem znowu parę kroków.

Cicho i pusto, nie, niezupełnie cicho: z bawialnego pokoju słychać cichy śpiew mamy. Śpiewa cicho i smutnie, ale ten głos jej znany budzi tysiące wspomnień, przenika mnie na wskroś, oblewa dziwnym żarem.

Otwieram drzwi i wchodzę. Mama siedzi przy kominku z małem dzieckiem na ręku, pochylona nad niem, wpatrzona w nie, i śpiewa.

— Mamo! — zawołałem przez ściśnięte gardło zdławionym ze wzruszenia głosem.

Podniosła głowę, spojrzała, krzyknęła i zerwała się z miejsca, biegnąc ku mnie. Uklękła na podłodze, objęła mię i całowała, nazywając najdroższym Dewi, tuliła oba skarby do swej piersi, i

było mi tak dobrze i tak błogo, że czułbym się szczęśliwy, gdybym umarł w tej godzinie.

— Dewi, mój chłopcze! Moje biedne dziecko! To twój braciszek. Moje dzieci drogie! Mój Dewi!

Nagle drzwi się otworzyły, ciężkim krokiem wbiegła zdyszana Peggotty i runęła obok nas na podłogę. Jakież to było gniazdo szczęścia i miłości! Całowała mię i płakała, mówiła i ściskała, jakiś szał ją ogarnął i nas także, zapomnieliśmy o wszystkiem, prócz tego, że jesteśmy znów razem, sami, że nam dobrze.

Co za szczęśliwy zbieg okoliczności: nikt się nie spodziewał, że będę tak wcześnie, pan Murdstone z siostrą pojechał w sąsiedztwo i mieli wrócić późno, więc byliśmy sami, jak dawniej, jak niegdyś.

Obiad jedliśmy razem wszyscy troje przy kominkowym ogniu. Peggotty postawiła przede mną mój talerz z żołnierzem, który przechowywała troskliwie, żeby się przypadkiem nie stłukł — jadłem swoją łyżką, swoim widelcem i nożem.

Przy stole przypomniałem sobie o Barkisie i zacząłem mówić o jego zleceniu, ale zanim skończyłem, Peggotty zasłoniła twarz fartuchem i tak się zaczęła śmiać, że otworzyłem usta i patrzyłem na nią ze zdziwieniem.

— Co to znaczy, Peggotty? — zapytała mama. — Dlaczego się tak śmiejesz?

Lecz ona przyciskała fartuch obu rękami do twarzy i śmiała się coraz bardziej, ponieważ mama chciała go jej zerwać.

Zaczęliśmy na koniec śmiać się wszyscy, mamie się udało ściągnąć kawałek fartucha i ukazała się twarz Peggotty jeszcze czerwieńsza niż zwykle.

— Głupi człowiek — powiedziała, śmiejąc się, do mamy — on chce się ze mną ożenić.

— Dobra partja dla ciebie — rzekła po chwili mama.

— Ale ja go nie chcę! — krzyknęła Peggotty. — Nie poszłabym za niego, chociażby był z samego złota. Za nikogo nie pójdę nigdy.

— To mu tak szczerze powiedz — zauważyła mama. — Jakże mogłaś nie odpowiedzieć?

— Alboż mię o to pytał? — oburzyła się Peggotty. — Nigdy w życiu do mnie nie przemówił! Ale niech no spróbuje, to mię popamięta.

Zaśmiała się znowu i zasłoniła fartuchem, a potem jadła prędko, nic nie mówiąc.

Spojrzałem na mamę. Uśmiechała się do Peggotty, ale była bardzo poważna, a oczy miała smutne i jakby niespokojne. Teraz zauważyłem, jak bardzo się zmieniła: twarz miała mniejszą, chudą, bardzo bladą i zmęczoną, a ręce zdawały się prawie przezroczyste. Największa jednak zmiana była w jej ruchach, głosie i spojrzeniu: zniknęła z nich wesołość i dawna swoboda, stały się bojaźliwe i nieśmiałe. Mama położyła rękę na ramieniu Peggotty.

— Nie pójdziesz za Barkisa? — zapytała cichym i trochę drżącym głosem.

— Za nikogo, póki żyć będę!

Mama wzięła ją za rękę.

— Nie opuszczaj mię… — rzekła. — Zostań jeszcze ze mną… To może już niedługo… Co ja bym bez ciebie zrobiła?

— Opuścić panią? — zawołała Peggotty z oburzeniem. — O, za nic w świecie! Co pani przyszło do głowy? Ja wiem — zaczęła znowu po chwili milczenia. — Byłaby radość wielka. Ale nic z tego, ty zły czarny kocie. Zostanę z panią, aż się zestarzeję, ogłuchnę i oślepnę, będę do niczego. Wtedy pójdę do Dewi i poproszę o łaskawy kawałek chleba.

— A ja przyjmę cię jak królowę! — zawołałem uszczęśliwiony i zerwałem się z miejsca, bo już było po obiedzie.

Peggotty mię złapała i ucałowała. Potem śmiała się znowu z twarzą, zakrytą fartuchem. Potem sprzątnęła ze stołu, zapaliła świecę, wzięła do cerowania pończochy, jak dawniej, mama kołysała na kolanach dziecko, a ja opowiadałem im o panu Creakle, o Steerforcie, Traddlesie, panu Mellu, życiu w szkole i nauce.

Mama mi pozwoliła wziąć na ręce braciszka i nosiłem go po pokoju, a on patrzył na mnie i zdawał się zadowolony. Potem usiadłem obok mamy przy kominku, objąłem ją jak dawniej i

położyłem głowę na jej drobnem, szczupłem ramieniu. Było mi tak dobrze. Na kominku błyskały iskry i migotały różowe płomyki, a mnie się zdawało, że zły sen jakiś zniknął, że nie było na świecie nigdy pana Murdstone, że jesteśmy jak dawniej tylko mama, ja i Peggotty.

Nagle Peggotty podniosła głowę od roboty i patrzyła na nas przez chwilę.

— Ciekawam bardzo — rzekła — co się stało z cioteczną babką Dewi.

— W imię Ojca i Syna! — zawołała mama. — Co ci przyszło do głowy?

— A tak, chciałabym wiedzieć, bo jeśli umarła, to powinna przecie coś zapisać Dewi.

— Dewi ma jeszcze matkę — zaczęła mama drżącym głosem. — Zresztą czemu miała umrzeć? Miss Betsy mieszka sobie w swoim domku nad morzem i na pewno o nas nie myśli, więc i my dajmy jej pokój.

— Wszystko mi jedno — mruknęła Peggotty — ale zawsze chciałabym wiedzieć.

Mama się roześmiała z takiego uporu, a ja zacząłem mówić o odwiedzinach Chama i pana Peggotty.

Po herbacie przyniosłem książkę o krokodylach i zacząłem ją czytać głośno, żeby nam się zdawało jeszcze lepiej, że wróciły te dawne, dobre czasy.

Byliśmy tak szczęśliwi wszyscy tego wieczora!

Już około dziesiątej usłyszeliśmy wreszcie turkot na drodze, który ustał przed naszym domem.

Mama pospiesznie wstała, Peggotty złożyła robotę. Mama pocałowała mię w czoło i kazała iść spać na górę, bo dla mnie była już późna godzina.

Nie gniewałem się, że uniknę dziś powitania, uściskałem, ucałowałem ją gorąco i pobiegłem szybko po schodach. Lecz w pokoju, gdzie byłem przez pięć dni więziony, odżyły wszystkie bolesne wspomnienia i westchnąłem na myśl, że jutro zacznie się inne życie, niż był dzisiejszy wieczór.

Obudziłem się rano z nieprzyjemną myślą, że zobaczę pana Murdstone, którego nie widziałem od owej chwili bicia. Bojaźń przed jego spojrzeniem była tak przygnębiająca, że dwa razy wróciłem ze schodów na palcach do mojego pokoju. Ale to nie pomogło: musiałem go spotkać, i chwiejnym krokiem zszedłem wreszcie do jadalni.

Pan Murdstone stał przed kominkiem, plecami zwrócony do ognia, patrzył na mnie tak dziwnym wzrokiem, jakby miał oczy szklane. Miss Murdstone nalewała przy stole herbatę.

Zbliżyłem się powoli do kominka i przemówiłem cicho.

— Przepraszam pana za to, co zrobiłem. Bardzo tego żałuję i proszę, żeby mi pan przebaczył.

— Bardzo się cieszę, że tego żałujesz — odrzekł pan Murdstone i podał mi rękę.

Zauważyłem na niej jeszcze różową bliznę i podniosłem na niego oczy mimowolnie. Spotkałem wzrok ponury, zimny i zacięty. Oblało mię gorąco.

Zbliżyłem się do stołu i powitałem miss Murdstone.

— Dzień dobry — odpowiedziała, stawiając przede mną herbatę. — Jak długie macie święta?

— Miesiąc, proszę pani.

— Odkąd się liczy?

— Od dzisiaj.

— Więc pierwszy dzień? — westchnęła miss Murdstone. Zbliżyła się do wiszącego kalendarza i przekreśliła mocno ołówkiem dzień dzisiejszy. Odtąd, kiedy schodziłem na śniadanie, widziałem zawsze dzień bieżący już przekreślony. Tego samego dnia miałem nieszczęście narazić ją na przykre i silne wzruszenie. Kiedy przyszedłem, aby przywitać się z mamą, piastowała braciszka i kołysała go na ręku. Wziąłem go ostrożnie, żeby ponosić jak wczoraj, lecz miss Murdstone nagle krzyknęła tak strasznie, że o mało nie upuściłem go na ziemię.

— Co się stało? — zawołała mama przerażona.

Miss Murdstone już stała przy mnie.

— Oddaj go! Oddaj! — krzyczała sinemi ustami, wyrywając mi dziecko.

Nagle zbladła okropnie i musiała usiąść. Mama wzięła braciszka, a ja podałem jej wody. Skoro przyszła do siebie, najsurowszym głosem zapowiedziała mi krótko i głośno, abym się nie ważył dotykać małego. Równie stanowczo zwróciła się potem do mamy, wymawiając jej lekkomyślność i narażanie dziecka na kalectwo.

Mama usiłowała uśmiechać się i przyznała jej słuszność, lecz widziałem, że była blada i usta jej drżały.

Innym razem byliśmy we troje w pokoju, mama, ja i braciszek, którego serdecznie lubiłem. Miss Murdstone z daleka siedziała przy oknie.

— Chodźno, Dewi — skinęła mama.

Przysunąłem się bliżej, miss Murdstone opuściła robotę na kolana i uważnie spojrzała w naszą stronę.

— Jacy oni podobni — powiedziała mama, patrząc na mnie i na braciszka. — Muszą być podobni do mnie. Oczy zupełnie te same.

— Klaro I — usłyszeliśmy surowy głos miss Murdstone, — Czy ty straciłaś głowę? Jak możesz porównywać dziecko mego brata z tym chłopcem? Niema pomiędzy nimi najmniejszego podobieństwa i nigdy być nie może. To sobie pamiętaj. Nie rozumiem, jak możesz pleść podobne niedorzeczności.

Wstała z krzesła i wyszła, trzasnąwszy głośno drzwiami.

Spojrzałem na mamę i nie śmiałem ruszyć się z miejsca. Była okropnie blada, a na obu policzkach czerwieniły się dziwnie dwie różowe plamki, usta jej drżały i dwie łzy upadły na małą główkę dziecka.

Nie byłem tu lubiany, ani pożądany i męczyłem tych ludzi zupełnie tak samo, jak oni mię męczyli. Jeśli rozmawiali swobodnie, moje wejście przerywało ich rozmowę, jeśli pan Murdstone był w dobrym humorze, na mój widok zacinał usta, a oczy jego stawały się zimne i groźne. Rozumiałem, że mama najwięcej na tem cierpi, i tem bardziej czułem się przygnębiony.

Zdawało mi się, że najlepsza rada, abym się trzymał z daleka od wszystkich, więc zacząłem czytać znów w swoim pokoju, a

wieczorem przesiadywałem w kuchence u Peggotty. Nie było z nami mamy, ale czułem się swobodny i przyjemnie upływały nam godziny.

Pewnego dnia jednakże, kiedy chciałem wyjść z pokoju po obiedzie, pan Murdstone odezwał się głosem surowym:

— Zauważyłem, Dawidzie, że masz usposobienie ponure, a to jest źródłem najgorszych skłonności. Moim obowiązkiem jest czuwać nad tobą, póki jesteś pod moim dachem. Dlatego od tej chwili zabraniam ci zamykać się w swoim pokoju.

Miss Murdstone chrząknęła głośno.

— Oprócz tego — ciągnął dalej pan Murdstone — towarzystwo służących nie jest dla dzieci właściwe i wymykanie się twoje do kuchni świadczy o złych instynktach. Wymagam zatem, abyś pozostawał z nami aż do godziny spoczynku. Taka jest moja wola dla twojego dobra i nie przypuszczam, abyś śmiał być nieposłuszny.

Słuchałem, stojąc na środku pokoju ze spuszczonemi oczyma i pochyloną głową. Nie mogłem tak od razu oswoić się z myślą, że wszystkie dni odtąd mają mi upływać w towarzystwie tych dwojga ludzi, przygniatających mię strasznym ciężarem. Lecz spojrzałem na mamę. Była okropnie blada i oczy miała zamknięte, zdawało mi się, że na jej długich rzęsach zamigotały łzy.

Usiadłem koło okna i milczałem.

Jakież nieskończenie długie i męczące ciągnęły się teraz dni moich wakacyj. Myśl o mamie ściskała mi serce boleśnie. Wiedziałem, że jest ze mną i że mnie żałuje, że i dla niej każda minuta jest bólem, ale nie śmie i nie może mi nic pomóc. Nie ośmieli się nigdy biedna, droga mama, udręczona przez tych dwoje strasznych ludzi.

I cierpiałem podwójnie: za siebie i za nią. Nie śmiałem się poruszyć, nie śmiałem się odezwać, nie śmiałem westchnąć głośno i nie śmiałem spojrzeć w ich stronę, gdyż każde poruszenie i spojrzenie wywoływało niechętne uwagi miss Murdstone o niespokojnych chłopcach i złem wychowaniu.

Pomimo nieśmiałości próbowała mama parę razy przyjść mi z pomocą, zachęcając np. do czytania, lecz to wywoływało zawsze jakieś gorsze jeszcze następstwa. Zamiast czytania np. kazano mi rozwiązywać zadania arytmetyczne i znów się rozpoczęły męczarnie z serami, które mię doprowadzały prawie do obłędu.

Nic dziwnego, że sam wreszcie wyglądałem końca tych świąt z upragnieniem, ciesząc się nadzieją spotkania Steerfortha, chociaż za nim znajdował się groźny pan Creakle. Porównywając go w myśli z moim ojczymem, wolałem jego laskę i sapanie, niż te okropne, szklane, martwe oczy, które ścinały krew w żyłach.

Na koniec nadszedł ostatni poranek. Miss Murdstone podała mi ostatnią szklankę herbaty z mlekiem, Barkis już oczekiwał przed furtką.

Wypiłem śniadanie i wstałem pośpiesznie. Mama z czerwonemi plamami na twarzy zbliżyła się, aby mię pożegnać. Ucałowałem ją serdecznie i braciszka, ona przycisnęła mię mocno do serca, czułem na twarzy jej gorący oddech.

— Klaro! — napomniała głośno miss Murdstone.

Jeszcze raz przycisnąłem usta do twarzy mamy i wybiegłem. Wsiadłem do powozu, konik ruszył z miejsca, obejrzałem się po raz ostatni na nasz ogród.

W tej chwili ujrzałem mamę, jak wybiegła z domu z braciszkiem na ręku. Było zimno i wietrzno, ale ona stała w lekkiej sukience, z włosami w nieładzie, patrzyła za mną i wyciągnęła rękę.

Przesłałem jej ostatni pocałunek.

Nie płakałem teraz, ale widziałem ją ciągle: tak samo stała w nocy przy mem łóżku; przyniosłem z sobą ten obraz do szkoły i widziałem ją nieraz niby żywą, bladą, z rozwianym włosem i dzieckiem na ręku, w lekkiej sukience w mroźny i wietrzny poranek. I taką pozostała w mej pamięci.

VII. SIEROCTWO.

Nic nie pamiętam ze zdarzeń szkolnych po powrocie, widocznie wszystko szło zwyczajnym trybem, albo — jedno wrażenie było tak potężne, iż zatarło w pamięci wszystkie inne.

Było to w marcu, dzień chłodny i mglisty, który dziś jeszcze widzę, jakby to stało się wczoraj. W wielkiej sali tak ciemno, że chłopcy zapalają świece i zapałki, aby znaleźć ołówek, który upadł na podłogę. Tylko co wróciliśmy ze śniadania.

Pan Sharp stanął we drzwiach i powiedział głośno.

— Dawid Copperfield do dyrektora. Wieści z domu.

Zerwałem się z ławki i pobiegłem ku drzwiom ucieszony, spodziewając się listu albo paczki od Peggotty. Chłopcy uśmiechali się do mnie znacząco, ale pan Sharp zatrzymał mię u wejścia, położył mi przyjaźnie rękę na ramieniu i odezwał się tonem tak serdecznym, jakiego nigdy jeszcze od niego nie słyszałem.

— Nie śpiesz się, mój chłopcze, przyjdziesz dosyć wcześnie.

Nie zwróciłem na to uwagi i pobiegłem do wskazanego pokoju. Pan Creakle siedział przy stole z gazetą w ręku i jadł śniadanie, pani Creakle czytała list.

Wstała zaraz i wzięła mię za rękę, zaprowadziła na sofę pod ścianą, kazała usiąść obok siebie, a po chwili milczenia położyła mi łagodnie rękę na ramieniu i rzekła cichym, bardzo miłym głosem:

— Muszę pomówić z tobą, moje dziecko, o bardzo ważnej rzeczy.

Westchnęła, ja rzuciłem okiem na pana Creakle. Ugryzł bułkę z masłem i wypił duży łyk kawy, potem zaczął znów czytać, jakby nie wiedział o mnie.

— Życie przynosi co dzień radość albo smutek, moje dziecko — mówiła dalej. — Wszystko zmienia się ciągle. Czy wszyscy

byli zdrowi, kiedy wyjeżdżałeś z domu?... Czy mama była zdrowa?

Zadrżałem i milczałem, patrząc na nią z jakąś niepojętą trwogą.

— Bo właśnie dziś się dowiaduję, że mama... jest bardzo chora...

Jakaś mgła zasłoniła mi twarz pani Creakle, poczułem łzy na twarzy.

— Mama jest bardzo chora — powtórzyła — niebezpiecznie chora...

Wiedziałem już, co powie.

— Mama umarła...

Pani Creakle była dla mnie bardzo dobra. Cały dzień zatrzymała mię u siebie, głaskała mię po głowie, całowała w czoło, przynosiła dobre rzeczy do jedzenia, ale nie umiałem jej nawet być wdzięczny. Płakałem i płakałem, aż zasypiałem zmęczony i znowu się budziłem, aby płakać. Kiedy nie mogłem już płakać, zaczynałem myśleć o swojem nieszczęściu i wtedy było mi jeszcze okropniej. Czułem taki ciężar na sobie, że go unieść nie miałem siły.

Myślałem o domu, pustym i cichym bez mamy, gdzie nigdy nie zobaczę jej postaci i nie usłyszę głosu: myślałem o cmentarzu i grobie mamy obok ojca, między drzewami, gdzie jest tak cicho, zielono i smutno; myślałem o braciszku, który umarł także. A potem ogarnęła mię dziwna świadomość wyróżnienia między chłopcami: uczułem się osobą wyjątkową, na którą wszyscy zwracają uwagę.

Kiedy po południu chłopcy pracowali w klasie, wyszedłem na podwórze i błąkałem się między nagiemi drzewami. Mój żal i ból był szczery i bardzo głęboki, a jednakże sprawiało mi pewną przyjemność, że koledzy ciekawie spoglądają na mnie przez okno, że wzbudzam ich współczucie.

Wieczorem powróciłem do sypialni. Nie było dziś hałasu ani opowiadań, chłopcy uścisnęli mi rękę i poszli spać w milczeniu, tylko Traddles się uparł, żeby oddać mi swoją poduszkę. Nie wiem, po co to zrobił, gdyż miałem przecież własną.

Wyjechałem do domu po południu, zabrawszy wszystkie rzeczy, jakby było wiadomo, że już nie powrócę. W Yarmouth stanąłem rano, lecz zamiast Barkisa spotkał mię nieznajomy, czarno ubrany mężczyzna i, spytawszy o imię i nazwisko, zabrał do swego domu.

Był to krawiec, który szył dla mnie żałobę. Gdy ją skończył, umieszczono mię na wozie, gdzie stała także trumna. Oparłem się o nią łokciem, gdyż nie mogłem siedzieć inaczej, a na przedzie dwóch ludzi śmiało się i żartowało, jedli i pili w drodze, byli w najlepszych humorach.

To też gdy wóz stanął wreszcie przed naszym domem, wyskoczyłem z niego tak szybko, jakbym uciekał z piekła. Tuż za furtką padłem w objęcia Peggotty. Wybuchnęła płaczem i łkaniem, ale uspokoiła się natychmiast. Poznałem zaraz, że musiała dawno nie spać, gdyż oczy miała głęboko zapadłe, a twarz zmęczoną i żółtą.

Wszedłem do pokoju. Pan Murdstone siedział w fotelu przy kominku i płakał cicho z głową, opartą na ręku. Nie spojrzał na mnie i nie śmiałem się zbliżyć do niego. Miss Murdstone spokojnie pisała przy biurku.

Ukłoniłem się, stanąwszy obok.

— Krawiec wziął miarę? — zapytała sucho.

— Tak — odpowiedziałem.

— Rzeczy przywiozłeś wszystkie?

— Tak.

Odwróciła się i pisała znowu. Nie śmiałem wyjść i usiadłem cichutko na krześle.

Po herbacie dopiero wszedłem do pokoju, gdzie leżała mama.

Leżała na łóżku, na białej pościeli, a gdy Peggotty odsłoniła prześcieradło, o mało nie krzyknąłem ze szczęścia i bólu: to była mama! Blada, ale piękna, z dobrą i słodką twarzą, jak za życia.

A potem ułożono ją w tej strasznej trumnie, ustawiono znowu w tym samym pokoju, gdzie stała trumna ojca, jak mi opowiadała Peggotty.

Pamiętam każdą chwilę dnia pogrzebu i to straszne uczucie, kiedy spuszczono ją z trumną do grobu i przysypano ziemią.

Doktór Chillip prowadził mię potem za rękę, kazał Peggotty położyć mię do łóżka i być przy mnie.

Niedzielna cisza panowała w domu, a my byliśmy sami. Peggotty opowiadała o mamie.

Dawno była niezdrowa, jeszcze przed moim wyjazdem. Martwiła się biedaczka, a najwięcej o mnie. Cierpiała bardzo, że dała mi ojczyma, że nie przewidziała, co będzie. Płakała często, lecz bała się pana Murdstone, a może więcej jeszcze jego siostry. Ona nie umiała walczyć z takimi ludźmi nawet w obronie syna i własnego życia. Wierzyła im z początku, że jest lekkomyślnem dzieckiem, które oni wychować muszą, ale potem przestała wierzyć.

— Zniosłaby może wszystko, ale nie zniosła twej krzywdy. Tym nożem ją zabili — szeptała Peggotty, zalewając się znowu łzami. — Ostatni raz, pamiętasz, gdyś przyjechał, to był ostatni jasny dzień w jej życiu. Kiedy wyjeżdżałeś, krzyknęła, że cię więcej nie zobaczy i wybiegła do ogrodu razem z dzieckiem, choć dzień był mroźny, a ona tak lekko ubrana. Zachorowała wkrótce i nie wstała więcej. Byłam przy niej we dnie i w nocy. Ostatnie jej wyrazy były błogosławieństwem dla ciebie, ostatnia myśl o tobie: "Błogosławię biednego Dewi po tysiąc, tysiąc razy!"

Tak mówiła Peggotty i przyciskała do ust moją rękę, którą trzymała w swojej. Słuchałem i płakałem, ale lżej mi było, że jestem z nią razem i mogę płakać przy niej.

Upływały godziny, a my siedzieliśmy we dwoje, płacząc razem i rozmawiając cichym głosem.

Nazajutrz miss Murdstone oznajmiła Peggotty, że od następnego miesiąca jest wolna i może sobie szukać innej służby.

Nie lubiła ich Peggotty, nie trzeba tego mówić, lecz byłaby została dla mnie. Teraz będziemy rozdzieleni.

A co myślą zrobić ze mną?

Upływały dnie i tygodnie i nie miałem żadnego zajęcia, nikt się mną nie zajmował i nie troszczył o mnie. Zdobyłem się raz

na odwagę i spytałem miss Murdstone, kiedy powrócę do szkoły, lecz odpowiedziała mi krótko i sucho, że nie powrócę więcej. Nie dręczono mię teraz przymusowem siedzeniem w pokoju, przeciwnie, jeśli sam nie wyszedłem zaraz po obiedzie, miss Murdstone kazała mi iść sobie. Nie przeszkadzano także rozmawiać z Peggotty i przesiadywać w kuchni.

Miałem więc swobodę, ale co z nią począć? Co robić z czasem? Jak zapełnić długie godziny próżniactwa?

Przypominały mi się dziecinne życzenia, żebym mógł się nie uczyć. Teraz pragnąłem się uczyć, chociażby w najgorszej szkole, choćby pod bolesną laską pana Creakle. Ogarniała mię trwoga, co ze mnie wyrośnie. Głupi, leniwy chłopiec, pośmiewisko dla innych, ciężar samemu sobie. Każdy dzień zmarnowany przejmował mnie strachem i bólem.

— Co ze mną będzie, Peggotty? — spytałem, siedząc raz przy niej w kuchni i grzejąc się przy słabym ogniu. — Ja sam się boję, co ze mnie wyrośnie. Nie uczę się i nic nie robię.

— Coś muszą z tobą zrobić — odpowiedziała z westchnieniem. — Myślę, że woleliby także nie patrzeć na ciebie.

— Wiem — szepnąłem. — Sam usuwam się im z drogi, ale chciałbym się uczyć. I ty już odejdziesz niedługo.

— Wiesz co, Dewi, jadę do brata do Yarmouth, muszę odpocząć trochę. Możeby ci pozwolili pojechać ze mną?

Serce uderzyło mi mocniej na myśl o chwilach swobody pośród tych dobrych ludzi, ale — czyżby pozwolili?

Miss Murdstone weszła w tej chwili do kuchni wydać jakieś rozporządzenie i Peggotty przedstawiła jej swój projekt.

Miss Murdstone zastanowiła się chwilę.

— Będzie tam próżnował, ale to już wszystko jedno — odezwała się wreszcie — rzecz najważniejsza, żeby nie kłopotać brata, dlatego możesz go zabrać.

Barkis zajechał wcześnie po rzeczy Peggotty i sam zabrał je do powozu.

Wstąpiliśmy jeszcze na cmentarz i Peggotty płakała ciągle, żegnając drogie wspomnienia i miejsca.

Nareszcie wyjechaliśmy za miasto. Pan Barkis często oglądał się na nas, ale nic nie mówił, widząc nasze usposobienie.

Peggotty pierwsza zaczęła mówić do mnie.

— To sobie pamiętaj, Dewi, że dopóki tu będziesz, będę przyjeżdżała co tydzień, ażeby cię zobaczyć. Inaczej być nie może. Przyrzekłam jej, że będę czuwała nad tobą i, póki życia, o tem nie zapomnę. Jeden dzień w tygodniu musi być zawsze dla ciebie.

Nie wiem, czy Barkis słyszał, co mówiła, bo zdawał się nie zważać i patrzył na konia, ale gdyśmy umilkli, znowu oglądał się na nas.

— Ładny dzień — powiedziałem, chcąc być dla niego uprzejmy.

— Niebrzydki — skinął głowę. — Czy wygodnie? Patrzył na Peggotty tak jakoś wyraźnie, że roześmiała się i skinęła głową.

— Peggotty jest zadowolona — zapewniałem go w jej imieniu.

— Jest zadowolona? — powtórzył pytaniem. — Co, jest zadowolona?

Odtąd był bardzo grzeczny i w doskonałym humorze, w zajeździe na popasie częstował nas piwem, siadał wciąż przy Peggotty, żartował i pytał, czy jest zadowolona.

W Yarmouth czekali na nas wuj Danz Chamem. Przywitali się bardzo grzecznie z panem Barkis, zabrali pakunki Peggotty i ruszyli naprzód. Chciałem iść z Peggotty, lecz Barkis skinął na mnie.

— Dziękuję ci, mój przyjacielu — powiedział — wszystko dobrze. Tak, mówię, że wszystko dobrze, i dziękuję.

Nic nie rozumiałem, więc otworzyłem oczy i patrzyłem na niego, kiedy zawołała mię Peggotty.

— Co ci mówił? — spytała, kiedyśmy się cokolwiek oddalili.

Powtórzyłem jej dziwne słowa.

Potrząsnęła głową i zamyśliła się na chwilę.

— Nie wszystko jest tak dobrze, jak jemu się zdaje — rzekła na koniec — ale powiedz, Dewi, cobyś o mnie pomyślał, gdybym wyszła za mąż?

— Przecież kochałabyś mię tak samo, jak i teraz?

Peggotty przystanęła, objęła mię w ramiona i ku wielkiemu zdumieniu przechodniów przycisnęła do serca, zapewniając o wiecznej miłości.

— W takim razie — zacząłem, gdy mię puściła wreszcie — jeżeli chodzi o to, żebyś wyszła za pana Barkisa, to zdaje mi się, że byłoby bardzo dobrze. Miałabyś swego konia i mogłabyś do mnie przyjeżdżać, a to nie kosztowałoby cię wcale.

— Otóż to mądra głowa! — zawołała, obejmując mię znowu gorąco. — To samo myślę sobie od mieniąca. Byłabym sobie panią w swoim domu i blisko ciebie. Mogłabym cię odwiedzać, ile razy mi się spodoba, a po śmierci pochowają mię na tym cmentarzu, gdzie ona.

Przez chwilę szliśmy oboje w milczeniu.

— Ale gdybyś ty nie chciał, nigdy bym tego nie zrobiła — odezwała się znowu. — Pomówię o tem z Danem i pomyślę jeszcze, ale jeżeli nie chcesz, powiedz jedno słówko. Barkis zdaje się być uczciwym człowiekiem i, jeżeli będę dla niego dobrą żoną, to powinno mi być dobrze.

Przed domkiem wuja Dana powitali nas wszyscy tak jak dawniej i wszystko wydawało mi się równie piękne, choć jakby się jeszcze zmniejszyło.

Za to Emilka urosła i wuj Dan powiedział, że niedługo będzie z niej żona dla Chama.

W izdebce było gwarno i wesoło, swobodnie i serdecznie, chociaż od czasu do czasu ściskało mi się serce jakiemś bolesnem wspomnieniem. Wszystko je nasuwało: rozmowa o szkole, do której nie powrócę, i o domu, do którego wolałbym nie wracać.

Zasnąłem jednak słodko na małem łóżeczku w swojej maleńkiej kajutce, a nazajutrz pobiegłem zwiedzać znane miejsca. Żałowałem jedynie, iż Emilka nie mogła być ze mną, gdyż chodzi teraz do szkoły.

Przed samym wieczorem zjawił się pan Barkis, przyniósł jakiś węzełek i położył go pod ścianą na kuferku. Pozostał dosyć długo, a gdy się oddalił, spostrzegliśmy, że zostawił swoją

paczkę. Cham pobiegł za nim, ale odniósł ją nam z powrotem, ponieważ była dla Peggotty. Znaleźliśmy w niej pomarańcze.

Odtąd Barkis przychodził co dzień przed wieczorem i co dzień w ten sam sposób zostawiał dla Peggotty podarunek. Były to zawsze bardzo smaczne rzeczy: wianki fig, jabłka, szynka, to znów dla odmiany domino w pudełku lub kanarki z klatką.

Pewnego dnia powiedziała nam pani Gummidge, że Peggotty na cały dzień pojedzie z panem Barkisem na wycieczkę i zabiorą mnie i Emilkę.

Radość była ogromna. Barkis zajechał wcześnie, ale nie czekał długo. Pośpiesznie zajęliśmy swoje miejsca w powozie i nie mogliśmy się doczekać, żeby wyruszyć w drogę.

Dzień był ciepły, pogodny i oboje z Emilką cieszyliśmy się widokiem pól zielonych, drzew kwitnących, błękitu nieba, wszystko nam wydawało się niezwykle piękne.

Pan Barkis zatrzymał konia przed kościołem, zostawił powóz pod naszą opieką, a sam z Peggotty wszedł przez zakrystję do wnętrza. Niedługo zabawili i ukazali się znowu. Pojechaliśmy dalej.

Wtem pan Barkis trącił mię łokciem.

— Co ja tu zapisałem? — spytał, wskazując batem miejsce wewnątrz powozu.

— Klara Peggotty — odparłem z uśmiechem, przypominając sobie to zdarzenie.

— A teraz cobym napisał, jeśli się tamto zetrze?

— To samo.

Potrząsnął głową z wesołem mrugnięciem i wyjął ołówek z kieszenie

Pochyliłem się zaciekawiony i przeczytałem, co pisał:

— Klara Barkis.

Spojrzałem na Peggotty: więc już było po ślubie.

Zdziwiłem się, że tak prędko. Pan Barkis śmiał się. Peggotty uśmiechała się także, wszystkim było wesoło.

Pan Barkis zawiózł nas do jakiegoś domu, gdzie czekał przygotowany dla nas obiad. Było piwo, i pomarańcze, i ciastka,

a Peggotty tak doskonale rządziła, jakby od lat dziesięciu co dzień była po ślubie i przyjmowała gości.

Wieczorem Barkis odwiózł nas do wuja Dana, a Peggotty zabrał do siebie: miała już teraz dom własny.

Ale z rana Peggotty przyjechała po mnie: chciała koniecznie zaraz mi swój dom pokazać, a potem miałem już wracać do domu. Więc pożegnałem wszystkich i Peggotty zabrała mię do siebie.

Najlepiej mi się u niej podobało stare biurko z ciemnego drzewa z szufladkami i półeczkami. Leżała tam wielka "Książka męczenników", którą zawsze czytałem, ile razy później byłem u Peggotty.

Na noc zostałem też u państwa Barkis. Peggotty zaprowadziła mię do maleńkiego pokoiku na poddaszu. Stało tu czysto zasłane łóżeczko, a na półce pod ścianą była książka o krokodylach. Peggotty powiedziała, że póki żyć będę, ten pokoik zostanie moim, zawsze znajdę tu swoje łóżko i niczego mi nie zabraknie.

Skończyła się druga przyjemna wycieczka: pan Barkis i Peggotty odwieźli mię do domu i wysadzili przed furtką. Obejrzałem się z westchnieniem na powóz, którym odjeżdżali oboje. Z domu rodzicielskiego nikt nie wyszedł mię powitać i wiedziałem dobrze, że nikt tu na mnie nie czeka. Zaczęło się teraz dla mnie dziwne życie, jakieś samotne, zaniedbane, puste. Nikt nie zwracał na mnie życzliwej uwagi, nie miałem towarzystwa chłopców w moim wieku, pozostawiony byłem własnym myślom, które dziś jeszcze wyglądają dla mnie niby ciemna i ciężka chmura.

Cóżbym dał za to wówczas, żebym się dostał do szkoły, do jakiejkolwiek szkoły, najsurowszej, byle się uczyć choć trochę. Miałem tak wielkie pragnienie nauki, iż chwilami zdawało mi się, że umrę, jeśli nie zaspokoję tego głodu. Lecz cóż to obchodziło moich opiekunów? Czułem, że im zawadzam, że radzi by też byli pozbyć się mnie z domu, a nie mogli znaleźć sposobu. Widziałem, że pan Murdstone [wprost znosić mię nie może.

Nikt mię nie bił, nie głodził, a jednak rozumiałem, że mię krzywdzą i że krzywda moja jest gorsza od bicia. Upływały miesiące bezczynnego życia, zupełnego zaniedbania i milczenia, i zdaje mi się, że byłbym zwarjował, gdyby nie mój kącik samotny na górze i ukochane książki.

Tego przynajmniej nikt mi już nie bronił, lecz nie wolno mi było odwiedzać nikogo ani zawiązywać żadnych znajomości. Przypuszczam, iż nie chcieli, żebym opowiadał o sobie. Nie puszczano mię nawet do Barkisów, i choć Peggotty dotrzymała obietnicy i co tydzień widywała się ze mną, zawsze mi zostawiając coś smacznego do zjedzenia na pociechę, u nich byłem zaledwie parę razy w ciągu roku.

Dowiedziałem się jednak w czasie tych odwiedzin, że pan Barkis jest trochę skąpy i chowa pieniądze w kuferku pod łóżkiem, między ubraniem, które ma pod swoim kluczem. Peggotty więc musiała oszczędzać na wszystkiem, żeby zebrać dla siebie na jaki wydatek.

Dnia pewnego wyszedłem przed wieczorem z domu i błąkałem się po ogrodzie, myśląc o kochanej książce, którą po raz dziesiąty może przeczytałem, kiedy nagle na skręcie znalazłem się wobec pana Murdstone z drugim jakimś gentlemanem.

— Janek z Sheffield! — zawołał ten ostatni. Spojrzałem na niego, wydał mi się trochę znany, lecz odpowiedziałem natychmiast:

— Przepraszam pana, jestem Dawid Copperfield.

— Ha, ha, ha! Zapomniałeś już, młodzieńcze, kiedym cię poznał, jako Janka z niepotrzebnemi uszami. Wesoły byłeś wtedy.

Przypomniałem sobie w tej chwili wycieczkę z panem Murdstone i żarty jego przyjaciół moim kosztem. Pan Quinion mówił dalej:

— A cóż porabiasz teraz? Gdzie się uczysz?

— Nie uczy się — odpowiedział za mnie pan Murdstone. — Jest w domu i sam nie wiem, co z nim zrobić. Trudny chłopiec.

Spojrzeli na siebie i umilkli obaj. Wreszcie pan Quinion przemówił:

— Ładna pogoda.

Zrozumiałem, że mogę odejść i nie czekałem dłużej.

Nazajutrz po śniadaniu, gdy wstałem od stołu, pan Murdstone zawołał mnie, a sam poważnie usiadł obok biurka siostry. Pan Quinion zbliżył się także.

Stanąłem przed tą trójcą.

— Dawidzie — rzekł pan Murdstone uroczystym głosem — młodość jest przeznaczona do pracy, nie wolno jej marnować na próżnowanie. Chłopiec w twoim wieku powinien pracować. Tego od ciebie wymagam, a upór złamać potrafię. Wiesz dobrze, że co powiem: tak będzie! to być musi.

Milczałem, choć zdawał się czekać odpowiedzi.

— Nie jestem bogaty, abym miał na zbytki — zaczął znowu po chwili. — Wychowanie otrzymałeś dostateczne. Zresztą choćbym miał na to, jestem zdania, że szkoła nie dla ciebie. Musisz pracować na kawałek chleba, a im prędzej zaczniesz, tem lepiej.

Milczałem znowu, chociaż przestał mówić. Ale po krótkiej przerwie zaczął znowu.

— Musiałeś słyszeć, że mamy w Londynie "interes winny" Murdstone i Grinby. Pan Quinion nim zarządza. Zwrócił mi słuszną uwagę, że, skoro tam dajemy pracę tylu chłopcom, i ty możesz ją znaleźć. Dlatego dziś pojedziesz z panem Quinion. Za sumienną pracę będziesz miał życie i parę groszy na drobne wydatki, mieszkanie za ciebie płacę, ubrania masz tymczasem dosyć, a w razie potrzeby dostaniesz, co będzie konieczne.

Zrozumiałem, że zaczynam nowe życie i stary dom opuszczam może już na zawsze, lecz nie wiedziałem, czy mam się cieszyć, czy smucić.

W milczeniu wsiadłem z panem Quinion do powozu i ostatniem spojrzeniem pożegnałem cmentarz, skąd wysokie, zielone drzewa kłaniały mi się gałęziami, jakgdyby przesyłały ciche pozdrowienie.

VIII. NA WŁASNYM CHLEBIE.

Wiele rzeczy przeżyłem i widziałem na świecie, jednakże dziś jeszcze nie mogę zrozumieć, dlaczego nikt z przyjaciół matki nie zapytał ojczyma, jakiem prawem wyrzucił mnie z domu i zaprzągł do ciężkiej pracy zarobkowej wątłe i zdolne dziesięcioletnie dziecko.

"Interes" Murdstone i Grinby mieścił się w wąskiej uliczce nad rzeką, w bardzo starym, zniszczonym, kamiennym budynku. Uliczka prowadziła wprost do rzeki i kończyła się schodami, podczas przypływu zalewanemi wodą, podczas odpływu rojącemi się od szczurów. Sam budynek był starą, okropną ruderą, brudną, zadymioną i wilgotną, w której dziś jeszcze słyszę, kiedy myślę o niej, pisk, chrobotanie i bieganie szczurów.

Zadanie "interesu" polegało głównie na rozsyłaniu wina w różne strony świata. Ogromne piwnice zastawione były beczkami, w innych odbywało się mycie butelek, w innych jeszcze nalewanie, korkowanie, naklejanie znaków, pakowanie i odwożenie do przystani na statki, które je zabierały.

Pracowało przy tem kilkunastu ludzi, mnie przeznaczono do mycia butelek, czem już zajmowali się dwaj inni chłopcy: Mick Walker, syn rybaka, i Mealy Kartofel, syn strażnika, obaj dobrzy, poczciwi, ale zupełnie prości, bez nauki i wychowania.

Byłem najmłodszy, musiałem ich słuchać. Cały dzień siedząc w tej wilgotnej norze, drżąc z zimna, zachlapany brudną wodą, słuchałem ich rozmów, opowiadań, żartów, nie zawsze przyzwoitych, a często wymysłów i kłótni.

Pan Quinion sam wprowadził mię tutaj za rękę i oddał pod opiekę Micka. Nie umiem dzisiaj jeszcze opisać wrażenia, jakie sprawiło na mnie w pierwszej chwili całe to otoczenie. Zdawało mi się, że mię wrzucono do grobu. Więc tu miała upłynąć moja

młodość, a może całe życie? Bez nauki, bez towarzystwa, bez słońca?

Wspomniałem o kolegach: Steerforcie, Traddlesie, czyżby mię który poznał w dzisiejszej postaci? A gdyby poznał, czyby nie odwrócił głowy, ażeby mię nie widzieć?

I gdzież moje marzenia, które snułem potajemnie, czytając o bohaterach, podróżnikach i sławnych ludziach, którym chciałem kiedyś dorównać? Zginę w nędzy, nieuctwie, zapomnieniu i nikt nawet nade mną nie zapłacze.

Ogarniała mię rozpacz, poczucie niemocy, a nie chciałem wybuchnąć płaczem pod czujnemi spojrzeniami towarzyszy. Oni przecież nie rozumieli, że dzieje mi się krzywda. O wpół do pierwszej, kiedy pracownicy wychodzili na obiad, pan Quinion kazał mię wezwać do siebie. Zastałem go przy biurku w trochę czyściejszym pokoju, obok stał wysoki i łysy jegomość, z dosyć łagodną twarzą, opartą na wysokim, sztywnym kołnierzyku. Spojrzał na mnie, zabawnie mrużąc oczy.

— To on — rzekł pan Quinion — ten chłopiec.

— Pan Copperfield? — zapytał nieznajomy. Ukłoniłem mu się w milczeniu.

— Pan Murdstone pisał do mnie — odezwał się wysoki człowiek — ponieważ mam do odnajęcia pokoik, a pan masz zostać moim lokatorem. Ale mieszkam dosyć daleko i mógłbyś pan łatwo zabłądzić, dlatego przyjdę dzisiaj wieczorem po pana. O której?

— O ósmej — oznajmił pan Quinion.

— W takim razie do zobaczenia o ósmej. Bardzo mi przyjemnie, panie Copperfield, mam nadzieję, że będziemy w przyjaźni.

Spojrzałem na niego ze szczerą wdzięcznością za te łagodniejsze wyrazy, lecz on uśmiechnął się tylko dość dziwnie i śpiesznie wyszedł.

Wówczas pan Quinion położył przede mną sześć czy siedm szylingów, nie pamiętam dobrze i oznajmił, że jest to moja płaca tygodniowa za sumienną robotę w "interesie", którą powinienem spełniać z całą gorliwością.

Zarabiałem więc dziennie około szylinga i to miało mi wystarczać na życie i wszelkie inne wydatki. Dziś np. musiałem zaraz wydać kilka pensów za przeniesienie rzeczy, gdyż jakkolwiek mój kuferek był mały i lekki, nie mogłem go sam zanieść, zwłaszcza dość daleko.

O godzinie ósmej zjawił się mój gospodarz, prowadził mię i objaśniał nazwy ulic, żebym mógł jutro trafić. Ale droga była daleka i nie umiałem zapamiętać jej od razu.

W domu zastałem chudą i bladą kobietę, otoczoną gromadką dzieci, która powitała mię przyjaźnie. Mój pokoik był na poddaszu, bardzo mały, malowany na biało i niebiesko, z niezbędnemi tylko sprzętami.

Ale czułem się tutaj między dobrymi ludźmi i oddychałem swobodniej.

Byli to rzeczywiście ludzie dobrzy, ale obciążeni długami i w ciągłych kłopotach o pieniądze. Serdecznie ich żałowałem i staliśmy się wkrótce przyjaciółmi. Kiedy nie mieli za co kupić chleba, dzieliłem się z nimi swoją szczupłą pensją i sam nie jadłem obiadu, lecz wiedziałem, że po powrocie do domu spotka mię życzliwe spojrzenie i serdeczne a szczere słowo, że w chwilach odpoczynku jestem tu mile widziany.Żywiłem się nędznie. Rano kubek mleka z chlebem, kawałek chleba z serem brałem z sobą, a wieczorem bułka i szklanka herbaty. Jeśli mi wystarczało, kupowałem sobie na obiad porcję puddingu, czyli ryżu gotowanego, ale czasem, przechodząc koło straganu z ciastkami, złakomiłem się na ten przysmak i wtedy już nie było za co kupić obiadu, lub musiałem w sobotę żyć o suchym chlebie.Żałowałem zawsze takiego łakomstwa, bo ciastka były liche, ale miałem przecie dopiero lat dziesięć i jedzenie nie tylko stanowiło dla mnie bardzo ważną potrzebę organizmu, ale budziło dziecinne zachcenia.

Pamiętam, że upatrzyłem sobie z czasem dwa sklepy, w których sprzedawano pudding: jeden przy kościele, droższy, tam za dwa pensy dostawałem kawałek dosyć duży wybornego ryżu z powidłami. Cóż, kiedy rzadko mogłem wydać dwa pensy na ten przysmak. W drugim sklepie dostawałem za pensa kawał

suchego ryżu z rodzynkami i to właśnie stanowiło najczęściej mój obiad, jeśli na co innego nie wydałem pieniędzy.

Czasem ogarniało mię takie pragnienie prawdziwego obiadu, że przez trzy dni żyłem chlebem, a w niedzielę fundowałem sobie ucztę. Co prawda, zdarzyło się to zaledwie kilka razy. Dostawałem wtedy kawałek gorącej kiełbasy z chlebem, czerwony kawałek mięsa, lekko osmażony, butersznit z serem i szklankę piwa. Smakowało mi wszystko wyśmienicie, a licha garkuchnia "Pod dzikim lwem" w moich oczach była najdoskonalszą jadłodajnią.

W sklepach, gdzie bywałem częściej, przyzwyczajono się do mnie, do nowych jednak nie lubiłem wchodzić, gdyż zwracano na mnie uwagę, zapytywano naprzód, czy mam przy sobie pieniądze, a chłopiec posługujący nieraz sobie z mej "wielkości" zażartował. Razu jednego nie chciał mi dać piwa, którego zażądałem, mówiąc, że dla mnie za mocne. Usłyszał to z za lady sam gospodarz i skinął na mnie. Obok niego siedziała jego żona, robiąc coś prędko na drutach. Zaczęli mię pytać, kto jestem, co robię, ile zarabiam, wreszcie podali mi piwo, a kiedy zapłaciłem, kobieta położyła na stole robotę, wyszła z za lady, oddała mi pieniądze i pocałowała mię w głowę.

Odtąd nie śmiałem więcej wejść do tego sklepu.

W "interesie" spełniałem swoje obowiązki niezawodnie gorzej od innych z powodu mego wieku, lecz choć nie miałem ani iskierki nadziei, aby cokolwiek mogło się zmienić w moim losie, nie pogodziłem się ani na jedną godzinę z obecnem położeniem. Nie mówiłem o tem nigdy i nikomu, ani panu Quinion, ani moim gospodarzom, ani chłopcom, ani innym pracownikom, cierpiałem nad tem sam w zupełnej tajemnicy i cierpiałem coraz boleśniej. Za nic w świecie nie chciałbym teraz spotkać nikogo z dawnych kolegów, a tak głęboko czułem się upokorzony, że nawet w listach do Peggotty, które pisywałem często, nie narzekałem ani skarżyłem się na nic. Po części może nie chciałem jej martwić, ale po części był to wstyd i skrytości niech choć nikt nie wie, w jakiej nędzy zginę.

Na towarzyszów pracy nie mogę narzekać, o ile umieli, byli dla mnie dobrzy. Kartofel czasem burknął, lecz Walker mię lubił i uśmierzał go zaraz. Starsi robotnicy nazywali mię żartobliwie "młodym gentlemanem" lub "młodzieńcem" i jedynie woźnica, który odwoził paki do przystani, wołał niekiedy "Dawid", ale z takim ojcowskim akcentem, że mi to prawie sprawiało przyjemność.

W domu państwa Micawber zaprzyjaźniłem się z dziećmi, które jednak w niedzielę tylko widywałem, a więcej jeszcze z samą gospodynią. Zwierzała mi się ze swoich kłopotów i rozmawiała jak z dorosłym przyjacielem. Ja to znalazłem sposób na opędzanie głodu, sprzedając różne rzeczy w sklepach ze starzyzną, które mijałem rano i wieczorem w swojej dalekiej podróży do pracy. Najpierw poszła tak zwana bibljoteka, to jest kilkanaście książek, które zauważyłem na półce, przeważnie w nieświetnym stanie. Ale zawsze dostawałem za nie po kilka pensów. Gdy zabrakło książek, dawała mi do sprzedania części garderoby swojej, męża, a nawet dzieci, i choć prawdopodobnie oddawałem to za pół darmo, ze łzami w oczach dziękowała mi za tę przysługę. Pan Micawber — jak dzisiaj sądzę — był zacnym i trochę śmiesznym niedołęgą, który ciągle szukał zajęcia, a znaleźć go nie umiał, lecz żona go kochała i wierzyła, że jest człowiekiem genjalnym, tylko "nie ma szczęścia".

Wędrując kawał drogi rano i wieczorem, stroskany kłopotami moich gospodarzy, ze wstrętem odsuwając myśl o "interesie", wynalazłem sobie rozrywkę bardzo zajmującą: zacząłem snuć powieści z własnej wyobraźni. Były to szczątki rzeczy przeczytanych, które zapominałem i mieszałem, część własnych wspomnień, przeżyć, a może nadziei, nieśmiało i niewyraźnie budzących się już w mojej duszy. Ta rozrywka zastępowała mi wszelkie towarzystwo, gdyż nie tylko przy pracy, ale i w życzliwem otoczeniu w domu, byłem jednakże zupełnie samotny, obarczając się dobrowolnie troskami moich gospodarzy, nie dzieląc z nimi własnych.

Z czasem pochłaniało mię to coraz bardziej: twarze ludzkie zaczęły sprawiać na mnie dziwne wrażenie, wiele z nich

domagało się historji, inne mówiły mi swe tajemnice. Idąc, szukałem tych ciekawych twarzy, a ich widok napełniał moją wyobraźnię nową, bogatą treścią.

I stało się, że jednocześnie żyłem jakby dwoma życiami: jedno — to wstrętna praca, nędzny obiad na kamieniu na ulicy, cudze troski i obce otoczenie, drugie — to świat ciekawy i wspaniały, świat głębokich wzruszeń i cudownych zdarzeń, świat nadzwyczajnych ludzi i bohaterskich czynów.

Tymczasem oczekiwał mię cios nowy: państwo Micawber opuszczali Londyn.

Kiedy zawiadomili mię o tem, zdawało mi się, że spadł na mnie kamień i tak przytłoczył mię swoim ciężarem, iż nie mogłem wymówić słowa. Czułem, że pozostanę sam na świecie w tem obcem, wielkiem mieście, bez życzliwej duszy, bez opieki, rady ani pomocy w potrzebie. Cierpiałem z nimi biedę, martwiłem się ich kłopotami, dzieliłem nieraz swym skromnym zarobkiem, ale teraz dopiero zrozumiałem, że byli dla mnie jedynym promieniem światła w ciemnej nocy, że bez nich — nie wiem, co się ze mną stanie.

A miało to nastąpić już za tydzień. Pan Quinion uprzedzony porozumiał się z naszym woźnicą, człowiekiem żonatym i dzielnym, i oświadczył mi, że u niego będę miał mieszkanie.

Milczałem, lecz buntowałem się w duszy. A więc mam nowym, nieznanym mi ludziom prezentować znów swoją nędzę, słuchać ich ciekawych pytań, stosować się do ich zwyczajów i humoru? Prawdopodobnie nawet nie będę tu miał swojego pokoju, ale wstawią mi łóżko do izdebki dzieci. Nie, na to się nie zgadzam, nie wytrzymam.

Nie mogłem zasnąć w nocy, podniecony postanowieniem ucieczki. Tak. Nie zostanę dłużej w "interesie", nie zostanę w Londynie. Poco? Ucieknę. Dokąd? Nie wiem, ale ucieknę stanowczo, gorzej nigdzie mi być nie może. Lecz rano zjawiła się konieczność oznaczenia celu ucieczki. Muszę przecież wiedzieć, w którą stronę pójdę!

I nagle błysnęła mi myśl niespodziewana: mam na świecie cioteczną babkę. Jest moją jedyną krewną. Do niej się udam i

niech, co chce, będzie.

Tylko — gdzie jej szukać?

Tegoż dnia napisałem list do Peggotty, zapytałem tak sobie od niechcenia, czy nie pamięta, gdzie mieszka babka Betsy, bo chciałbym wiedzieć, czy to o niej mówią często moi znajomi. Wreszcie prosiłem, żeby mi pożyczyła pół gwinei na pewne przedsiębiorstwo, obiecując niedługo odesłać pieniądze.

Odpowiedź była prędko wraz z pieniędzmi, dowiedziałem się, że babka Betsy mieszka czy w samym Duwrze, czy gdzieś w okolicy. Zdawało mi się, że taka wskazówka wystarczy do jej odszukania.

Zbliżała się chwila stanowcza. Żaden z dni upływających nie miał się już powtórzyć w tych warunkach. Ostatniej niedzieli byłem zaproszony przez moich gospodarzy na pożegnalny obiad. Pani Micawber, blada i wzruszona, podała doskonałą wieprzowinę, jadłem pieczone jabłka, rozdałem dzieciom drobne upominki, pan Micawber przyrządził małą wazę ponczu i wygłosił piękną przemowę o przyjaźni i nietrwałości rzeczy ziemskich. Podziwiałem jego wymowę, kochająca małżonka była do łez rozczulona, a dzieci przypatrywały się nam z ciekawością. Potem dni tygodnia biegły jak szalone i nadeszła sobota. Ze ściśniętem sercem odprowadziłem ich do dyliżansu. Raz jeszcze pożegnaliśmy się serdecznie, pani Micawber uściskała mię jak syna, pan Micawber zapewnił, że uważa mię za przyjaciela.

Wieczorem miałem się przenieść do woźnicy, tak przynajmniej myślał pan Quinion. Co do mnie, ponieważ byłem płatny z góry, więc jako człowiek uczciwy uważałem za swój obowiązek pracować tego dnia do końca, a wieczorem nie wziąć pieniędzy na następny tydzień. Dlatego pożyczyłem pół gwinei od Peggotty, aby nie zostać bez grosza.

Kiedy nadeszła godzina wypłaty, szepnąłem Walkerowi, ie idę zabrać swoje rzeczy, więc żeby wytłumaczył mię przed panem Quinion, że nie mogę czekać na pieniądze.

I wyszedłem.

Rzeczy musiałem zabrać z dawnego mieszkania, ale postanowiłem złożyć je na poczcie, aby zostały wysłane do Duwru. Adres miałem już napisany, trzeba go było tylko przylepić do kuferka. Na nieszczęście kuferka sam nie dźwignę, muszę koniecznie znaleźć kogoś do pomocy.

Rozglądając się wkoło, spostrzegłem na rogu ulicy wysokiego chłopaka z pustym wózkiem ręcznym. Spojrzałem na niego badawczo i nieśmiało, minąłem go i znowu zawróciłem, zdecydowany żądać od niego pomocy.

Zauważył to widać i powziął jakieś podejrzenie.

— Czego się kręcisz tutaj, oberwusie? — przemówił do mnie ostro. — Czy masz zamiar co ściągnąć?

— Niech się pan nie gniewa — odparłem spokojnie — szukam kogoś, kto by mi przewiózł kuferek na pocztę.

— Czyj kuferek?

— Mój naturalnie, ale mogę za to zapłacić tylko sześć pensów.

— Chodźmy — rzekł długonogi — zobaczymy!

I zaczął 'iść tak szybko, iż zaledwie mogłem nadążyć.

Wbiegliśmy na górę, porwał mój kuferek, nim zdążyłem przylepić adres, umieścił go na wózku i już był daleko, nim znalazłem się na ulicy.

Dogoniłem go wreszcie i prosiłem, żeby przystanął na chwilę. Spojrzał na mnie, jak gdyby się namyślał. Chciałem wyjąć z kieszeni adres, lecz wypadło mi pół gwinei. Wziąłem ją prędko w usta i rozłożyłem papier na kuferku. A wtem chłopiec tak mocno uderzył mię w brodę, że wypuściłem z ust pieniądz, który upadł na kamienie.

W mgnieniu, oka chłopiec go podniósł i krzyknął na mnie groźnie.

— A co! Skradłeś? Wiedziałem. Pójdziesz do policji.

Chwycił mię za kołnierz i potrząsnął mocno.

Przestraszyłem się wyrazu policja i tłumaczenia, skąd wziąłem pół gwinei, więc zacząłem go prosić.

— To moje. Niech pan puści. Ja nic nie ukradłem.

I wybuchnąłem płaczem.

Wtedy puścił mię szybko i w tej samej chwili prawie zniknął mi z oczu z kuferkiem i pieniędzmi.

Zacząłem biec i krzyczeć z całej siły, lecz odległość pomiędzy nami powiększała się z każdą minutą, wpadłem pomiędzy konie, ktoś mię odepchnął na bok, upadłem, a kiedy się podniosłem, już nie było widać długonogiego chłopaka.

Usiadłem na ziemi i zapłakałem głośno.

IX. BEZDOMNY.

Nie trwało to jednakże długo. Wszystko jedno. Cóż tam było w tym kuferku ? Trochę nędzy. Szkoda gwinei, ale — i tak postawię na swojem. Albo odnajdę babkę, albo zginę: nic mi nie pozostało innego.

Wstałem i zacząłem iść przed siebie szybko. Wiedziałem, iż byłem na drodze do Duwru, gdyż w ciągu dni ostatnich zbadałem tę sprawę, ale nie miałem jasnego pojęcia o długości podróży. Szedłem pośpiesznie, póki mi sił nie zabrakło, a wtedy prawie upadłem na ziemię.

Byłem głodny i wyczerpany, w kieszeni miałem tylko dwa półpensy, więc chyba umrę z głodu.

I widziałem się w wyobraźni umarłym, leżącym na drodze pod płotem.

Przeląkłem się tego obrazu i otworzyłem oczy. Nie chcę na drodze umrzeć. Można się przecież ratować.

W ostatnim roku nabyłem dużo doświadczenia i teraz przyszło mi na myśl, że mogę sprzedać kamizelkę, a za te pieniądze może się wyżywię przez drogę.

Zdjąłem ją natychmiast, zwinąłem i, trzymając w ręku, zacząłem się oglądać, czy nie zobaczę sklepu ze staremi rzeczami. Nie szukałem długo. Na progu lichej nory, zawieszonej używaną garderobą, siedział właściciel i palił fajeczkę.

Zbliżyłem się do niego.

— Może pan kupi moją kamizelkę — rzekłem, podając zawiniątko.

Cofnął się do sklepu, fajkę położył na półce, a ponieważ zmrok już zapadał, zapalił aż dwie świece i zaczął przy ich świetle bardzo uważnie przypatrywać się podanej części garderoby.

— Cóż chcesz za to? — zapytał wreszcie.

— Pan lepiej wie, ile warta — odpowiedziałem skromnie.

— To nie należy do mnie — odparł obojętnie — mów, ile żądasz.

— Osiemnaście pensów — odpowiedziałem po chwili wahania.

Zwinął kamizelkę i podawał mi ją, ruszając ramionami.

— Skrzywdziłbym żonę i dzieci, gdybym zapłacił za to więcej niż dziewięć pensów — zauważył.

Nie mogłem żądać przecie, aby krzywdził żonę i dzieci, więc pośpiesznie zgodziłem się na dziewięć pensów.

Spojrzał na mnie, wyjął z kieszeni pieniądze i podał mi je, mrucząc.Życzyłem mu dobrej nocy i wyszedłem.

Kupiłem kawałek chleba i puściłem się w dalszą drogę. Przewidywałem, że po kamizelce będę musiał sprzedać i kurtkę, ale tymczasem była jeszcze na mnie, zapiąłem ją starannie na wszystkie guziki i zacząłem rozmyślać o noclegu.

Przede wszystkiem musiał być tani, potem nie bardzo daleko, bo już się ściemniło na dobre, a na koniec marzyłem, żeby się do czegoś przytulić.

Wtem przyszło mi do głowy, żeby dojść do Salem-House, gdzie tuż za płotem stał zawsze stóg siana. Zdawało mi się, że będę tam jakby u siebie, tak blisko chłopców, na miękkiem posłaniu, w miejscu dobrze mi znanem.

Ożywiony tą nadzieją, szedłem raźniej naprzód, chociaż byłem bardzo zmęczony i bałem się chwilami, że nie trafię. Rzeczywiście było już późno, gdy rozpoznałem dobrze mi znany budynek.

Przystanąłem tak mocno wzruszony, że na chwilę zapomniałem o zmęczeniu. Z wolna, bardzo z wolna obszedłem go dokoła, patrząc w czarne, zamknięte okna, które przypominały mi tak wiele. Każde prawie mówiło do mnie: czy pamiętasz? Tam spali chłopcy spokojnie, na łóżkach, a ja?...

Doszedłem do stogu i położyłem się wreszcie na sianie. Mimo zmęczenia usnąć nie mogłem od razu i nigdy nie zapomnę

uroczystego uczucia, jakiego tu doznałem tej pierwszej nocy bez dachu, samotny pośród ciemności i ciszy.

Na szczęście było ciepło. Widok pogodnego nieba i blade światło gwiazd działało na mnie uspokajająco. Usnąłem wreszcie i zbudziło mię dopiero słońce wraz z dzwonkiem szkolnym, który wzywał chłopców na śniadanie.

Wstałem pośpiesznie i poszedłem dalej. Nie chciałem, aby mię tutaj widziano.

Była niedziela. Jakaż niepodobna do wszystkich, które dotąd przeżyłem, zacząwszy od dzieciństwa, aż do tej ostatniej z pożegnalnym obiadem życzliwych mi ludzi. Przechodziłem koło kościoła i przystanąłem na chwilę pod murem. Wejść do środka nie mogłem, powalany błotem, zakurzony, niemyty, brudny.

Lepiej nie myśleć o tem, a iść, iść naprzód, póki nie stanę u celu.

Uszedłem dnia tego blisko trzydzieści kilometrów, więc byłem porządnie zmęczony wieczorem; przy drodze widziałem otwarte zajazdy, lecz nie miałem odwagi wstąpić. Bałem się wydatku i włóczęgów, których spotykałem na drodze, a w oberżach było ich pełno. Myślę nawet, że ten ostatni strach był większy. Skierowałem się więc ku Chatham, podpełzłem cicho ku zielonej ścianie, osłaniającej twierdzę, i położyłem się w cieniu armaty na miękkiej i wilgotnej trawie. O kilka kroków żołnierz z bronią na ramieniu chodził tam i na powrót, nie domyślając się mej obecności, a ja pod jego strażą czułem się taki bezpieczny, że zasnąłem spokojnie i bez ciężkich myśli.

Odgłos bębna zbudził mię wcześnie. Czułem chłód i nogi bolały mię bardzo, zrozumiałem, że niewiele dzisiaj przejdę drogi. Byłem głodny. Trzeba było pomyśleć o sprzedaży kurtki.

Z tym zamiarem, znalazłszy się wreszcie na drodze, rozgrzany ruchem i porannem słońcem, zdjąłem żakiet i zacząłem iść w koszuli, szukając sklepu, gdzie mógłbym załatwić interes.

Było ich niemało, lecz zdawały mi się zbyt wspaniałe, i nie śmiałem wejść do żadnego z moją kurtką. Skręciłem w boczną uliczkę, gdzie sklepiki były o wiele nędzniejsze, i tu wreszcie

wybrałem najskromniejszą dziurę, ponieważ w oknie widniały nie lepsze od mojego ubrania.

Zszedłem po kilku schodkach do ciasnego, ciemnego sklepu i przestraszyłem się nagle, ujrzawszy przed sobą bardzo brzydkiego starca w brudnym, flanelowym kaftanie, z zapuchłemi oczami i zarośniętą twarzą, od którego z daleka poczułem zapach wódki.

— Czego chcesz! — krzyknął stary jakimś ochrypłym głosem. — O moja głowo, o moje ręce nieszczęśliwe! Czego chcesz? Grr! Grr!

Byłem tak przestraszony, że wolałbym uciec, ale stary pochwycił mię mocno za włosy i znów zaczął tym samym dziwnym głosem.

— Czego chcesz? Moje oczy! Moja głowa! Moje ręce! Grr! Grr!

Zapuchnięte, czerwone oczy błysnęły mu groźnie, miałem takie wrażenie, jak mysz w pazurach kota.

— Chciałem… Może pan kupi mój żakiet — wyjąkałem na koniec drżącym głosem.

— Pokaż! — zawołał stary. — Och, oczy, moje oczy! Pokaż! O ręce, moje biedne ręce! Grr! Grr!

Puścił moję włosy, włożył okulary, i trzymając kurtkę jakiemiś szponami, podobnemi do szponów ptaka, zaczął znowu.

— Ile chcesz za ten łachman? Grr! Grr! Moje oczy! Ile chcesz za ten łachman?

— Pół korony — odważyłem się powiedzieć.

— Pół korony! O gardło moje! Moje płuca! O nieszczęśliwe oczy! Osiemnaście pensów. Grr! Grr!

Niepodobna opisać, z jakim wyrazem twarzy wydawał zawsze ten ostatni charkot. Zdawało się, że oczy wyskoczą mu z głowy, że się rzuci jak tygrys na ofiarę.

— Dobrze — odpowiedziałem, byle prędzej skończyć. — Daj pan osiemnaście pensów.

— O moje płuca! — krzyknął, rzucając kurtkę na wysoką półkę. — O moje ręce! Nogi! Moje oczy! Wynoś mi się ze sklepu, nie żądaj pieniędzy, bierz co w zamian i zmykaj, pókiś cały!

Nigdy w życiu tak się nie bałem, jak wtedy. Drżałem na całem ciele, ale nie mogłem odejść. Zacząłem mówić z płaczem, że potrzebuję pieniędzy, żeby mi zapłacił, albo oddał kurtkę. On powtarzał swoje i chciał mi dać w zamian stary kapelusz, jakiś flet zepsuty, skrzypce bez strun i smyczka.

Płacząc głośno, usiadłem na progu sklepu od ulicy i powiedziałem, że się stąd nie ruszę, póki mi nie odda pieniędzy.

I siedziałem dzień cały, do wieczora. Okropny dzień bez chleba i bez kropli wody, słuchając nieprzytomnych wykrzykników pijanego czy obłąkanego człowieka.

Znany on był widocznie na całej ulicy, gdyż chłopcy, przebiegając koło sklepu, drażnili go żartami i pytali, ile mu djabeł zapłacił za duszę? czy wypłacił wszystkie pieniądze od razu? czy odwiedza go co dzień? ile mu jeszcze winien? i t. d. Doprowadzony do wściekłości handlarz rzucał się ku nim z nożem, chłopcy pierzchali wśród krzyków i śmiechu, a ja przytulałem się mocniej do ściany i nie ruszałem się z miejsca. Czasem zwracałem się do niego z prośbą, ażeby mi zapłacił, czasem wybuchałem płaczem.

Już dobrze po południu rzucił mi dwa pensy i rozkazał iść precz natychmiast.

Schowałem monetę i czekałem znowu.

Po godzinie dał mi pół pensa, zachęcając groźbami do ucieczki.

— O moje oczy! O moje płuca, gardło, ręce, nogi! — wykrzykiwał bez końca. — Czy sobie pójdziesz wreszcie za dwa pensy?

— Nie mogę, umarłbym z głodu.

— O moje uszy, oczy, gardło, ręce! Masz trzy pensy i wynoś się do djabła!

— Nie mogę, panie, odejść bez pieniędzy. Poszedłbym dawno, żebym mógł się bez nich obejść.

— Grr! Grr! — i znów to samo.

Rzucał mi po półpensa i po pensij, wreszcie przed zachodem słońca ofiarował aż cztery pensy, żebym sobie poszedł natychmiast.

Byłem tak osłabiony i głodny, że zgodziłem się na to. Rzucił mi pieniądz, powlokłem się bezsilny do najbliższego sklepu, zjadłem kawałek chleba, napiłem się mleka i pokrzepiony jeszcze przed nocą uszedłem około dziesięciu kilometrów drogi.

Spałem znów w stogu siana, wymoczywszy przedtem nogi w strumieniu i owinąwszy je, jak tylko mogłem, świeżemi i chłodnemi liśćmi. Zbudziłem się wypoczęty, zjadłem kawałek chleba, który miałem z sobą i ruszyłem w dalszą drogę.

Dnia tego szedłem między chmielnikami i sadami owocowemi, gdzie na drzewach ciemniały śliwki i złociły się jabłka. Jakąż rozkoszą dla mnie byłby taki owoc soczysty. Nie mogłem o tem marzyć, lecz patrzyłem na nie z wielką przyjemnością i układałem sobie, że będę spał dzisiaj w chmielniku, pośród wysokich tyczek, obwieszonych zielonemi zwojami pięknych liści i jasnemi gronami nasienia.

Po drodze spotykałem więcej niż zwykle włóczęgów, oglądali się za mną, zaczepiali i wołali na mnie, a kiedy uciekałem, rzucali kamieniami.

Jeden szedł z żoną o podbitem oku, która niosła na ręku małe dziecko. Spojrzał na mnie z pode łba i krzyknął głośno, abym się zatrzymał. Chciałem uciec, ale nie miałem odwagi.

— Chodź tu, kiedy wołają! — powtórzył tak groźnie, że mimowolnie prawie zbliżyłem się do nich.

— Dokąd idziesz? — zapytał, chwytając mię za koszulę.

— Idę do Duwru, panie.

— A skąd idziesz? — nastawał, trzymając mię mocno.

— Z Londynu, panie.

— Złodziej?

— Nie, panie — broniłem się prawie ze łzami.

— Tylko nie kłam, a daj na piwo, bo źle z tobą będzie.

Już chciałem oddać mu resztę pieniędzy, gdy spojrzałem na stojącą nieco poza nim kobietę, która wyraźnie potrząsnęła głową i bez głosu ustami wymówiła: "Nie".

— Nic nie mam, panie — szepnąłem, drżąc ze strachu i błagalnie patrząc na niego. — Jestem biedny.

— Jestem biedny! — przedrzeźniał. — I dlatego ukradłeś chustkę mego brata.

To mówiąc, zerwał mi z szyi chusteczkę i rzucił za siebie kobiecie.

Ona wzięła to niby za żart i wybuchnęła śmiechem, odrzucając mi chustkę i wymawiając bez głosu: "Uciekaj!"

Ale w tej samej chwili włóczęga wyrwał mi chustkę, odepchnąwszy mnie jak piórko w przeciwną stronę drogi, okręcił ją sobie na szyi i zaciśniętą pięścią uderzył kobietę.

Widziałem, że upadła. Uciekając dalej, obejrzałem się jeszcze i widziałem znowu, że siedziała na drodze i ocierała twarz, zapewne z krwi.

To zdarzenie przeraziło mię do tego stopnia, że uciekałem i kryłem się na widok zbliżających się ludzi, a ponieważ powtarzało się to bardzo często, zajmowało mi wiele czasu i przedłużało podróż.

Spałem tej nocy w zielonym chmielniku i śniła mi się mama, taka wesoła i śliczna, jak była w najdawniejszych [czasach. Obudziłem się pod tem wrażeniem i widziałem mamę przy sobie tak wyraźnie, jakby szła ze mną. Myślałem ciągle o niej i czułem prawie jej obecność, a to mię pokrzepiało i dodawało odwagi. Tak mi z tem było dobrze, [iż miałem ją ciągle przy sobie, jakby zaklętą mojem gorącem pragnieniem, i dopiero kiedy znalazłem się w Duwrze, szóstego dnia podróży, nagle mię opuściła, rozwiała się w nicość, niby lekka chmurka przed słońcem. Może dlatego, że zacząłem teraz myśleć z większą uwagą o odszukaniu babki.

Usiadłem pod murem na kamiennym bruku i posiliłem się kawałkiem chleba, ostatnim, jaki miałem. Namyśliłem się przy tem, że należy zapytać o babkę rybaków i przewoźników na wybrzeżu. Tam więc zwróciłem pierwsze kroki.

Lecz rybacy i przewoźnicy odpowiadali mi tylko żartami: widzieli, jak na miotle leciała do Francji, lub siedzi na księżycu, bo tam starych bab brakuje i t. p. Dorożkarze, do których się zwróciłem, odpowiadali także śmiechem i grubiaństwem; w sklepach, nie czekając na moję pytanie, machali ręką ku

drzwiom ze słowami: "Pan Bóg opatrzy!" Zrozpaczony, usiadłem znowu na ulicy, zwątpiłem już o wszystkiem, nie widząc sposobu odnalezienia babki, a będąc spragniony i głodny. Siły mię opuszczały, czułem, że chyba umrę tutaj.

Gdy odpocząłem, znowu próbowałem szczęścia, ale zawsze na próżno, nikt nic nie wiedział i śmiano się ze mnie, lub podejrzewano mię o złe zamiary.

Dzień był gorący i słońce paliło, odbierając mi resztę siły. Usiadłem przy zbiegu dwóch ulic i znużonym wzrokiem patrzyłem przed siebie. Przejeżdżała kareta, z której wypadła derka. Zerwałem się i podbiegłem, aby ją podać woźnicy. Miał twarz uczciwą i dosyć łagodną, więc ośmieliłem się znowu zapytać, czy nie wie, gdzie mieszka miss Trotwood.

— Trotwood? — powtórzył. — Czekaj. Słyszałem to imię. Stara pani?

— Tak, stara — potwierdziłem.

— Sucha? Sztywna? — mówił, prostując się także na koźle.

— Tak, tak, z pewnością ona.

— Nosi woreczek czarny aksamitny ze złotemi kółkami?

Skinąłem tylko głową na znak potwierdzenia. Nie widziałem nigdy w życiu babki Betsy, więc nie mogłem odgadnąć, czy tak wyglądała, lecz mogła to być ona i nie chciałem stracić tej niteczki.

— W takim razie słuchajże. Idź na prawo, w tę stronę — i wskazał mi szereg pagórków. — Tam znajdziesz kilka domków na wybrzeżu, myślę, że i ona tam mieszka, a zresztą łatwo się dopytasz. A to weź, bo zdaje mi się, że zjadłbyś co przedtem.

Dał mi pensa, którego przyjąłem z wdzięcznością i czem prędzej kupiłem sobie chleba.

Posiliwszy się, poszedłem we wskazanym kierunku. Zdawało mi się blisko, a szedłem dość długo, jakby cel pożądany uciekał przede mną. Wreszcie ujrzałem pierwszy domek tuż przed sobą i w nim zaraz niewielki sklepik.

Wszedłem. Za ladą wysoki mężczyzna ważył ryż dla dziewczyny, która stała z koszykiem ręku.

— Przepraszam pana — zacząłem nieśmiało — czy nie mógłby mi pan powiedzieć, gdzie tu mieszka miss Trotwood?

— Moja pani? — odwróciła się do mnie dziewczyna. — A czego to chcesz od niej?

— Chciałbym z nią pomówić.

— Prosić o jałmużnę?

— Nie — odparłem z wahaniem, gdyż przyszło mi na myśl, że właściwie było to coś podobnego, więc milczałem.

Dziewczyna spojrzała na mnie raz i drugi, zabrała ryż do koszyczka i oświadczyła, że mogę iść za nią, jeżeli się chcę zobaczyć z miss Trotwood.

Powlokłem się więc za nią, ale tak wzruszony i wyczerpany razem, że nogi literalnie uginały się pode mną.

Wkrótce stanęliśmy przed niewielkim domkiem, który patrzył na drogę jasnemi oknami, białe firanki, kwiaty, ogródek przed domem, ogrodzony starannie sztachetkami, sprawiały nadzwyczaj przyjemne wrażenie. Za ogródkiem dokoła domu rozścielała się świeża i kwiecista łąka, pokryta bujną trawą.

— To dom miss Trotwood — odezwała się dziewczyna. — Nic więcej zrobić dla ciebie nie mogę.

I pośpiesznie weszła do sieni, jakby się bała odpowiedzialności za sprowadzenie mię tutaj.

Stanąłem przed furtką i patrzyłem w okno, przez które poza kwiatami widziałem mały stolik i fotel z zielonem obiciem. Zapewne tutaj babka siadała z robotą.

Zobaczę ją za chwilę, ale jak wyglądam? Trzewiki popękane, prawie bez podeszew, z otwartemi nosami, właściwie straciły już formę obuwia. Kapelusz, w którym spałem, połamany, brudny. Koszula i spodnie kurzem i błotem pokryte, tu i ówdzie rozdarte, czyniły mię podobnym do straca na wróble. Włosy nieczesane od wyjścia z Londynu, twarz, szyja, ręce brudne i rozczerwienione, jak dojrzałe porzeczki, od wiatru i słońca — oto w jakiej postaci miałem się przedstawić babce. Pomyślawszy o tem, znowu straciłem odwagę.

W oknie pokoju babki nie widać nikogo, widocznie jej tara niema. Jakoś mimo woli podniosłem oczy wyżej i ujrzałem na

pierwszem piętrze siwą głowę gentlemana o twarzy uśmiechniętej i wesołej, który mrugnął na mnie i skinął kilkakrotnie głową, zaśmiał się, jak gdyby spłatał komu figla, i nagle zniknął z okna.

To zmieszało mię jeszcze bardziej. Nie wiedziałem, co począć, gdy spostrzegłem wychodzącą do ogrodu wysoką lady z woalem, zarzuconym na kapelusz, aksamitnym woreczkiem w jednej ręce i z dużym nożem ogrodniczym w drugiej. Przechodząc koło furtki, Spojrzała na mnie obojętnie i wskazała ręką, abym sobie poszedł.

— Nie potrzeba tu chłopców — powiedziała.

Nie spuszczałem z niej oczu, serce biło mi jak młotem, gardło ścisnęło się jakoś boleśnie, usta drżały, niezdolne wymówić wyrazu.

Sztywnym krokiem zbliżyła się do jednej grządki i pochyliła nad nią, widocznie z zamiarem obcięcia czegoś nożem ogrodniczym. Fala odwagi popchnęła mię naprzód, wszedłem do ogródka i stanąłem przy niej.

Nie zwróciła na mnie uwagi, więc lekko dotknąłem jej ręki.

— Przepraszam panią — wybełkotałem nieśmiało. Drgnęła i odwróciła się ku mnie.

— Przepraszam, ciociu, babciu — plątało mi się na języku.

— Co? — zawołała miss Betsy z wyrazem najwyższego zdumienia.

— Ja jestem babci wnukiem, jestem Dawid Copperfield.

— Wielki Boże! — wyrzekła babka i z wielkiego wzruszenia usiadła na ziemi.

— Jestem Dawid Copperfield — powtórzyłem — z Blunderstone, z Suffolk. Mama umarła i byłem bardzo nieszczęśliwy. Ojczym kazał mi myć butelki w swoim "interesie", i niczego się nie uczyłem. Więc uciekłem. Skradli mi wszystkie rzeczy, szedłem z Londynu piechotą, spałem pod gołem niebem.

Nagle litość nad sobą wezbrała we mnie takim żalem, że wybuchnąłem łkaniem i tylko wyciągnąłem ku niej obie ręce, jako świadectwo tego, co wycierpiałem w drodze. Płakałem

przy tem strasznie, wszystkie łzy, nagromadzone gdzieś pod sercem, wstrząsały mną, wylewając się z bolesnym szlochem.

Babka, siedząc na ścieżce, patrzyła na mnie z wyrazem zdumienia, dopóki nie zacząłem płakać. Wtedy podniosła się szybko, wzięła mię za ramię i wprowadziła do pokoju. Tu otworzyła szafę i, drżącemi rękami biorąc jedną po drugiej filiżanki, dała mi się napić najpierw czegoś kwaśnego, potem jakiegoś sosu jakby z winem, a na koniec mleka.

Piłem, szczękając o szklankę zębami, niezdolny zapanować nad spazmatycznym płaczem. Więc położyła mię na sofie, podsunęła jakiś miękki szal pod głowę, a chustkę do nosa pod nogi, żebym nie zawalał pokrycia, i powtarzając głośno: — Wielki Boże! — usiadła na fotelu przy stoliku tak, że nie mogłem jej widzieć.

Uspokajałem się jednak powoli.

Miss Betsy zadzwoniła.

We drzwiach stanęła znana mi służąca i ze zdziwieniem spojrzała na sofę. Babka z czołem zmarszczonem i rękami, założonemi na plecy, chodziła po pokoju.

— Poproś pana Dicka — rozkazała krótko.

Wkrótce z przeciwnej strony zjawił się gentleman, który dawał mi znaki z okna pierwszego piętra.

— Panie Dicku — poważnie przemówiła babka — porzuć głupstwa i bądź człowiekiem rozsądnym. Wiem, że masz rozum, i dlatego cię wezwałam.

Pan Dick przybrał natychmiast minę uroczystą, lecz spojrzał na mnie bokiem, jakby mi chciał dać poznać, abym się nie przyznawał do tego, co widziałem przez okno.

— Panie Dicku — zaczęła znowu ciotka — słyszałeś tyle razy o moim siostrzeńcu, Dawidzie Copperfieldzie, wszak pamiętasz?

— Dawidzie Copperfieldzie — powtórzył pan Dick z przekonaniem.

— To syn jego — mówiła babka. — Podobny do ojca, o ile tylko może być podobny, będąc jednocześnie podobny do matki.

— Do matki — powtórzył pan Dick zadowolony.

— A teraz — rzekła babka — jako człowiek rozsądny, powiedz mi, panie Dicku, co z nim zrobić? Uważaj: co z nim zrobić?

— Co z nim zrobić? — powtórzył pan Dick, marszcząc czoło i patrząc na mnie niezdecydowanym wzrokiem. — Ja bym, ja bym go umył — rzekł nareszcie.

— Otóż to! — zawołała babka uradowana. — Żaneto, kąpiel. Pan Dick rozkazał. Słyszałaś?

Słuchając tej rozmowy, uspokajałem się po trochu, do czego pomagała mi ciekawość. Leżąc wygodnie, pokrzepiony mlekiem, którego smak wyborny czułem w ustach, z niewymowną rozkoszą patrzyłem na ten czysty pokój, w którym najmniejszy drobiazg świadczył o wyszukanym porządku. Białe firanki, kwiaty, piękne sprzęty, czyste, świeże powietrze, płynące od morza, pieściły wszystkie zmysły. Na tem tle rysowała się wysoka, sztywna, lecz piękna postać ciotki czy tam babki, z gładko uczesanemi siwemi włosami, w ciemnej sukni z woreczkiem nieodstępnym w ręku, chodząca po pokoju krokiem energicznym i rzucająca na mnie szybkie i stanowcze, ale jakieś dobre spojrzenia. Dalej pan Dick, figlarnie uśmiechnięty, z twarzą rumianą i spojrzeniem dziecka, pomimo siwych włosów przypominający mi kolegów ze szkoły pana Creakle. Wreszcie Żaneta, młoda i ładna dziewczyna, tak czyściutko ubrana, jak pan Dick, babka i wszystko w tym domu.

Odetchnąłem głęboko z uczuciem rozkoszy. Żaneta już zamknęła drzwi za sobą, aby wypełnić rozkaz i przygotować mi kąpiel, kiedy rozległ się nagle pełen oburzenia, donośny głos miss Betsy.

— Żaneta! Osły!

Na ten krzyk zadudniało gwałtownie po schodach i koło okna mignęła Żaneta, biegnąc tak szybko, jakby dom stał już w płomieniach. Za nią wybiegła babka. Podniosłem się i przez okno zobaczyłem dziwaczną scenę. Żaneta trzymała za uzdę dwa osły, na których siedziały jakieś młode damy, a babka uganiała się za trzecim, na którym jakiś chłopiec deptał "świętą" łączkę.

I nie wiem do tej pory, czy łąka przed domem była własnością babki, czy tylko uważała ją za swoją, dość, że wojna o przejazd po zielonym kobiercu przed jej domem stanowiła bezustanne urozmaicenie cichego życia w tym domku. I nie było czynności, zajęcia lub pracy, od której by nie odrywali się wszyscy na okrzyk miss Betsy: — Osły! — Zdaje mi się, że chłopcy, mający do wynajęcia te zwierzęta, robili sobie po prostu uciechę z namiętności mojej babki w tym kierunku i umyślnie prowadzili tędy przyjeżdżających. I teraz właśnie odbywała się najgorsza utarczka z chłopcem. Miss Betsy usiłowała dosięgnąć go długą laską, a on umykał zręcznie i śmiał się z jej zamiarów.

Kąpiel była dla mnie ogromną rozkoszą. Potem babka z Żaneta ubrały mię w koszulę i spodnie pana Dicka, owinęły kilku szalami, napoiły gorącem mlekiem z przewyborną bułką i położyły na sofie. Byłem tak osłabiony, że zaledwie włóczyłem nogi, to też z miłem uczuciem ciepła i spokoju zasnąłem prawie natychmiast.

Kiedy się obudziłem, był już wieczór. Miss Betsy i pan Dick siedzieli przy herbacie i rozmawiali, a właściwie babka mówiła, a pan Dick odpowiadał na pytania. Poruszyłem się i w tej chwili oboje zwrócili się do mnie. Miss Betsy zadzwoniła na Żanetę, która przyniosła mi pieczone kurczę i doskonały pudding. Siedziałem obok babki i jadłem niezgrabnie, bo ręce miałem drżące, jakby przetrącone, ale nie gniewała się na mnie. Podano mi herbatę i kawałek ciasta, a jednocześnie babka zażądała, abym jej opowiedział swą historję, i sama przez odpowiednie pytania kierowała opowiadaniem.

Byłem znowu zmęczony tą rozmową i przymykałem oczy, zdawało mi się, że pan Dick robi to samo i tak samo musi być śpiący, ale babka siedziała z nachmurzonem czołem i myślała nad czemś głęboko.

— Nie rozumiem — odezwała się na koniec — poco ta kobieta, mając takie dziecko, wyszła powtórnie za mąż? Co myślisz o tem, panie Dicku?

Pan Dick spojrzał bystro, jakby skupiał myśli, i odpowiedział po chwili milczenia.

— Może się zakochała w tym drugim swoim mężu?

— Głupstwa pleciesz, panie Dicku — przerwała mu babka. — Rozmawiamy poważnie i powinieneś myśleć. Zastanów się tylko, po co by się miała zakochać?

Pan Dick już nie umiał na to odpowiedzieć, zmieszany jej surowem napomnieniem, gdy wtem rozległ się znowu okrzyk: — Osły! — i wybuchła nowa wojna.

Po skończonej walce babka wróciła z panem Dickiem do pokoju i zastała mię na tem samem krześle drzemiącego.

— Uważaj, panie Dicku, na to dziecko — przemówiła — i powiedz mi, jak myślisz, co ja mam z niem zrobić?

— Syn Dawida Copperfielda — odpowiedział pan Dick z pewną dumą. — Wiem. Jabym teraz... jabym go położył do łóżka.

— Żaneto! — zawołała babka tonem zadowolenia. — Pan Dick ma zawsze słuszność. Czy łóżko dla dziecka gotowe?Żaneta wzięła świecę i skinęła na mnie. Babka poszła za mną i w takiej asyście znalazłem się wkrótce w maleńkim i czyściutkim pokoiku na piętrze z prześlicznym widokiem na morze i płynący po niebie srebrny księżyc.

Pocałowałem babkę w rękę na dobranoc, a ona pogłaskała mię po głowie i obiedwie z Żanetą wyszły. Usłyszałem, że klucz w zamku się obrócił, zostałem więc zamknięty jak w więzieniu.

Lecz nie przeląkłem się ani zdziwiłem. Babka nie znała mię przecież i mogła się obawiać, że ucieknę znowu — wolała być zatem ostrożną.

Ukląkłem i zmówiłem gorącą modlitwę, potem wzruszony pięknością tej nocy, usiadłem w oknie i z niewysłowioną rozkoszą patrzyłem na spokojne, ciemne fale i jasne, pogodne niebo. Ogarniało mię słodkie i uroczyste uczucie, jak gdybym był w kościele podczas nabożeństwa — zdawało mi się, że między gwiazdami widzę patrzące na mnie oczy mamy i jej rozwiewną postać z błękitu i srebra.

Zalany łzami położyłem się wreszcie do łóżka, przytuliłem do śnieżnej czystości pościeli i usypiając, modliłem się jeszcze,

abym już nigdy nie był człowiekiem bezdomnym i nigdy nie zapominał o bezdomnych.

X. NOWE ŻYCIE.

Kiedy nazajutrz rano zszedłem na śniadanie, zastałem babkę, siedzącą przy stole, z głową, opartą na ręku i tak zamyśloną, że woda z odkręconego samowara dawno przepełniła imbryk, tackę pod nim i rozlewała się coraz dalej po obrusie.

Powitałem ją i usiadłem na miejscu przygotowanem naprzeciwko. Miałem ją wprost przed sobą i czułem bezustannie jej badawcze i przenikliwe spojrzenie. Odgadywałem, że pragnie mię poznać, zanim coś postanowi o mym losie, i to właśnie mieszało mię do tego stopnia, że nie umiałem trzymać noża i widelca, ręce mi drżały, spuszczałem powieki, czerwieniłem się i nie mogłem śmiało i spokojnie patrzeć jej w oczy.

— Napisałam do niego — odezwała się nareszcie, kiedy skończyłem jeść i otarłem usta.

— Do kogo? — zapytałem ze zdziwieniem.

— Do twego ojczyma.

— Pana Murdstone? — powtórzyłem przerażony. — I dowie się, gdzie jestem?

— Napisałam mu.

— I... i... on mię zabierze?

— Nie wiem — odparła miss Betsy. — Zobaczymy.

— O babciu — zawołałem — a nie wrócę do nich! Ja nie wiem, co zrobię, ale...

— Zobaczymy — spokojnie powtórzyła babka. — Nie znam ich i nic nie wiem. Muszę poznać sprawę gruntownie.

Smutnie spuściłem głowę i westchnąłem. Więc nie wszystko skończone, jak mi się wczoraj zdawało, kto wie, co mię znów czeka.

Siedziałem bez ruchu, myśląc o niepewnem jutrze, lecz miss Betsy zdawała się nie troszczyć o mnie. Zdjęła z gwoździa fartuszek, zasłoniła suknię, pomyła filiżanki i spodeczki, zadzwoniła na Żanetę, aby schowała czyste. Potem włożyła rękawiczki i z największą uwagą zaczęła zmiatać niewidzialny zupełnie kurz ze sprzętów i obcierać przeznaczoną do tego ściereczką każdy pręcik i gracik z niewidzialnego pyłu.

Gdy skończyła to wszystko, zdjęła rękawiczki, powiesiła na właściwem miejscu ściereczkę i fartuch, usiadła na swoim fotelu przy oknie i wysunęła szufladkę stolika, w której miała przygotowaną robotę.

— Może pójdziesz na górę do pana Dicka? — zwróciła się do mnie. — Powiedz, że przysyłam mu "dzień dobry" i pytam o zdrowie. Dowiedz się także, jak tam idą pamiętniki.

Podniosłem się natychmiast, aby spełnić to polecenie, i z ciekawością pobiegłem na górę poznać bliżej staruszka o dziecięcej twarzy.

Siedział przy stole, pochylony nad wielkim arkuszem papieru, i pisał szybko z taką gorliwością, że zanim mię zobaczył, miałem czas nie tylko policzyć wszystkie pióra na stoliku, zauważyć ilość papieru i wielką butlę atramentu, lecz zbliżyć się i dotknąć wspaniałego latawca, który leżał na drugim stoliku pod oknem.

— Ach — zawołał nareszcie, odrzucając pióro i ujmując serdecznie moje ręce. — Dziękuję, bardzo dziękuję — zapewniał, słuchając mojego poselstwa. — Wszystko dobrze, wszystko najlepiej, tylko król Karol I-y...

Umilkł i zrobił tajemniczą minę, jak gdyby wymówił niebezpieczne słowa.

— Cyt! — zaczął znowu. — To jest trudna kwestją i nie mogę dotąd rozwiązać jej jasno. Historja mówi, że on był ścięty, a przecież...

I wymownie wskazał na Swoją głowę, mocno trzymającą się na karku.

Nie wiedziałem, co mam na to odpowiedzieć.

Lecz pan Dick zmrużył oko i uśmiechnął się już do latawca.

— Puścimy go dziś razem — rzekł wesoło. — To jest najlepszy sposób, mój kochany. Zobacz.

Zauważyłem teraz, że latawiec zrobiony był z zapisanego papieru, na którym imię Karola I-go powtarzało się dosyć często.

— To, widzisz, idzie wysoko, daleko — mówił pan Dick, figlarnie mrużąc jedno oko. — Tak rozsyłam po świecie różne wiadomości! Teraz podziękuj miss Trotwood za uprzejmość. Natychmiast zejdę na dół, tylko złożę papiery i będziemy puszczać latawca.

Babka z lekkim uśmiechem i bardzo uważnem spojrzeniem wysłuchała odpowiedzi, którą jej przyniosłem, i spytała, jak mi się pan Dick podoba,

— Bardzo — odpowiedziałem jej szczerze — tylko… ale…

— Karol I? Z czasem i to zrozumiesz. Teraz powiem ci tylko, że źli ludzie nazwali pana Dicka warjatem i zamknęli go w miejscu gorszem, niż więzienie. Lecz znałam go od dziecka i mogę cię zapewnić, że to człowiek niepospolicie rozsądny. Wzięłam go pod opiekę, jest u mnie szczęśliwy, a skromna pensja, jaką mu płaci rodzina, wystarcza najzupełniej na jego potrzeby. Skoro go poznasz bliżej, sam ocenisz zalety tego dobrego człowieka.

Słowa babki natchnęły mię otuchą. Była dobra, jeżeli podjęła się opieki nad panem Dickiem, czyż nie miałaby litości nade mną, skoro pozna pana Murdstone? Tak, to była pociecha, lecz nie pewność. Z niepokojem czekałem na wieść od ojczyma, tem bardziej, iż rozumiałem coraz lepiej, że bez tego miss Betsy na nic się nie zdecyduje. Chodziłem ciągle boso i w tych samych strzępach, w jakich zjawiłem się u niej, tylko wypranych i zreperowanych. Z tego powodu nie mogłem puszczać latawca z panem Dickiem, gdyż w dzień nie wychodziłem wcale z domu i dopiero o zmroku pozwalano mi wyjść do ogrodu.

na koniec nadszedł list. Pan Murdstone zapowiadał w nim osobiste stawienie się u babki dla omówienia tej sprawy.

Miał przybyć nazajutrz i od samego rana oboje z babką byliśmy zdenerwowani. Widziałem głęboką zmarszczkę na jej

czole i przelotne, szybkie spojrzenia, któremi mię obejmowała.

Właśnie po obiedzie wstaliśmy od stołu, kiedy rozległ się zwykły okrzyk alarmowy: — Osły! — a jednocześnie ujrzałem przez okno miss Murdstone, depczącą z zupełnym spokojem "świętą łączkę" przed domem.

— Precz! Precz! — wołała babka, grożąc jej pięścią przez okno. — Co za śmiałość deptać po cudzej własności!

Wybiegła w asyście pana Dicka i Żanety, rozpoczęła się zwykła gonitwa. Miss Betsy udało się pochwycić chłopca i nie pożałowała jego uszu. Zjawił się pan Murdstone. Zdążyłem szepnąć babce o jego godności, lecz tylko pogardliwie potrząsnęła głową i po skończonej walce, mijając przybyłych, weszła do pokoju, usiadła na swoim fotelu i zdawała się nie wiedzieć o niczem, póki Żaneta, stanąwszy na progu, nie oznajmiła o przybyciu gości.

— Czy mam odejść? — zapytałem głosem drżącym,

— Nie — odpowiedziała krótko i stanowczo.

Wskazała mi miejsce w kącie poza sobą i zastawiła krzesłem, że znajdowałem się jakby w fortecy.

Państwo Murdstone weszli do pokoju.

— Nie odgadłam zrazu, kogo mam przyjemność witać w tak niezwykły sposób — przemówiła miss Betsy — lecz z zasady nikomu nie pozwalam deptać mojej własności.

— Miss Trotwood! — powitał ją z ukłonem pan Murdstone.

— Zapewne pan Murdstone? — odkłoniła mu się babka bardzo sztywno — drugi mąż wdowy po Dawidzie Copperfieldzie, która drogo zapłaciła za tę nieostrożność.

Zadzwoniła.

— Żaneto, poproś pana Dicka.

Wskazała gościom krzesła i sama usiadła w fotelu, sztywno i w milczeniu oczekując nadejścia przyjaciela, którego przedstawiła przybyłym.

— Sądzę, iż możemy przystąpić do rzeczy — zaczął surowym głosem pan Murdstone. — Zawiadomiła mię pani listownie o ukazaniu się u niej Dawida Copperfielda, mego pasierba, który uciekł od pracy i z pod opieki przyjaciół.

— Dość spojrzeć w jakim stanie — zauważyła krótko miss Trotwood.

— Uważam za swój obowiązek — ciągnął dalej mój ojczym — objaśnić panią Trotwood, że chłopiec ten od pierwszej chwili był przyczyną wszystkich udręczeń nieboszczki mojej żony. Jest leniwy, uparty i gwałtowny. Na próżno staraliśmy się razem z siostrą wpłynąć na jego poprawę. Jego ostatni wybryk: porzucenie obowiązku i samowolna ucieczka, jest najwymowniejszem świadectwem zepsutego do gruntu charakteru.

— Gorszego chłopca wyobrazić sobie niepodobna — dodała miss Murdstone.

— Istotnie? — wtrąciła babka.

— Niewątpliwie — rzekł pan Murdstone. — Jednakże jestem człowiekiem silnym i stanowczym i nie cofam się nigdy przed spełnieniem obowiązku. Wiem dziś dokładnie, z kim mam do czynienia, lecz potrafię znaleźć na wszystko kaganiec. Jedno tylko pytanie: mam nadzieję, miss Trotwood, że bez pani upoważnienia porzucił uczciwą pracę na kawałek chleba?

— Bez mego upoważnienia. Muszę wszakże zapytać pana, czy do tej samej pracy przeznaczyłbyś własnego syna w wieku Copperfielda?

— Syn mojego brata — pośpieszyła z odpowiedzią miss Murdstone — nie mógłby mieć takiego charakteru. Nic dziwnego, że poszedłby inną drogą.

— A gdyby żyła dotąd jego matka, czy możecie państwo zapewnić, że zgodziłaby się na takie zajęcie dla syna?

— Nie przypuszczam, ażeby Klara w czemkolwiek mogła się sprzeciwić mojej woli — uroczyście wygłosił pan Murdstone.

— Biedna! — rzekła babka. — Jej dochody po śmierci ustały?

— Zupełnie.

— A dom? Czy nie zrobiła żadnego rozporządzenia, aby zabezpieczyć los dziecka?

— Klara miała męża, któremu ufała we wszystkiem.

— Niestety — westchnęła babka — sama była dzieckiem. Co więcej masz mi pan do powiedzenia?

— Tylko to, miss Trotwood: bez względu na drogę przybyłem sam, ażeby zabrać stąd Dawida i postąpić z nim, jak będę uważał za słuszne. Żadnych zobowiązań, żadnych obietnic, żadnego rachunku ze swego postępowania zdawać nikomu nie myślę. Chcę zabrać chłopca. Jeżeli zaś pani, miss Trotwood, popierając jego krnąbrność, zamierzasz stanąć wobec mnie po jego stronie, to uprzedzam, że pozostawię ci go już na zawsze. Jestem człowiekiem stanowczym i daję do wyboru: Dawid pójdzie ze mną natychmiast, albo nie znam go więcej i dom mój dla niego od tej chwili zamknięty. Wyrażam się, jak sądzę, dosyć jasno.

Babka siedziała na fotelu wyprostowana, sztywna, z podniesionem czołem i dziwnym uśmiechem na ustach. Gdy pan Murdstone skończył, milczała przez chwilę, a następnie spokojnym ruchem odwróciła się do mnie.

— No, wybieraj, Dawidzie — przemówiła.

— Oh, nie! Oh, nie! — szeptałem suchemi ustami, zaledwie wydobywając głos z gardła. — Wolę zostać. Nie oddawaj mię, babciu, zlituj się! Oni mnie nie cierpią. Boję się ich. Nie chcę!

— Panie Dick — rzekła babka — wiesz, jak sąd twój cenię: powiedz, co mam zrobić z tem dzieckiem?

Pan Dick spojrzał po wszystkich, zawahał się i zarumienił, nagle oblicze jego rozpromieniało radością.

— Trzeba zawołać krawca, żeby mu wziął miarę na ubranie — przemówił łagodnie z wyrazem przekonania.

— Daj mi rękę, mój przyjacielu — rzekła babka — twój praktyczny rozsądek jest nieoceniony.

— Żegnam państwa — odwróciła się do gości. — Musiałam się przekonać, czy chłopiec prawdę mówi, i teraz wierzę mu zupełnie. Zamordowaliście jego matkę i prawdopodobnie bylibyście radzi schować go także pod ziemię. Możecie być spokojni: nie zastuka on nigdy do drzwi waszych, jeszcze mi sił wystarczy, żeby zrobić z niego człowieka.

Państwo Murdstone śpiesznie opuszczali pokój, kłaniając się z daleka, a tak im było pilno, że potrącili się we drzwiach. Babka nacisnęła dzwonek.

— Otwórz okno, Żaneto, trzeba wywietrzyć mieszkanie — odezwała się do służącej.

Teraz już ośmieliłem się wyjść z kąta i w uniesieniu radości zarzuciłem jej ręce na szyję i całowałem ją ze łzami w oczach. Potem zwróciłem się do pana Dicka, który ściskał mi ręce i wybuchał śmiechem.

— Panie Dicku — rzekła miss Betsy, patrząc na to — uważaj się od dzisiaj za opiekuna Dawida.

Pan Dick zacierał ręce z wielkiego zadowolenia.

— Ciebie zaś, chłopcze, przyjmuję za syna. Będziesz się odtąd nazywał Dawid Trotwood Copperfield.

Tegoż dnia jeszcze kupiono mi całą wyprawę: bieliznę, buty, suknie. Zaczynałem zupełnie nowe życie: wszystko się zmieniło i wszystko było nowe: otoczenie, ubranie i nazwisko. Czułem się tak szczęśliwy i zdziwiony, iż chwilami zdawało mi się, że to sen rozkoszny, z którego się zbudzę.

Nie zbudziłem się jednak i zacząłem z wolna przywykać do wszystkiego. Z panem Dickiem złączyła mię najściślejsza przyjaźń, puszczaliśmy razem latawce i odbywaliśmy dalekie spacery. Babka nazywała mię Trotem i była coraz serdeczniejsza. Pewnego dnia przy śniadaniu zapytała, czy chciałbym chodzić do szkoły.

— O, babciu! — zawołałem. — Tak bardzo pragnąłbym się uczyć.

— Możesz zacząć od jutra, dobra szkoła jest niedaleko, w Canterbury.

— Co za szczęście! — szepnąłem, całując jej ręce.

Wyjechaliśmy o dziesiątej rano we dwoje małym wózkiem. Dowiedziałem się w drodze, że zajedziemy najpierw do pana Wickfielda, który był zarazem prawnikiem, rejentem i od lat wielu doradcą babki w sprawach majątkowych.

Pan Wickfield mieszkał na cichej ulicy, w niewielkim starym domu. Weszliśmy po schodach do dużego jasnego pokoju, w którym wszystko zdawało się być właśnie takie, jak powinno. Doznałem wrażenia, jakbym znał dawno to miejsce, jakbym go dotąd szukał.

Przy kominku siedział mężczyzna o siwych włosach, żywych czarnych oczach i dobrotliwem spojrzeniu, a obok niego stała dziewczynka w moim wieku z dziwnie miłym wyrazem twarzy.

— Przyjechałam dziś z wnukiem — odezwała się babka po pierwszych słowach powitania. — Pisałam panu o nim. Podzieliłam się z nim nazwiskiem, a teraz trzeba go uczyć. Wskaż mi pan dobrą szkołę i mieszkanie dla chłopca.

Szkół w mieście było kilka, i pan Wickfield niezwłocznie udał się na miasto z babką, aby je obejrzała i wybrała. Ania, córka pana Wickfilda, dzwoniąc kluczykami, pobiegła do gospodarstwa, przygotować zapewne coś więcej na obiad z powodu naszego przybycia. Pozostałem sam w domu.

Usiadłem przy biurku, trochę wyglądałem oknem na stare, dziwne domy, lub czytałem tytuły książek, które leżały na biurku i stole. Było mi tu jakoś dobrze i spokojnie.

Na koniec powrócili starsi państwo. Babka była zachwycona szkołą doktora Stronga, ale dla pensjonarza nie było w niej miejsca. Więc pan Wickfield zaproponował, abym zamieszkał u nich. Zapewniał, że to sprawi mu wielką przyjemność, ponieważ Ania będzie miała towarzystwo.

I na tem się skończyło. Z Anią zawarliśmy przyjaźń przy obiedzie. Nie chodziła do szkoły, gdyż w rannych godzinach musiała być w domu i zajmować się gospodarstwem. Dlatego uczyła się sama przy pomocy nauczycielki, która przychodziła co dzień.

Zaraz po obiedzie babka odjechała, uściskawszy mię na pożegnanie i wyrażając mi zupełną ufność co do mojej przyszłej pracy i sprawowania.

Gdy konik ruszył z miejsca, poszliśmy za panem Wickfieldem na górę po starych szerokich schodach o rzeźbionej, pięknej poręczy.

Przy kominku już Ania ustawiła fotel i mały stolik nakryty serwetą, na którym stała "lampka" i butelka wina. Tam wygodnie usiadł pan Wickfield. Ania grała na fortepianie, potem wzięła robótkę, i wszyscy rozmawialiśmy wesoło.

W tym miłym i pięknym domu skończyło się moje dzieciństwo i rozpoczął się okres młodości. Nauka szła mi łatwo, pracowałem chętnie, w święta odwiedzałem babkę i z każdym rokiem lepiej rozumiałem, jak wielkiem szczęściem dla mnie jest jej serdeczna i mądra opieka. Teraz ode mnie tylko zależało stać się z czasem człowiekiem użytecznym i wartościowym.

Część II.
Młodość.

XI. SZKOLNE CZASY W CANTERBURY.

Szczęśliwie i spokojnie płynęło mi życie w cichym domu pana Wickfielda. Wszystko tu się składało na ułatwienie pracy: i cisza, i swoboda, i dobroć pana domu, i rozsądek kochanej Ani. Stała się dla mnie siostrą i nie mieliśmy przed sobą tajemnic, a z każdym rokiem lepiej się przekonywałem, jak dalece można jej ufać, polegać na jej zdaniu.

Nawzajem opowiedzieliśmy sobie dzieje swego dzieciństwa. Nie ukrywałem nawet przed nią "interesu" pana Murdstone i nie wstydziłem się tych chwil bolesnych, wiedziałem, że mię zupełnie rozumie, że przez to właśnie stałem się jej bliższy.

Od niej się dowiedziałem, że nie znała matki, że także ją odwiedza na cmentarzu. Ojciec za to kocha ją bardzo, żyje wyłącznie dla niej, o nią się tylko troszczy i dla niej pracuje, ona odpłaca mu równą miłością.

Miłość ojca i córki wzruszała mię zawsze, ile razy na nich patrzyłem. Myślałem wtedy, jak wielkiem jest szczęściem mieć jedno serce tak sobie oddane. Lecz narzekać nie śmiałem, czułem, że nie mam prawa: a babka? a Peggotty?

Pochłaniała mię także szkoła i koleżeństwo. Pan Wickfield sam nazajutrz po przybyciu mojem do Canterbury zaprowadził mię do zakładu dr. Stronga i przedstawił dyrektorowi.

Doktór Strong był niemłody i bardzo poważny, ale rozumiał potrzeby młodości, z zamiłowania został pedagogiem i umiał być doskonałym wychowawcą. To też kochany i szanowany przez uczniów, miał na nich wpływ najlepszy, i był szczęśliwy, że z jego zakładu wychodzili ludzie rozumni, a z czasem zasłużeni obywatele kraju.

Kiedy stanąłem przed nim po raz pierwszy, mimo woli przyszła mi na myśl karykaturalna postać pana Creakle. I

znowu nasunęło się pytanie, jakim sposobem mógł być dyrektorem szkoły? I czy panuje dotąd w Salem House?

Ha, mniejsza o to. Pan Strong przeniknął mię bystrem spojrzeniem, łagodnie oparł rękę na mojem ramieniu i weszliśmy razem do klasy, pięknej i widnej sali, gdzie panowała względna cisza i pogoda.

Doktór powitał chłopców, przedstawił nowego kolegę i polecił mię prymusowi, jako pierwszemu w szkole.

Egzamin wypadł dla mnie niepomyślnie: wiele rzeczy zapomniałem, innych nie uczyłem się wcale, zostałem zaliczony do początkujących. Nikt jednak nie okazał mi lekceważenia, nauczyciele dawali dobre rady i wskazówki, pokrzepiali otuchą, a wszyscy zapewniali, że przy pracy i dobrej woli mogę szybko iść naprzód.

Pomimo to wracałem dnia pierwszego bardzo upokorzony i zgnębiony. Wszedłem na stare schody, tak dziwnie poczciwe, że zdawały się mnie uspokajać. W ten sam sposób oddziaływało na mnie tutaj wszystko. Po godzinie, spędzonej w swoim pokoiku, wyszedłem na obiad już pełen nadziei i wiary we własne siły.

I znowu po obiedzie poszliśmy na górę, pan Wickfield popijał lampką wino, Ania grała, trochę śpiewała znane i miłe piosenki, potem wszyscy rozmawialiśmy przy kominku, pan Wickfield wypytywał mię o szkołę, a kiedy Urja wezwał go do kancelarji, rozmawialiśmy z Anią.

Urja, jedyna chmura na tym jasnym horyzoncie, jedyna przykra strona pobytu w tym miłym domu. Czy dla wszystkich, czy tylko dla mnie? Chyba dla mnie jednego i nie znam przyczyny. Bo cóż mogę zarzucić temu chłopcu oprócz braku urody?

A to dziwne, bardzo niemiłe uczucie zbudziło się od pierwszej chwili, od pierwszego wejrzenia.

Kiedy wózek babki zatrzymał się pierwszego dnia przed domem, chciałem wyskoczyć prędko, żeby otworzyć bramę, wtem w oknie parterowej kancelarji zobaczyłem jakgdyby trupią głowę. I zanim zrozumiałem, co to znaczy, już ta sama twarz ukazała się przed nami na ulicy. Urja jest wysokim, może

15-letnim chłopcem, bladym i rudowłosym z krótko ostrzyżoną głową, z oczami o czerwonawych połyskach, jak u białego królika, pozbawionemi rzęs i brwi. Zaraz mi przyszło na myśl, czy on może w nocy zamknąć oczy, lecz zapomniałem o tem, uderzony dziwacznością jego ruchów. Otwierając bramę, wyginał się, pochylał, wił w jakiś szczególny sposób, niby w powitalnych ukłonach.

— Urja Heep (Hip) — rzekła babka — czy zastałam pana Wickfielda?

Zginając się prawie do ziemi, zapewniał, że wszyscy są w domu, potem zajął się naszym koniem.

Nie mogłem przyzwyczaić się do tej postaci, choć widywałem go co dzień. Pracował w kancelarji tak gorliwie, że zastawałem go, idąc do szkoły i wracając wieczorem ze spaceru. Nie mogłem powiedzieć sobie, że go stanowczo nie lubię, bo za co? Lecz widok jego był mi zawsze przykry, a dotknięcie wilgotnej, zimnej ręki przejmowało dreszczem odrazy.

O tem nie mówiłem Ani: wstydziłem się tego uczucia.

Lubiłem wieczorami po herbacie wybiegać na puste i ciche ulice, patrzeć na stare domy w słabem oświetleniu olejnych latarni lub skąpane w blasku księżyca, i snuć o nich dziwne powieści. Niekiedy opowiadałem je Ani.

Pewnego dnia, wracając z takiej wieczornej wycieczki, zastałem Urję jeszcze w kancelarji.

— Późno już — powiedziałem. — Tak długo pracujesz?

— To nie biurowa praca — rzekł z uśmiechem, błyskając czerwoną źrenicą. — Uczę się prawa, panie Copperfieldzie, dla siebie.

— Chcesz zostać adwokatem? — zapytałem. — Może będziesz wspólnikiem pana Wickfielda?

— Ja, panie Copperfield? Czyż mógłbym marzyć? Taki nędzny, pokorny chłopiec. Pokorny jestem, panie, uniżony, niskiego pochodzenia robak. Ojciec mój był grabarzem. I matka moja jest bardzo pokorna. Mieszkamy w lichej izdebce i jesteśmy bardzo pokorni i wdzięczni, że pan Wickfield raczył mię przyjąć do pracy.

— Skoro jesteś mu użyteczny — zacząłem tłumaczyć, ale przerwał mi zaraz, mówiąc o swojej pokorze i wdzięczności dla pana Wickfielda.

— Pan Wickfield wielki człowiek! — wykrzykiwał. — Niepospolity, znakomity człowiek! Od czterech lat pracuję przy nim. Uczę się, daje mi nieocenione wskazówki. Jemu zawdzięczam wszystko, ja, pokorny i lichy chłopiec. Panna Ania to anioł, prawda, panie Copperfield ? A pańska babka jakaż to święta kobieta! Pokorny jestem obok takich ludzi.Śpiewał te pochwały, wijąc się i krzywiąc w tak niemożliwy sposób, że spuściłem powieki, żeby nie patrzeć na niego.

— Dobranoc, Urja — rzekłem, podając mu rękę.

— Dobranoc, panie Copperfield. Jestem bardzo szczęśliwy, że poznałem pana i że pan nie pogardza takim pokornym człowiekiem. I moja matka byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby pan raczył kiedy wstąpić do nas. Jesteśmy bardzo nędzni i pokorni ludzie i dlatego właśnie sprawia nam przyjemność, jeśli kto schyli się do nas łaskawie.

— Bardzo chętnie odwiedzę kiedy twoją matkę — odpowiedziałem. — Pracujesz uczciwie, za cóż mieliby ludzie wami gardzić?

Zaczęty się podziękowania i długie zapewnienia o pokorze, a gdy wreszcie zdołałem się uwolnić, postanowiłem sobie być ostrożnym i unikać rozmowy z Urją.

W szkole powodziło mi się coraz lepiej. Dr. Strong oceniał moją pracę, nauczyciele byli zadowoleni, koledzy mię lubili i szybko posuwałem się naprzód.

W święta i dni wolne urządzaliśmy wesołe wycieczki albo zajmujące gry na obszernym placu, otoczonym drzewami i stanowiącym część bardzo ładnego ogrodu, należącego do szkoły.

Naturalnie, że o tem wszystkiem napisałem list ogromny do Peggotty. Napisałem do niej od razu po wizycie państwa Murdstone i decyzji babki, że u niej zostanę. Po raz drugi pisałem, odsyłając jej pożyczone pół gwinei, co sprawiło mi

wielką przyjemność, a teraz zawiadamiałem ją o sprawach szkolnych i miłem otoczeniu, w którem czuję się szczęśliwy.

I Peggotty podzielała moją radość, odczułem jednak z listów, że nie dowierza babce i obawia się nowej zmiany. Starałem się ją uspokoić, lecz w każdym prawie liście powtarzała, że mój pokoik zawsze czeka na mnie i zawsze mogę znaleźć tam schronienie pośród najżyczliwszych przyjaciół.

Doniosła mi także, iż państwo Murdstone opuścili nasz domek i wynieśli się gdzieś daleko. Smutne wrażenie sprawiła na mnie ta wiadomość. Wyobrażałem sobie głuchą pustkę w miejscu, z którem łączyły mię wszystkie wspomnienia. Teraz puste pokoje, czarne, nagie okna, zimny kominek, ogród zarośnięty chwastem, i wiatr zawodzi pomiędzy drzewami pieśni ponure, których nikt nie słucha.

Babka dość często odwiedzała mię z początku, prawdopodobnie chciała przekonać się sama, czy sumiennie pracuję, jaką mam opinję w szkole i co myśli o mnie pan Wickfield, ale później przysyłała zwykle pana Dicka, dla którego te wyprawy były nadzwyczajną przyjemnością. Z czasem zapoznał się z mymi kolegami, przywoził nam niezwykle wspaniałe latawce i brał udział w naszych sportowych zabawach. Chłopcy polubili go szczerze i witali zawsze radosnym okrzykiem, gdy w godzinach, przeznaczonych na zabawę, zastawali go już na placu.

Pewnego dnia Urja w uniżonych słowach przypomniał mi obietnicę odwiedzenia ich kiedy po południu.

— Matka byłaby bardzo dumna i szczęśliwa — mówił — ale wiem, żeśmy zbyt nędzni, i zapewne tylko przez grzeczność raczyłeś pan wspomnieć o tem, nie mając zamiaru dotrzymać słowa.

Nie umiałem sobie zdać sprawy, czy lubię Urję, czy mam wstręt do niego, gdyż budził we mnie chaos sprzecznych uczuć, lecz uczułem się dotknięty podejrzeniem, iż nie mam zamiaru dotrzymać danej obietnicy. Oświadczyłem mu więc poważnie, iż czekam na zaproszenie przez niego, obawiając się przyjść nie w porę.

— O, panie Copperfield! — zawołał Urja. — Taki gość! Choćby dzisiaj. Matka będzie taka szczęśliwa. Jesteśmy pokorni ludzie i umiemy ocenić tę łaskę.

— W takim razie, ponieważ o 6 godzinie kończy się zajęcie w biurze, możemy iść razem, jeśli pan Wickfield pozwoli — odpowiedziałem, nie wątpiąc zupełnie, że otrzymam to pozwolenie.

Chciałem dotrzymać słowa, lecz bez przyjemności szedłem na tę wizytę, gdzie wiedziałem, jakiej piosnki słuchać będę. Wieczna pokora Urji męczyła mię nieraz.

— Zawsze uczysz się wieczorami? — zapytałem w drodze.

— O tak, pracuję, ile tylko mogę, ale jestem nędznym człowiekiem i nauka z trudnością mi przychodzi, a szczególniej łacina.

— Mógłbym ci pomóc w tem, Urja. Byłoby mi bardzo przyjemnie oddać ci tę przysługę.

— O, nie! O, nie! — powtarzał, kręcąc się i wykrzywiając. — Jestem pokornie wdzięczny, ale to za wiele. Niegodzien jestem, marny robak, pańskiej pracy. Nie, panie Copperfield, to nie dla mnie.

W małym domku i małym pokoiku zastaliśmy staruszkę, panią Heep niezmiernie podobną do syna, tylko drobniejszą i mniejszą. Powitała mię tak samo pokornie, przepraszała, że wita syna pocałunkiem, gdyż mimo wszystko, kocha go przecież jak matka.

Zakrzątnęła się zaraz około herbaty, zapewniając, że do śmierci nie zapomni tej szczęśliwej godziny, w której raczyłem ją odwiedzić.

Trochę mię krępowały te ciągłe słodycze, lecz zarazem pochlebiały dziecinnej próżności, i pani Heep wydała mi się bardzo miłą staruszką.

Zasiedliśmy przy stole, jedząc i rozmawiając. Pani Heep opowiadała o swej babce, i ja opowiedziałem im o swojej. Urja mówił o przeszłości, ojcu, matce, i ja opowiedziałem im o sobie. Pani Heep rozpoczęła mówić o ojczymach, ja zacząłem o swoim,

lecz umilkłem wkrótce, gdyż przypomniałem sobie, że babka radziła jak najmniej wspominać o nim.

Miss Heep i Urja byli nadzwyczaj dyskretni, pełni dla mnie wdzięczności i pokory, lecz prędzej ząb spróchniały oparłby się szczypcom dentysty, niż ja ich delikatnej dyplomacji. Wyciągnęli ze mnie wszystko, czego nie chciałem powiedzieć, i tylko czas, spędzony w "interesie" pana Murdstone, i moja ucieczka do babki pozostały tymczasem dla nich tajemnicą.

Wyczerpawszy wieści o mojej osobie, zwrócili rozmowę na szlachetność pana Wickfielda, dobroć i rozum Ani. Bardzo, bardzo pokornie Urja zwrócił uwagę, że dla zdrowia pana Wickfielda byłoby lepiej, gdyby nie używał po obiedzie wina, zwłaszcza że potem musi przyjmować interesantów.

Niedokładnie zrozumiałem jego pokorne słowa, lecz zacząłem odczuwać, że siedzę za długo i mówiłem za wiele. Z pewnym rodzajem wstydu i niezadowolenia pomyślałem o skończeniu tych odwiedzin i podniosłem się z miejsca. Pani Heep i Urja dziękowali mi znowu pokornie jeszcze na progu domu. Staliśmy z Urją we drzwiach od ulicy, on kończył swoje słodkie zapewnienia, a ja ujrzałem nagle twarz znajomą i tak byłem zdumiony, że mi zabrakło głosu. Lecz przechodzący ulicą mężczyzna zatrzymał się również, mierząc mię oczyma.

— Copperfield! Czy podobna? — wykrzyknął nagle patetycznie i szeroko otworzył mi ramiona.

— Pan Micawber! — szepnąłem, wciąż jeszcze zdumiony widokiem londyńskiego przyjaciela, któremu w smutnych czasach zawdzięczałem wiele, ale właśnie ze względu na te czasy wolałbym go był nie spotkać przy Urji. Chciałem pożegnać Heepów i oddalić się z nim jak najprędzej, lecz na to nie pozwalała grzeczność Micawbera, który uznał za rzecz niezbędną przedstawić się memu "przyjacielowi" i jego "czcigodnej" matce. Zawiązała się znowu rozmowa ogólna i z trudnością udało mi się wymknąć wreszcie, obiecując odwiedzić państwa Micawber w hotelu.

Pobiegłem do nich nazajutrz i, bardzo serdecznie przyjęty, wysłuchałem długiej historji ich losu. Pan Micawber nie mógł

dotąd znaleźć pracy, odpowiedniej jego zdolnościom, rodzina nie oceniała wielkich cnót tego człowieka i jej pomoc nie była nigdy wystarczająca. Mieszkali znów w Londynie, a do Canterbury sprowadziła ich tylko chwilowa nadzieja znalezienia tutaj zajęcia.

Całem sercem dzieliłem troski tych dobrych ludzi i oświadczyłem, że, gdybym miał pieniądze, czułbym się najszczęśliwszy, mogąc im dopomóc pod tym względem, jednakże...

P. Micawber wziął mię w objęcia, dziękując za wyrażone dobre chęci, uspokoił mię jednak zapewnieniem, że Opatrzność kieruje ludzkiemi drogami i nie opuszcza nigdy swoich dzieci. I teraz niespodzianie znalazł chwilową pomoc, o której jednak nie ma prawa mówić. Natomiast prosił bardzo, ażebym został u nich na obiedzie.

Wymawiałem się długo, przeczuwając, że "łaską Opatrzności" była zdobyta przypadkiem pożyczka, której nie chciałem uszczuplać swoim apetytem, lecz niepodobna było zasmucać ich odmową. Odłożyłem tylko do dnia następnego przyjemność tej wspólnej biesiady, gdyż dziś oczekiwano mnie w domu.

Obiad państwa Micawber był wykwintny, a przyjęcie bardzo serdeczne. Piliśmy dobrem winem zdrowie pani Micawber, "najwierniejszej i najdzielniejszej małżonki", zdrowie dzieci, za powodzenie i pomyślność, zdrowie prawdziwych przyjaciół i wszystkich szlachetnych ludzi i t. d. Pan Micawber przyrządził wazę doskonałego ponczu, zapanowała ogromna wesołość, śpiewaliśmy i usłyszałem ze zdziwieniem, że wczorajszy wieczór państwo Micawber spędzili u Heepów i że pan Micawber wdzięczny jest Stwórcy za poznanie tak niepospolitego człowieka.

Pożegnaliśmy się z wielką serdecznością, a w parę godzin potem, właśnie w chwili odejścia dyliżansu, otrzymałem list następujący:

Drogi i nieoceniony młody przyjacielu!

Stało się. Takie wyroki! Już po wszystkiem! Widziałeś mię wesołym, lecz masz prawo, abym otworzył ci serce. Wszelkie

nadzieje ratunku zawiodły. Drobne ziarnko łaskawej Opatrzności nie ocali zgłodniałej rzeszy. Podpisałem zobowiązanie uregulowania rachunku w hotelu za dwa tygodnie, lecz cudem byłoby, gdybym mógł to spełnić. Cóż mi więc pozostaje? Zimny grób i wieczność…

Niech los mój, ukochany przyjacielu, będzie dla Ciebie wymownym przykładem. Dlatego piszę te słowa. Dni moje policzone.

Odtrącony od społeczeństwa
nędzarz
W. Micawber.

Szczęśliwe szkolne czasy, jakże prędko mijacie w życiu i jak głębokie pozostawiacie wspomnienie! Upływały miesiące, upływały lata. Postępowałem naprzód. Starsi uczniowie opuszczali szkołę i zająłem miejsce prymusa. Doktór Strong ufał mi pod każdym względem, uważał za jednego z najzdolniejszych uczniów i poważnie rozmawiał ze mną o przyszłości. Babka była szczęśliwa i kochała mię, nie ukrywając swych uczuć. W domu pana Wickfielda czułem się swobodny, dobra, kochana Ania była moją przyjaciółką, prawie siostrą, powiernicą uczuć, marzeń i nadziei.

Zwierzałem się jej nawet ze swych uczniowskich miłości i nie wyśmiała mię nigdy.

Po raz pierwszy zakochałem się w miss Shepherd. Widywałem ją w kościele. Była nauczycielką dwóch małych dziewczynek, sama maleńka, drobna, o różowej twarzy, złotych lokach i oczach jak polne bławatki. Patrzyłem na nią podczas nabożeństwa i nie mogłem oderwać wzroku. W czasie śpiewu słyszałem tylko głos miss Shepherd. Czasem mimowolnie modliłem się do niej, a czasem umieszczałem to najdroższe imię w modlitwie za rodzinę królewską.

Długi czas nie wiedziałem o jej uczuciach, ale szczęśliwym trafem spotkaliśmy się na lekcjach tańca. Mogłem dotknąć jej

rękawiczki, jej cudne złote włosy muskały mię w walcu po twarzy.

Pewnego razu ośmieliłem się jej ofiarować dwanaście brazylijskich orzechów. Zdawały mi się godnym symbolem mej miłości. Niepozorne, ukryte wewnątrz twardej skorupy, i we drzwiach nawet zgnieść niełatwo, a wewnątrz pełne treści. Przynosiłem jej także pomarańcze i wyborne świeże biskwity, i nigdy nie umiałbym opisać rozkoszy, jaką mi sprawiał widok jej maleńkich ustek, kiedy kładła w nie moje ciastko lub cząstkę mojej pomarańczy.

Okazała się jednak niewdzięczną: zauważyłem wkrótce, że unikała spotkania ze mną, odrzucała najsmaczniejsze upominki i wyraźnie okazywała pierwszeństwo starszemu młodzieńcowi, w którym mimo najlepszych chęci, nie widziałem żadnej zalety.

Przecierpiałem to głęboko i boleśnie, uleczyło mię jednak przekonanie, że była lekkomyślna i niegodna tak szczerej miłości. Pogardziłem nią ostatecznie, gdy spotkawszy mię na ulicy z wyrazem uczucia bólu na twarzy, roześmiała się wesoło i zaczęła coś opowiadać towarzyszkom. Być bardzo może, iż śmiała się ze mnie.

Odtąd na kilka miesięcy prawie znienawidziłem dziewczęta, oprócz Ani jedynie. Byłem dla nich niegrzeczny przy każdej sposobności. Lekcje tańca obrzydły mi zupełnie i nie mogłem zrozumieć, dlaczego "panienki" nie tańczą same z sobą, skoro tak lubią tę zabawę.

Zaniedbałem się w stroju, lecz pisałem wypracowania, które zwracały na mnie uwagę profesorów. Pan Strong wydawał mi chlubne świadectwa, a babka nie ukrywała swej radości.

Zajmowały mię także sporty. Sława pewnego atlety-rzeźnika, który stał się postrachem młodzieży w Canterbury, pozbawiała mię snu i spokoju. Opowiadano o nim coraz dziwniejsze historję, siła jego była nadludzka, przypisywano mu czary i tajemnicze środki, które czyniły go niepokonanym.

Widziałem go z daleka. Był krępy, z dużą głową, grubą szyją, miał twarz czerwoną, oczy małe i błyszczące, szerokie ramiona i muskularne nogi. Przechwalał się swą siłą i mówił publicznie,

iż każdego z wychowańców szkoły doktora Stronga pokona jedną ręką.

Postanowiłem ukarać go za to zuchwalstwo.

Spotkanie nastąpiło w oznaczonem miejscu i czasie, pod cieniem drzew w alei, w piękny wieczór letni. Przyszedłem w towarzystwie delegatów szkoły, mój przeciwnik miał z sobą dwóch rzeźników, oberżystę i kominiarza.

Stanęliśmy naprzeciw siebie oko w oko. Nagle rzeźnik uderzył i w oczach mi błysnęło tysiąc świeczek. W sekundę nie wiedziałem już, gdzie jestem, gdzie drzewa, gdzie mój przeciwnik, z trudnością i niepewnie odróżniałem siebie od niego, tarzaliśmy się obaj po zielonej trawie, chwilami spostrzegałem jego twarz skrwawioną, to znów przede mną była czarna ziemia, — pamiętam jednej chwili, gdy rzuciłem się na niego, uderzając w twarz i głowę z równym skutkiem, jakbym uderzał o kamień.

Na koniec ocknąłem się jak gdyby ze snu. Leżałem na trawie, czułem się bezwładny, głowa tylko bolała mocno. Rzeźnik odchodził właśnie ze swoimi towarzyszami, mówiąc coś do nich głośno i swobodnie. Wywnioskowałem z tego, że został zwycięzcą.

W smutnym stanie sprowadzono mię do domu. Przez kilka dni na oczach kładziono mi surowe mięso, nacierano mię octem i wódką, na górnej wardze miałem biały plaster o bardzo niemiłym zapachu. Potem ujrzałem w lustrze, że mam twarz ciemno-krwistą i zielono-siną, mocno obrzękłą, bez żadnego śladu wyrazu bohaterstwa.

Nie chodziłem do szkoły cały tydzień i czułbym się pewno bardzo nieszczęśliwy, gdyby nie dobroć i opieka Ani. Jak prawdziwa siostra czuwała nade mną, opowiadała zabawne przygody, czytała głośno, rozmawiała tak serdecznie i zajmująco, że czas płynął niepostrzeżenie.

Chwila skończenia szkoły zbliżała się szybko. Byłem młodzieńcem. Dzieciństwo już minęło bezpowrotnie. Ubierałem się jak mężczyzna, nosiłem złoty łańcuszek i pierścionek na małym palcu, zużywałem ogromne ilości pomady.

W tym okresie zakochałem się gwałtownie w najstarszej pannie Larkins.

I to była osoba dorosła, ale wysoka, o bladej cerze, pysznych czarnych włosach i wspaniałej figurze. Jej młodsze siostry też nie były już młodziutkiemi panienkami, ale cóż to mię mogło obchodzić!

Kochałem ją szalenie, bez pamięci. Cierpiałem męki niewypowiedziane, widząc, iż nade wszystko lubi towarzystwo wojskowych i najchętniej przechadza się z oficerami, rozmawiając wesoło i śmiejąc się głośno.

Spotkać ją na ulicy było dla mnie męką i szczęściem.

Wszystkie wolne godziny traciłem na przechadzki, w nadziei, że zobaczę jej jasny kapelusz (miała ich wiele, a znałem je wszystkie!) i jeżeli raczyła na mój niski ukłon odpowiedzieć uśmiechem, byłem w siódmem niebie.

Pod wpływem tej miłości straciłem apetyt i nosiłem na co dzień najdroższe krawaty. Bezustannie czyściłem swoje suknie i buty w przekonaniu, że tym sposobem jestem godniejszy jej względów.

Wieczorem wychodziłem zwykle na przechadzkę i krążyłem dokoła domu państwa Larkins, co czasem pozwalało mi spotkać jej ojca i zamienić z nim kilka uprzejmych wyrazów. Niekiedy w jasno oświetlonych oknach widziałem żywo kręcące się pary, a wtedy zazdrość szarpała mi serce.

Lecz gdy pogasły światła i wszyscy zasnęli, mogłem marzyć, iż pożar wybucha w ich domu, a moja odwaga ocala jej życie, wynoszę ją z płomieni, jestem bohaterem.

Nie wiem, dlaczego wtedy przypominało mi się, że mam lat siedemnaście, co w moich własnych oczach było zbyt wczesną młodością. Wprawdzie mogłem mieć pewność, że za trzy — cztery lata będę dwudziestoletnim, dojrzałym młodzieńcem, ale tymczasem…

Bal u państwa Larkins miał stanowić epokę w mojem życiu. Dostałem zaproszenie!

Ileż rojeń i słodkich marzeń. Wyobrażałem sobie, że w szczęśliwej chwili z męską odwagą wyznaję jej miłość. A ona ze

wzruszeniem chyli ku mnie głowę i odpowiada szeptem:

— Mogęż temu wierzyć?...

Potem pan Larkins bierze mię w objęcia:

— Błogosławię wam, dzieci!

Potem przyjeżdża babka. Widzę się w ślubnym stroju obok mej wybranej.

Błogi dzień nadszedł wreszcie. Okna oświetlone, w sali światła i barwne stroje. Ona w błękitach cała, czarująca! Czułem trochę osamotnienia, gdyż po raz pierwszy w życiu byłem sam jeden pośród ludzi znacznie starszych. Nie znałem tu nikogo i nikogo nie obchodziłem. Pan Larkins nietaktownie zaczął rozmawiać ze mną o moich kolegach. Odpowiadałem sucho, chociaż to jej ojciec, lecz nie przyszedłem po to, aby mię ktoś obrażał.

Stanąłem we drzwiach i z pewną goryczą patrzyłem na dość liczny zastęp oficerów, gdy — o nieba! — ona, to bóstwo błękitne, zbliża się ku mnie, pyta, czy już tańczę.

— Jeżeli wolno z panią, miss Larkins! — odpowiadam, składając jej ukłon głęboki.

— Z nikim więcej?

— Z kim innym nie sprawiłoby mi przyjemności. Zaśmiała się, spojrzała mi w oczy tak dziwnie, lekko zarumieniona.

— Następnego walca — i zniknęła w tłumie. Stanąłem przed nią, gdy zabrzmiał oczekiwany walc.

— A może pan nie tańczy? — zapytała. — W takim razie kapitan Bailey.

— Ależ tańczę! — schyliłem głowę.

Uniosłem ją w objęciu od kapitana Bailey, dziwnie niesympatycznego mężczyzny, który spojrzał na mnie z ukrywaną złością. Ale cóż mię to mogło obchodzić? Tańczyłem z nią. Jak długo, nie umiem powiedzieć. Wzlatywałem w obłoki z niebieskim aniołem, olśniony, upojony, nieprzytomny.

Ocknąłem się dopiero w sąsiednim pokoju. Siedzieliśmy oboje na niskiej kozetce. Ona się uśmiechała, podziwiając piękność bladej kamelji w mojej butonierce.

Wyjąłem kwiat i podałem jej.

— Śmiem jednakże nawzajem prosić o pamiątkę: jeden maleńki kwiatek z pani włosów, który czcić będę, jak nędzarz czci złoto.

— Jesteś pan śmiały — rzekła. — Ale proszę. Podała mi kwiatek, który przycisnąłem do ust i ukryłem na piersi.

Zaśmiała się i wsunęła mi rękę pod ramię.

— Odprowadź mię, pan, proszę, do kapitana Bailey.

Spełniłem, czego żądała, z powagą i wróciłem natychmiast na naszą kozetkę marzyć o tem, co zaszło między nami.

Wtem stanęła przede mną uśmiechnięta, prowadzona przez niemłodego już mężczyznę, który dotąd grał w winta.

— O, jest tutaj śmiały młodzian — powiedziała. — Pan Chestle pragnął pana poznać.

Z przyjemnością, serdecznie uścisnąłem dłonie tego przyjaciela domu, który się mną widocznie zainteresował.

— Miło mi poznać pana — zapewniał pan Chestle. — Podziwiam pański gust, młody człowieku. Jestem kupcem i w moim sklepie znajdziesz pan wytworny towar. Polecam się łaskawym względom, gdy zabłąkasz się w mojej dzielnicy.

Gorąco potrząsnąłem kilkakrotnie rękę tego szlachetnego człowieka, czułem się szczęśliwy jak we śnie. Jeszcze raz walcowałem z panną Larkins, która mię nazwała wybornym tancerzem, i wróciłem do domu w stanie upojenia, bujając gdzieś w obłokach i nie widząc ziemi.

Upłynęło dni kilka. Biegałem po ulicach i koło ich domu, lecz nie mogłem jej nigdzie spotkać. Zwiędły kwiatek nie koił już mojej tęsknoty.

— Wiesz, czyj ślub jutro? — zapytała Ania któregoś dnia podczas obiadu.

— Nie twój przecie? — odparłem. Roześmiała się serdecznie.

— No, i nie twój, Dewi, lecz starszej panny Larkins.

— Z kapitanem Bailey — wyjąkałem, czując dziwne odrętwienie.

— Nie, z panem Chestle, kupcem. Bardzo bogaty człowiek.

Zadzwoniło mi w uszach, zaszumiało w głowie, nie miałem siły poruszyć się z miejsca. Przez parę tygodni chodziłem jak

błędny. Z pogardą odrzuciłem pierścionek, pomadę, kładłem najgorsze suknie i krawaty, kwiatek miss Larkins wyrzuciłem oknem.

Czułem się zmęczony tem bezbarwnem życiem, pragnąłem silnych wrażeń. Rzeźnik-atleta wyzwał mię powtórnie, pośpieszyłem z rozkoszą w bój może nierówny i pokonałem go z chlubą i chwałą.

XII. PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ.

— Trot — powiedziała babka, kiedy wszyscy troje siedzieliśmy w Duwrze w willi przy stole po herbacie — od pół roku skończyłeś szkołę i namyślasz się nad wyborem powołania. Jest to sprawa tak ważna, iż nie wymagam od ciebie pośpiechu, ale przyszło mi na myśl, że byłoby dobrze, abyś się tymczasem rozejrzał po świecie. Byłeś dotąd uczniem, spojrzyj teraz na życie jako człowiek. Chcę ci zaproponować wycieczkę do Suffolk. Odwiedź swoje gniazdo, swoją starą niańkę, dobrych, życzliwych ludzi, zajmie ci to, przypuśćmy, miesiąc czasu. Zobaczymy, co przywieziesz z tej podróży.

Z wdzięcznością ucałowałem ręce babki, uszczęśliwiony nadzieją ujrzenia miejsc i ludzi, tak drogich sercu.

Mimo różnicy wieku mieliśmy z miss Betsy jeden wspólny rys charakteru: co masz zrobić, zrób dziś, natychmiast. Nie lubiliśmy zwłoki w wykonaniu tego, co było postanowione. To też nazajutrz byłem gotów do podróży i jeszcze przed południem stanąłem w Canterbury, w mieszkaniu pana Wickfielda.

Powitano mię tutaj ze szczerą radością, Ania utrzymywała, że od mojego wyjazdu dom zmienił się do niepoznania.

— I dla mnie zmieniło się wiele, odkąd nie jesteś ze mną — powiedziałem. — Kto cię raz poznał, Aniu, temu ciebie nikt nie zastąpi. Zupełnie szczerze mówię, że jesteś niepodobna do nikogo. Jesteś uosobieniem dobroci i rozsądku. Ty masz zawsze słuszność. Ty jesteś dla każdego słońcem i pogodą.

— Wszyscy mię psujecie — odpowiedziała Ania — bo mię prawdziwie kochacie, ale ty mówisz w tej chwili, jak gdybym była starszą panną Larkins.

Zaczerwieniłem się na to wspomnienie, na Anię jednak gniewać się nie można: rozbroi jednem spojrzeniem,

uśmiechem.

— Nadużyłaś w tej chwili mego zaufania — rzekłem do niej z wyrzutem — mimo to bądź pewna, że jeśli zakocham się znowu, będziesz, jak zawsze, moją powiernicą.Żartowaliśmy jeszcze, lecz zauważyłem, że Ania posmutniała, spoważniała i, zmieniając przedmiot rozmowy, zaczęła po chwili jakby z pewnym lękiem.

— Chciałam cię o coś spytać, bo nieprędko może zobaczę cię znowu… Czy nie spostrzegłeś w ojcu jakiej zmiany?

Spostrzegłem ją od dawna, choć nie śmiałem mówić. Spojrzałem na Anię, spuściła powieki, łzy drżały jej na rzęsach.

— Powiedz szczerze — prosiła. — Jestem niespokojna i… nie mogę zrozumieć.

— Pozwalasz mi mówić zupełnie otwarcie?

— Nie może być inaczej.

— Mojem zdaniem, ojciec bardzo sobie szkodzi, używając codziennie wina po obiedzie. — Dawniej mu to nie szkodziło, ale teraz bywa zdenerwowany i… i… zdaje mi się…

— Nic ci się nie zdaje — rzekła smutnie Ania. — Ręce mu drzą, myśli i słowa się plączą, a kiedy jest najgorzej, wchodzi Urja i zabiera go prawie gwałtem do jakiegoś interesanta.

— To samo byłbym ci nieraz powiedział. Ojciec nie powinien widywać się z ludźmi, kiedy… nie jest usposobiony do tego. Zresztą sam to odczuwa. Widziałem go kiedyś wieczorem tam w biurze. Oparł głowę na stole i płakał jak dziecko.

— Jak temu zaradzić? — powtarzała Ania. — Co mam zrobić? Gdyby nie Urja…

Umilkła nagle i rozjaśniła twarz siłą woli i z uśmiechem podbiegła do wchodzącego ojca. Serdecznie zarzuciła mu ręce na szyję i oparła głowę na piersi. Pan Wickfield objął swoją jedynaczkę, a w jego smutnych oczach łatwo było czytać, jaką miłością kochał ten swój skarb najdroższy.

Wieczorem przyszedł doktór Strong, gawędziliśmy o szkole, o przyszłości. Ania grała i śpiewała, pan Wickfield zapomniał o troskach, nie spostrzegliśmy, kiedy uderzyła północ.

Nazajutrz przed wieczorem stanąłem w Londynie i natychmiast poszedłem do teatru, gdzie grano "Juljusza Cezara". Byłem zachwycony, upojony, szczęśliwy.

Wróciłem dosyć późno do hotelu i kazałem podać herbatę. Usiadłem przy stoliku i nagle ujrzałem naprzeciw siebie przy sąsiednim stole twarz znaną… kochaną..,

— Steerforth! — zawołałem, drżąc prawie ze wzruszenia. Spojrzał obojętnie, widoczne było, że mię nie poznaje.

— Nie przypominasz sobie? — zapytałem.

— Ah! Copperfield! — zawołał i tak dobrze znany mi uśmiech rozjaśnił piękną twarz.

Chwyciłem go za ręce, zarzuciłem mu ręce na szyję i rozpłakałem się.

— Taki jestem szczęśliwy, że cię znów spotkałem! Tak się cieszę…

— Więc nie zginąłeś, mały? — rzekł Steerforth, uważnie przypatrując się mojej osobie. — I ja się bardzo cieszę. Prawdziwie przyjemne spotkanie. Skąd się tu wziąłeś? Co robisz?

— Powróciłem właśnie z teatru. Co za genjusz ten Szekspir! A jak grają! Takie wrażenia wstrząsają do głębi!

Steerforth zaśmiał się krótko, potem ziewnął.

— Miły Pierwiosnku! — rzekł, uderzając mnie życzliwie po ramieniu. — Jesteś jeszcze jak wiosna, więc cię uszczęśliwia wszystko. Świat dla ciebie to puchar rozkoszy nietknięty,

— A dla ciebie? — spytałem zadziwiony. Machnął ręką.

— Widzisz, Fiołku — rzekł — to wyczerpuje się prędko, a potem… coraz trudniej o coś nowego. Gdzie stoisz?

— W tym hotelu.

Steerforth zadzwonił, kazał przynieść moje rzeczy do numeru obok swojego, i jak tam, w Salem House, przegadaliśmy całą noc do świtu.

Bo tyle rzeczy miałem do opowiedzenia, tyle rzeczy! Chociaż nie wszystko, nie wszystko. On niewiele opowiadał mi o sobie.

Uczęszczał niby do Oxfordu, ale bogaty panicz nie miał zamiłowania do nauki, bawił się nią chwilami, a właściwie

szukał coraz nowej zabawy. Świat był otworzony dla niego. Rozrywki, przyjemności — to cel życia. Reszta dla tych, co pracować muszą.

— A sława — zapytałem, zaskoczony jego poglądem, którego nie rozumiałem w zupełności, ale który budził we mnie lęk i smutek.

— O romantyczny Pierwiosnku! — zawołał. — Niechaj służy tym wszystkim, którzy jej pożądają, a nie mają może nic więcej. Co do mnie, nie wiedziałbym, co począć z tym naddatkiem.

Oświadczył mi, że jutro zabierze mię z sobą do matki, która ma rezydencję w pobliżu Londynu, a potem zobaczymy. Miałem ochotę namówić go, aby jechał ze mną, ale pozostawiłem to na później i udałem się z nim nazajutrz do siedziby jego matki pod Londynem.

Pani Steerforth przyjęła mię bardzo serdecznie, wdzięczna za przywiązanie, jakie okazywałem jej synowi. Podziwiałem wspaniały pałac, staroświeckie komnaty i sprzęty, nade wszystko jednakże pokoje Steerfortha piękne, zaciszne, wytworne w najmniejszym drobiazgu, po prostu rozpieszczające.

Życie płynęło tutaj cicho, monotonnie, mnie zajmowały długie opowiadania jego matki o dziecięcych latach ukochanego syna, ale on ziewał i wolał grać w karty z panną Różą, kuzynką i towarzyszką pani Steerforth. Dowiedziałem się wtedy, jakim sposobem Steerforth znalazł się w szkole pana Creakle. Właśnie chodziło o to, żeby się z nim liczono, żeby nie czuł nad sobą żadnego przymusu, żeby jedynym bodźcem jego postępowania była swobodna wola i poczucie niezależności.

Tymczasem mimo wycieczek konnych, fechtunku, boksowania, Steerforth ziewał coraz głośniej, a pod koniec tygodnia i ja z niecierpliwością oczekiwałem wyjazdu, spragniony zobaczenia Peggotty i starych przyjaciół.

Steerforth pojechał ze mną. Był ciekaw wrażeń i rozmaitości, dla mnie zaś jego obecność zdawała się spełnieniem wszystkich marzeń.

Nie potrafię opisać uczuć, jakich doznawałem, idąc przez ulice, które znałem dzieckiem. Każdy dom, kamień zdawał mi się przyjacielem, uśmiechałem się do przechodniów, rozpoznając niektóre twarze, gotów byłem ściskać każdego za ręce.

Peggotty zastałem w kuchni, gotowała obiad. Otworzyła mi, gdy zapukałem, i zapytała, czego potrzebuję. Milczałem i patrzyłem na nią uśmiechnięty, lecz ona nie odpowiadała uśmiechem. Pisywałem do niej dość często, ale przez siedem lat mię nie widziała.

— Czy pan Barkis jest w domu? — zapytałem wreszcie.

— W domu, ale w łóżku, ciężko chory na reumatyzm.

— Jeździ jeszcze do Blunderstone?

— Jeździ czasem, kiedy jest zdrowy.

— A pani?

Spojrzała na mnie bystro i poruszyła rękami, jakby je chciała złożyć.

— Bo chciałem się zapytać, czy… czy…

Cofnęła się nagle, objęła mię wzrokiem, ręce jej się podniosły.

— Peggotty! — krzyknąłem.

— Mój chłopiec! — wyszlochała, rzucając mi się na piersi.

Objąłem ją z całej siły i płakaliśmy razem.

Trudno opowiedzieć, co wyprawiała dalej. Śmiała się i płakała, podawała mi jakieś przysmaczki, biegała po kuchni jak pozbawiona rozumu, a jej rumiana twarz jaśniała szczęściem.

— Barkis się ucieszy! O Barkis się ucieszy! — powtarzała, ocierając oczy fartuchem. — Zaraz idę do niego, żeby mu powiedzieć.

Ale nie mogła jakoś wyjść z kuchenki. Biegła do drzwi i zawracała, spoglądała znów na mnie i wybuchała śmiechem albo płaczem.

Wreszcie poszliśmy razem.

Barkis rzeczywiście był bardzo serdeczny. Nie mógł mi podać ręki, ale prosił, żebym uścisnął mocno róg poduszki pod jego głową, co też z całym zapałem uczyniłem.

Usiadłem przy jego łóżku i rozmawialiśmy o starych dobrych czasach, kiedy mógł jeździć codziennie z Yarmouth do Blunderstone, żartując sobie z reumatyzmu.

— Dobre to były czasy — powtarzał, stękając. — Znalazłem wtedy Klarę. Pan pamięta? Coby to było teraz, gdybym się nie był ożenił? Zacna kobieta i obowiązkowa. A zrób tam, Klaro, dzisiaj smaczny obiad. Pan zje z nami, prawda, panie Copperfield?

Naturalnie, że zostałem na obiedzie, i Peggotty podała wszystko, co lubiłem. Pod koniec przyszedł Steerforth. Jego dar zjednywania sobie ludzi nie zawiódł i tym razem, Peggotty i pan Barkis byli nim zachwyceni, musiał napić się z nami piwa, a przed wieczorem we dwóch udaliśmy się do wuja Dana.

Nie chcąc jednak zrobić Peggotty przykrości, przyrzekłem, że przez cały czas pobytu będę nocował u nich.Ściemniło się zupełnie, zanim doszliśmy do statku, który stanowił mieszkanie rybaka. Stanęliśmy przed drzwiami, nasłuchując chwilę, potem otworzyłem je nagle i objąłem izbę spojrzeniem.

Siedzieli przy wieczerzy. Wuj Dan tyłem do nas. Cham i Emilka bokiem, trzymając się za ręce, pani Gummidge coś mówiła. Wszystkie twarze zwróciły się ku nam spokojnie, wtem Cham zawołał głośno:

— Pan Dewi!

Zrobiło się radosne zamieszanie, wszyscy powstali z miejsca, ściskali nas za ręce, zasypali pytaniami, wyrażali zadowolenie nieudane.

Emilka tylko stała na boku nieśmiało, uśmiechnięta, zarumieniona i prześliczna. Nie mogłem wyjść z podziwu, że tak ładnie wyrosła, i niechcący wyraziłem głośno to uczucie.

— Są zaręczeni z Chamem — rzekł wuj Dan wesoło. — Ładna z nich będzie para.

Spojrzałem na Chama i musiałem przyznać mu słuszność. Chłopiec stanowił typ bardzo dorodny, imponujący siłą muskularnych ramion i ujmujący szczerością spojrzenia.

Pani Gummidge wyrażała znów swój podziw z powodu zmian, jakie znajdowała we mnie. Wuj Dan przypominał, swoje

odwiedziny w Salem House i znajomość ze Steerforthem. Ten wypytywał o życie rybackie i przygody na morzu. Usłyszawszy, że Steerforth ma swój własny statek, wuj Dan był ciekaw szczegółów budowy, wielkości, urządzenia. Niewyczerpany przedmiot do rozmowy.

Cham miał zajęcie w porcie jako cieśla, co bardzo cieszyło Emilkę, która zawsze bała się morza.

Była już prawie północ, kiedy wyszliśmy z izdebki, ja z sercem, rozgrzanem przyjaźnią tych ludzi, Steerforth — żartując z mojego zapału. I nie dziw: prócz fantazji i chwili dobrego humoru — nic więcej nie łączyło go przecież z tą rodziną.

Zabawiliśmy w Yarmouth przez parę tygodni. Steerforth sprowadził swój yacht, służącego, urządzaliśmy wycieczki na morze.

W tym czasie kilkakrotnie odwiedzałem miejsce swego urodzenia.

Ze wzruszeniem witałem tutaj każdy kamień, byłem w kościele i długie godziny spędzałem na cmentarzu, pod znanemi niegdyś drzewami, które ocieniały dziś obydwa groby. Kochająca ręka Peggotty nie dopuściła tutaj zaniedbania, droga mama spała wśród lilij, narcyzów, pośród świergotu ptaków i szumu drzew starych, i żaden głos surowy nie mącił jej ciszy, nie zakłócał wiecznego jej spoczynku.

W domu naszym nie byłem. Obcy mieszkali w nim ludzie i obco wyglądały ciemne okna, świadcząc o jakiemś smutnem zaniedbaniu. W ogrodzie zamiast kwiatów bujnie rosły chwasty, niektóre drzewa ścięto, inne sterczały suchemi gałęziami, których nikt nie obcinał.

Odwiedziłem doktora Chillipa i dowiedziałem się, że pan Murdstone ożenił się powtórnie, lecz źle żyje z żoną, która się nie pozwala zawojować. W naszym domu mieszka jakiś człowiek chory, otoczony płatną opieką. Czas upływał. Zdawałem sobie sprawę, że należy wracać, tem bardziej, że pod wpływem listów babki byłem zdecydowany zacząć naukę

prawa. Pragnąłem pod tym względem poznać opinję Steerfortha, lecz mało go obchodziło życie pracy i obowiązków.

— Jestem źle wychowany — powiedział mi kiedyś otwarcie. — Czasem żałuję tego. Matka pragnie mi kwiatami usłać drogę życia, a więc stąpam po kwiatach i nie znoszę ziemi, tej twardej, nagiej ziemi, po której ludzie chodzą. To źle jest, ale cóż chcesz? Dotąd mi z tem bardzo wygodnie.

Babka miała spotkać się ze mną w Londynie, więc pożegnawszy serdecznie przyjaciół, pewnego dnia pięknego wyruszyliśmy z powrotem.

Zajechałem od razu do hotelu, który wskazała mi babka, i zastałem przygotowane wszystko na moje przyjęcie. Witała mię wzruszona i swoim zwyczajem po krótkiej chwili przystąpiła wprost do rzeczy.

— Semestr rozpoczyna się w ciągu tygodnia. Skoro jesteś zdecydowany, przyjechałam, żeby cię jakoś urządzić.

— Jestem prawie zdecydowany — odparłem. — Chciałbym jednakże przedtem zastanowić się jeszcze wspólnie, czy… to… nie będzie dla mnie zbyt kosztowna droga. Rozumiem przecie dzisiaj, że już wiele wydałaś na mnie, babciu, czy to może trwać dłużej? Czy nie byłoby lepiej, żebym obrał zawód praktyczny, w którym moja praca od razu zapewniłaby mi choć utrzymanie?

— Moje dziecko — rzekła babka, patrząc na mnie — trzeba, żebyś zrozumiał także, iż celem mego życia jest zrobić cię szczęśliwym i użytecznym człowiekiem. Od chwili przybycia do dnia dzisiejszego nie wyrządziłeś mi żadnej przykrości — jesteś moją dumą i moją czułością. Dziś uznaję, że nie spełniłam obowiązku względem twej biednej matki, a może zawiniłam nawet względem ojca, i tobie tylko dług ten spłacić mogę. Wystarczy mi na to, abyś skończył prawo i zajął stanowisko, odpowiednie twoim zdolnościom. Więc nie troszcz się o to, moje drogie dziecko, sięgaj śmiało po przyszłość, którą zdobyć możesz, pracuj, a reszta dziś należy do mnie.

Tak zaczęta rozmowa długo w noc się przeciągnęła. Pierwszy raz w życiu babka mówiła ze mną o przeszłości, mówiła i o sobie. Uważała mię widać za człowieka godnego zaufania i

szacunku. Jakże czułem się z tego dumny i szczęśliwy. Byłem pewny, że nie zrobię jej zawodu.

Nazajutrz oświadczyła mi od rana, że musimy pojechać obejrzeć mieszkanie, o którem wyczytała w ogłoszeniach.

Wyjęła z portmonetki wycięty kawałek gazety i udaliśmy się na tę wyprawę.

Mieszkanie było z widokiem na rzekę, składało się z dwóch niewielkich pokoików, ciemnego przedpokoju i spiżarni, mnie się podobało nadzwyczajnie. Najpierw otwarty widok na rzekę i niebo, trochę drzew i zieloności, a następnie własne mieszkanie, własne gospodarstwo.

Babka surowo oceniła czystość, obejrzała skromne lecz porządne sprzęty, umówiła się z gospodynią o cenę, obiady i pranie i wynajęła je z tem zastrzeżeniem, że po miesiącu próby zrobi umowę roczną.

XIII. ZŁE I DOBRE DUCHY.

Czułem się niewymownie dumny i szczęśliwy w swojem własnem mieszkaniu. Skoro się zamknąłem, byłem jak Robinson Kruzoe w swej twierdzy. Sprawiało mi nieznaną i nową przyjemność wychodzić na miasto z kluczem od mieszkania w kieszeni, wiedzieć, że mogę wrócić o każdej godzinie i przyprowadzić z sobą przyjaciela, a nikomu przez to nie zrobię różnicy i nikomu się nie potrzebuję opowiadać. W tej swobodzie, niczem nie kontrolowanej, był nadzwyczajny urok, zwłaszcza w dzień pogodny, rankami. Wieczorem, gdy deszcz padał i wicher gdzieś daleko zginał drzewa, było mi trochę dziwnie w tej samotni, myślałem wtedy o babce, Ani, Peggotty, Steerforcie, znikało zupełnie uczucie swobody, czułem się uwięzionym.

Gospodyni zawsze uprzejma, usłużna, dziwiło mię jedynie, że w jej ręku tak prędko znikały moje zapasy, prawie bez mojego udziału, a zakupienie nowych dużo kosztowało.

Właśnie zastanawiałem się nad tem, jak wielka ilość kawy jest potrzebna na małą filiżankę, gdy we drzwiach stanął Steerforth.

Przyjąłem go okrzykiem najszczerszej radości, wyrzucając zniknienie, które mi nie pozwoliło zapoznać go z miss Betsy.

Opowiadał, że się trochę zabawiał z kolegami, i podziwiał mój kawalerski apartament, po którym oprowadzałem go z dumą.

Chciałem kazać podać śniadanie, ale nie zgodził się na to, wpadł na chwilę, ponieważ miał randkę z kolegami, obiecał z nimi obiadować. Jutro wyjeżdża, ten dzień przeznaczony jest dla nich.

— Więc przyjdź na obiad z nimi! — zawołałem. — Mogę was przecież przyjąć. Czy sądzisz, że nie będą chcieli?

— Dlaczegożby nie chcieli, ale poco robić ci kłopot? Chodź lepiej ze mną i będziemy razem.

Nie chciałem o tem słyszeć. Jakaż wartość mego mieszkania, gdybym nie mógł przyjąć w niem gości? Zapałałem nadzwyczajną gościnnością i zobowiązałem Steerfortha, że przyjdą na obiad o szóstej.

Zaledwo się oddalił, zadzwoniłem na gospodynię i przedstawiłem pani Crupp swój projekt. Zgodziła się, przez wrodzoną jej dobroć serca, zająć się przyjęciem, lecz stawiała pewne warunki. Musiałem nająć kogoś do posługi (poleciła mi nawet bardzo zręcznego chłopca), potrzebna była dziewczyna do zmywania talerzy (mogła też dostarczyć). Co do samego obiadu, na małej kuchence gotowa była usmażyć kotlety i ugotować do tego kartofle, resztę dań należało obstalować w restauracji. A więc majonez, ryby, drób pieczony, ciastka, owoce, wino, kilka gatunków sera, papierosy.

Jej rady trafiły mi do przekonania i pobiegłem na miasto, aby zająć się tem wszystkiem. Nakupiłem przysmaków na dwanaście osób i zdziwiłem się mocno, ujrzawszy to wszystko na stole. Ilość wina — pomimo braku dwóch butelek, które się gdzieś podziały — była także pokaźna.

Steerforth z kolegami stawił się punktualnie, i prosiłem go zaraz, aby był gospodarzem, gdyż ma większą wprawę w tej roli ode mnie.

Wszystko było wyborne, uprzejmość Steerfortha podniecała ochotę i wesołość, wznosiliśmy toasty bezustannie, gdyż wino nadzwyczajnie smakowało wszystkim. Mnie z początku niepokoiło ciągłe kręcenie się chłopca, który wybiegał wciąż do przedpokoju i zaraz potem widziałem na szybie drzwi szklanych cień jego z butelką w ustach. Wkrótce zaczął mu akompanjować coraz częściej brzęk tłuczonych talerzy, co świadczyło o gorliwości pomywaczki, umieszczonej w spiżarni.

Lecz drobne te niepowodzenia nie mogły mi popsuć humoru i zaprzestałem nawet zwracać na nie uwagę. Zrobiło mi się wesoło jak nigdy, śmiałem się bezustannie ze wszystkiego. Wszyscy byli dowcipni i weseli, wszystko nas bawiło i wszystko

śmieszyło, każdy mówił i śmiał się, nie czekając odpowiedzi, grzmiały głośno toasty i wiwaty, ktoś zaczął śpiewać, i śpiewaliśmy wszyscy, miałem ochotę płakać z rozrzewnienia, tak kochałem Steerfortha i jego kolegów, zaczęliśmy palić!

Steerforth wygłosił mowę na moją cześć, potem padłem mu w objęcia. Ściskaliśmy się wszyscy. Prosiłem, żeby przyszli i jutro na obiad, żeby przychodzili co dzień.

Ktoś otworzył okno i położył czoło na kamiennym, chłodnym parapecie, mówiono, że to ja. Sam mówiłem do siebie: Copperfieldzie. Ktoś przyglądał się w lustrze i spostrzegłem, że to ja także. Ktoś leżał na łóżku i myślę, że to również był Trotwood-Copperfield.

— Chodźmy do teatru — odezwał się któryś i byliśmy zachwyceni tym pomysłem.

Zaraz zgasiłem światło, żeby nie zostawić ognia, ale potem nie mogliśmy trafić do drzwi. Wreszcie spostrzegłem schody, schodziliśmy na dół, ktoś się potknął i zsunął wśród krzyku i śmiechu. Zawołano: Copperfield! Ale się oburzyłem, chociaż byłem zdziwiony, że leżałem na podłodze i coś jakby mię bolało.

Noc była mglista, dokoła latarni jaśniały blade aureole. Wstrząsnąłem się, przejęty chłodem. Steerforth powiedział, że nie wziąłem płaszcza, ale oparł mię o słup latarni i poprawił mi kapelusz, który jakoś niezwykle siedział dziś na mojej głowie.

Nagle zauważyłem, że jestem w teatrze, bardzo wysoko, bo wszyscy ludzie niżej i widać tylko głowy, głowy, głowy. Dużo światła, muzyki i bardzo gorąco. Zapewne dlatego zaczęliśmy schodzić i znaleźliśmy się w długim korytarzu, gdzie było wiele drzwi.

Otworzyłem jednę, wszedłem i usiadłem. Ktoś się obejrzał, ktoś powiedział: — Ciszej! — i spostrzegłem przed sobą Anię pomiędzy jakąś lady i jakimś gentlemanem, których nie znałem zupełnie.

— Ania! — wyjąkałem, zwracając się do niej. Spojrzała na mnie bardzo dziwnym wzrokiem.

— Tst! Cicho, proszę! Nie przeszkadzaj, Dewi, patrz na scenę.

Spojrzałem, gdzie wskazała; ale nic nie widziałem. Spojrzałem na nią, przyciskała rękę do czoła.

— Jesteś zder-der-nowana… — zacząłem.

— Tak, Dewi. Cicho. Słuchaj.

— Chodźmy do domu. Ja cię pro-odpro-wadzę do ojca.

Nie wiem, co mówiłem więcej, lecz umilkłem, uspokojony jej długiem, poważnem, stanowczem spojrzeniem.

— Wiem, że zrobisz zaraz, o co cię poproszę — rzekła. — Wyjdź, Trot, zrób to dla mnie, i poproś przyjaciół, żeby cię odprowadzili do domu.

Chociaż byłem zły na nią, ale posłuchałem. W korytarzu był tylko Steerforth, który odprowadził mię do domu i pomógł się rozebrać. Mówiłem mu, że Ania jest mi siostrą, i błagałem, żebyśmy napoczęli nową butelkę.

Potem zdawało mi się, że siadamy na nowo do obiadu, ale wszystko się tłukło i wszystko znikało. Czułem zimno i gorąco, ból głowy, suchość w ustach, ręce mię paliły — wreszcie zapomniałem o wszystkiem.

Smutne nazajutrz było przebudzenie: ból głowy, mdłości, bezsilność, ból krzyża, a przede wszystkiem wstyd, wstyd słów i czynów, których nie pamiętałem już dokładnie, a jednakże popełniłem, popełniłem…

Ania! Skąd się tu wzięła? Gdzie jej szukać? Co o mnie myśli? Czy zechce mówić ze mną? Jak mogłem, ach, jak mogłem!…

Pani Crupp sumiennie złożyła w spiżarni resztki wczorajszej uczty: parę kawałków sera i bułeczkę chleba. Za to rachunek stłuczonych talerzy przedstawiał się poważnie.

Cóż znaczą jednak stłuczone talerze i wszystkie wydatki obok uczucia wstydu i upokorzenia, przed któremi nie znajdowałem ucieczki.

— O, czemuż cię to niema, babko moja! — szeptałem, połykając łzy gorące. — Jakąż ulgą byłoby wypłakać się na twojej piersi!

Tak upłynął ten dzień nieznośny, byłem chory i bardzo nieszczęśliwy; położyłem się wcześnie, nie jedząc obiadu, gdyż głowa mię bolała, miałem dreszcze i trochę gorączki.

Następnego dnia jednak czułem się cokolwiek lepiej. Nie mogłem iść na wykłady, lecz postanowiłem przejść się, odetchnąć świeżem i czystem powietrzem. Już wychodziłem, kiedy wszedł posłaniec z listem. List od Ani.

Pisała, że jest w Londynie, czeka na ojca, mieszka u znajomych i zapytuje, czy chcę ją odwiedzić.

Nie wiem, co sobie pomyślał posłaniec, czekając na odpowiedź, może wątpił, czy umiem pisać. Podarłem z dziesięć listów, zanim się zdobyłem na proste słowo: dziękuję, i oznaczenie godziny, o której przyjdę.

Przyjęła mię, jak zawsze dobra i spokojna, nie wspominając o tem, co widziała onegdaj. Lecz to właśnie upokarzało mię najbardziej. Rozpłakałem się i mam przekonanie, że to było najlepsze, co uczynić mogłem.

Położyła mi na ręce rękę i patrzyła na mnie z ogromną dobrocią.

— Trot — rzekła cicho — strzeż się złego towarzystwa.

— Obwiniasz Steerfortha? — zapytałem, boleśnie dotknięty jej słowami. — Niesłusznie. Sam zawiniłem, sam tylko mogę odpowiadać.

— Jest od ciebie starszy o lat kilka.

— Ale jest także młody. Wysłuchaj mię pierwej, będzie mi lepiej, skoro ci wszystko opowiem.

Wysłuchała spokojnie i uważnie, lecz powtórzyła znowu.

— Nie sądzę go jedynie na podstawie tego wybryku, choć jest o tyle starszy, że nie powinien był do tego dopuścić. Ale wiem o nim więcej. Wiem, iż życie dla niego jest zabawą, a ludzie zabawkami. Wiem, że praca i obowiązek to rzeczy mu nieznane. Wiem, że szuka jedynie rozrywki i przyjemności. Jesteśmy młodsi od niego oboje, a jednak zapatrujemy się inaczej. Dotąd byłeś poważnym chłopcem i poważnie patrzyłeś w przyszłość.

— Czy sądzisz, że się zmieniłem?

— Nie, lecz chciałabym bardzo oszczędzić ci przykrych wspomnień i… i… jesteś tak młody.

— Dlatego bądź wyrozumiała.

— Jestem i nie mam ci za złe tego, co się stało. Nawet jestem pewna, że to się nie powtórzy więcej, ale… boję się dla ciebie Steerfortha.

— Chciałbym, żebyś go poznała. Oddałabyś mu wtedy sprawiedliwość.

— Nie mówmy o tem — uśmiechnęła się z dobrocią. — Chciałam cię ostrzec, nic więcej. Przypuszczam, że to nie stanie między nami i że mi nie odbierzesz swego zaufania.

— Nigdy, Aniu! — zawołałem z przekonaniem.

— Czy nie widziałeś Urji? — zapytała, widocznie chcąc zmienić rozmowę.

— Urji? A cóż on tu robi w Londynie?

— Jest tu już od tygodnia w interesach ojca. Zdaje mi się, że zajdą przykre dla nas zmiany: Urja chce być wspólnikiem ojca.

— Urja wspólnikiem ojca? — powtórzyłem. — Czyż to podobna? Czyż można mu ufać? Za wspólnika się przecież odpowiada, a Urja… wykształcenie… charakter… skąd? jakim sposobem? Powinnaś wpłynąć na to. Nie dopuścić.

Ania spuściła głowę i milczała przez chwilę.

— To jest smutniejsze — rzekła — niż przypuszczasz. Przypomnij sobie naszą ostatnią rozmowę — o ojcu… Urja z tego korzystał zręcznie… Mówiłam ci… Zawsze wtedy wzywał ojca do biura… zawsze wtedy były ważne interesy. Za mało się znam na tem, ale łatwo zgadnąć, że Urja robił, co chciał, a ojciec podpisywał, co on wskazał. Tym sposobem wplątał ojca w jakieś sprawy i stał się dla niego niezbędnym. Jest jeszcze coś gorszego: ojciec go się boi. Ojciec go słucha. I dlatego myślę, że Urja nie jest uczciwym człowiekiem.

Zrozumiałem, że Ania nie chce mówić więcej, może się nie domyśla, lecz dla mnie kręte drogi Urji stały się bardzo wyraźne. Dążył do tego zawsze, od początku, chytrze, cierpliwie, wytrwale. Do czegoż doprowadzić może taki wspólnik? Chodzi o dobre imię! To okropne.

— Aniu, Aniu — zacząłem — czyż niema sposobu? Twój wpływ na ojca…

Potrząsnęła głową.

— Ojciec jest w mocy złego człowieka — rzekła — cóż ja mogę? Urja mówi bardzo wiele o wdzięczności i może jest w tem nawet trochę prawdy, może będzie pamiętał o tem... Ach, Dewi — zawołała — gdybyś wiedział, jak mię to wszystko boli... za ojca... bo on cierpi. Cierpi nad tem i kryje się przede mną. Więc udaję, że mu już wierzę, że to jego wybór i wola.

Spuściła oczy, załkała gwałtownie i łzy popłynęły jej po twarzy. Nie widziałem jej nigdy płaczącej tak boleśnie i serce mi się ścisnęło współczuciem.

— Aniu, droga Aniu, moja siostro! — powtarzałem bezsilny w tyra wypadku.

Zapanowała nad sobą i otarła łzy, usiłując przybrać zwykły, spokojny wyraz.

— Muszę cię prosić o jedno — szepnęła — nie okazuj Urji niechęci. Ze względu na ojca i na mnie, ukryj, co o nim sądzisz, i bądź, jak dawniej, grzeczny, przyjacielski. To niebezpieczny człowiek, a chodzi... o ojca.

Byłem zgnębiony, choć starałem się panować nad sobą. W salonie zastaliśmy panią domu, która rozmawiała z młodzieńcem, jakby nieobcym dla mnie. Ania mię przedstawiła i nagle usłyszałem imię Traddlesa.

Traddles! Więc to jest Tomek! Zaniedbany, włosy zwichrzone, wyraz dobroci w oczach i łagodny, niepewny uśmiech.Ścisnęliśmy się serdecznie za ręce, a wspomnienia młodości żywo stanęły przed nami.

— Czy widujesz Steerfortha? — zapytałem.

Machnął ręką i uśmiechnął się swoim uśmiechem.

— Słyszałem, że się bawi — odpowiedział — gdzież ja go spotkać mogę?

— A ty czem się zajmujesz?

— Jestem prawnikiem — odparł — ale... ale nie bardzo mi się wiedzie. Nie jestem, jak wiesz, praktyczny. Wszystko jedno. Tylko że nasze drogi ze Steerfortem rozeszły się daleko. Może by mię nie poznał.

Spojrzałem w stronę Ani i oczy nasze się spotkały, w jej wzroku wyczytałem troskę i przypomnienie.

Pani domu zaprosiła mię na obiad, na którym spotkałem się z Urją.

Byłem na to przygotowany, nie umiałem jednak pokryć swego wstrętu i starałem się trzymać od niego z daleka. Szło jako tako, o ile nie zbliżałem się do Ani, lecz jeśli zaczynałem z nią rozmowę, Urja natychmiast zjawiał się koło mnie.

To było tak męczące, że chętnie pożegnałem wreszcie towarzystwo, aby odetchnąć z przykrego przymusu, gdy na schodach spostrzegłem, że Urja idzie za mną.

Wyrażał nadzwyczajne zadowolenie z powodu naszego spotkania i szedł obok mnie na ulicy, zapewniając ciągle o swojej przyjaźni i rozumie się — wielkiej pokorze.

Z początku nie odpowiadałem mu wcale, lecz przypomniałem sobie prośbę Ani i chciałem zastosować się do jej życzenia.

— Może pan wstąpi do mnie na filiżankę kawy — odezwałem się grzecznie.

— O, panie Copperfield — wykrzyknął nagle — czyż jestem godzien? Tyle ambarasu z powodu tak pokornego, nędznego człowieka!

— Winienem wzajemność za szklankę herbaty, którą niegdyś piłem u pana.

— W takim razie z przyjemnością, z przyjemnością — mówił słodko. — Taki zaszczyt dla mnie, nędznego człowieka.

Milczałem znów przez drogę, zrobiwszy tak wiele, i weszliśmy na koniec do mieszkania. Urja zachwycał się każdą drobnostką, nie było końca jego wykrzyknikom, a ja zająłem się robieniem kawy, co mię uwalniało prawie od rozmowy.

— O, paniczu, chciałem powiedzieć: panie Trotwood, jakież zmiany i niespodzianki daje życie! Czyż mogłem przypuszczać kiedyś, że ja, tak marna pokorna istota… nie wiem, czy pan już słyszał, panie Trotwood?

Siedział na sofie, umieściwszy filiżankę kawy na swych długich i wystających kolanach. Kapelusz i rękawiczki postawił obok siebie na podłodze. Jego czerwone oczy błyszczały z pod bezrzęsych powiek jak dwa żarzące się węgle, nozdrza rozdymały się za każdym oddechem, ramiona, ręce, głowa wiły

się bezustannie jakimś wężowym ruchem, nie mogłem patrzeć na niego bez wstrętu.

— Panna Ania zapewne wspominała panu o szlachetnym, wspaniałomyślnym zamiarze jej ojca. Co to za wzniosły człowiek! Co za rozum, dobroć… mnie nędznego robaka, którego podjął z prochu… czyż zdołam mu okazać całą wdzięczność? Dziś pragnę przede wszystkiem spełnić jego wolę i służyć mu wiernie z największą pokorą. Panna Ania mówiła panu?

— Tak jest — odparłem sucho.

— Święta istota! Co za szlachetność i dobroć, nawet dla pokornego, niegodnego sługi. Ona nikim nie gardzi. W jej oczach tylko dobroć. Co za szczęście żyć obok takich ludzi. Czy pamiętasz, panie Copperfield, że ty pierwszy przepowiedziałeś mi kiedyś, iż zostanę wspólnikiem pana Wickfielda?

Spojrzałem na niego zdumiony. Nic podobnego nigdy nie przepowiadałem, lecz później przypomniało mi się, że w pierwszych dniach poznania, kiedy byłem zupełnem dzieckiem, zapytałem go raz z naiwnością, czy dlatego pracuje, żeby zostać wspólnikiem pana Wickfielda.

— I sądzę, że to właśnie pańskie dzieło ta iskierka ambicji w mej pokornej piersi — mówił dalej z uśmiechem. — Bo i nędzny człowiek może być narzędziem w ręku wielkich i godnych. Pan Wickfield najgodniejszy, najszlachetniejszy człowiek, ale jak nieostrożny, nierozważny, o panie Copperfield!

— Nierozważny pod każdym względem — zauważyłem gorzko.

— Tak jest — powtórzył Urja innym głosem — dziecinnie nierozważny, niepoczytalny prawie. Przepraszam, że o tem mówię, panie Trotwood. Jestem zawsze pokorny i wiem, że nic nie znaczę wobec wielkich ludzi, ale mówię tylko do pana. I mogę mówić śmiało, że gdyby kto inny był na mojem miejscu w ciągu tych lat ostatnich, zgniótłby pana Wickfielda i zmiażdżył zupełnie, mając go w swojej mocy. Mając go w swo-jej mo-cy — wysylabizował, gniotąc pięścią stojący przed nim stolik, aż się zakołysał pod tem ciśnieniem.

Odwróciłem głowę, żeby nie wyczytał z mych oczu, co czuję i co myślę o nim.

A on wciąż patrzył na mnie, jakby mię nie widział, i mówił słodkim, uniżonym głosem.

— Nierozważne postępowanie, tak: należy przypuszczać nierozwagę, nie chcę powiedzieć bezmyślność. Bo rozmyślność nie, znamy przecież pana Wickfielda, najszlachetniejszy człowiek! Byłem nędznem narzędziem w jego ręku. Cóż ja, pokorny nędzarz? Jego wiedza i jego wola, a moje tylko posłuszeństwo. Ja nie śmiem mówić o tem nawet z panem i zaledwie dotykam tej materji, ale... byłoby już po wszystkiem: majątek, stanowisko, imię... Okropna ruina. Nie umiem nawet osądzić, czy pan Wickfield sam jasno zdaje sobie sprawę... ciemny jestem i nędzny wobec niego.

Serce uderzało mi mocno, nierówno, nie mogłem prawie mówić.

— Może kawy? — spytałem wreszcie, wspomniawszy prośbę Ani.

— O, jaki pan łaskawy! Czyż mogłem przypuszczać niegdyś, że taki zaszczyt... Ale pozostanę zawsze pokorny i matka moja jest bardzo pokorna, czujemy swoją nicość, nędzni ludzie, w naszym lichym i nędznym domku... jednak, ach, panie Trotwood, zgodzisz się pan na to, że panna Ania jest prześliczna!

Zsunąłem brwi mimowolnie. Co on jeszcze odważy się powiedzieć?

— Miss Ania jest istotą wyższą — zauważyłem stanowczo.

— O, dziękuję panu, panie Copperfield, za te słowa! — wołał, wyjmując chustkę i wycierając swoje zawsze wilgotne dłonie.

— Niema za co — odparłem chłodno.

— O, panie Trotwood — odparł — jestem pokorny człowiek, jestem lichy, nic nie znaczący, wiem o tem, lecz w mej uczciwej choć pokornej piersi obraz miss Ani płonie niby ogień święty. Ten czysty płomień podnosi mię ku niej, budzi zuchwałe myśli i nadzieje, moje pokorne serce jest świątynią, w której ośmielam się czcić ją i kochać.

Nie pamiętam, co się stało ze mną po tych słowach. Ciemna zasłona podniosła się nagle i ujrzałem wyraźnie cel tego człowieka. Ogarnęło mię przerażenie. Ania w jego rękach! Ania w jego mocy!

Otrzeźwiłem się bólem: w ręku ściskałem żarzący się węgiel.

— Czy… czy… Ania wie o tem? — wybełkotałem z trudem.

— Miss Ania? O, nie, panie. Byłem dotąd tak nisko. Dopiero zacząłem się podnosić. Dzięki jej ojcu. Ale ona oceni, jak mu jestem użyteczny, ona, tak dobra córka, która go tak kocha, przez wzgląd na ojca… mam nadzieję… z czasem… będzie dobra i dla mnie.

Nie miałem siły nic na to powiedzieć.

— A tymczasem — zaczął po chwili — to jest tajemnica, którą tylko panu powierzyłem, panie Copperfield. Ufam pańskiej przyjaźni, że to zachowasz w swem sercu. Jestem bardzo pokorny człowiek, ale wierzę, że moja Ania przyzwyczai się z czasem do tej myśli, oswoi się powoli i stopniowo, stopniowo oceni moje usługi, moją wierność i przywiązanie do jej ojca. Lecz to dopiero przyszłość.

Spojrzał na zegarek i skrzywił trupią twarz dziwnym wyrazem.

— Wpół do pierwszej! — zawołał. — Jak czas prędko leci! Wpół do pierwszej. Nie mogę już wrócić do domu. To prywatne mieszkanie ubogiej staruszki i wszyscy śpią od dawna. Cóż ja zrobię?

— Mam tylko jedno łóżko — powiedziałem — więc choć mi bardzo przykro…

— Na co mi łóżko, panie Copperfield? Jeśliś tak dobry, położę się na podłodze przed kominkiem. Jestem nędzny, pokorny człowiek…

Nie mogłem mu pozwolić spać na ziemi, więc posłałem materac w jadalnym pokoju i usłyszałem wkrótce głośne chrapanie śpiącego.

Co do mnie, sen odleciał gdzieś bardzo daleko. Tyle myśli i uczuć zmąciło mi spokój, że leżąc z otwartemi powiekami,

czekałem świtu, aby się otrząsnąć z niepokojących widziadeł tej nocy.

Widocznie Urja wczoraj spełnił, co zamierzał, i nie miał interesu przedłużać wizyty, gdyż zaledwie dzień nastał, wyniósł się po cichu.

To było pierwszą ulgą. Pośpieszyłem zaraz otworzyć okno w jadalnym pokoju, i czując nadzwyczajną potrzebę ruchu, wyszedłem też na miasto.

Wieczorem zastałem bilecik od Ani.Żegnała mię serdecznie, opuszczając Londyn, prosiła, bym miał zawsze do niej zaufanie, chociażbyśmy się różnili w sądzie o ludziach, i nie wymieniając żadnego nazwiska, powtarzała swoją opinję, że kto nie uznaje w życiu obowiązku, ten źle żyje i jest człowiekiem bez wartości.

XIV. MIŁOŚĆ.

Po tych wieściach czułem się bardzo zgnębiony. Przez kilka dni byłem niezdolny do pracy, ale młodość, nowe wrażenia, czas i siła woli wracały mi powoli spokój i nadzieję. Ania rozumie dobrze położenie, Ania zrobi wszystko, co jest w ludzkiej mocy, musimy wierzyć przecież w triumf sprawiedliwości. To jest potrzebą duszy i do tego człowiek powraca nawet po zupełnem rozbiciu.

Tymczasem listy Ani były spokojne i miłe, nie wspominała o rzeczach drażliwych, więc też chętnie wmawiałem sobie, że niebezpieczeństwo będzie zażegnane.

Czułem jednak ogromną pustkę i samotność, pragnąłem i potrzebowałem towarzystwa, a nie było jakoś nikogo, z kim mógłbym się zbliżyć serdecznie, otwarcie. Steerforth wyjechał, babka i Ania daleko.

Przypomniał mi się Traddles i postanowiłem go odwiedzić, ale nie miałem adresu. Spotkaliśmy się wreszcie kiedyś na przechadzce i tak szczerze ucieszyłem się jego widokiem, że zrobiło mu to przyjemność.

Naturalnie rozmowa zaczęła się znowu od wspomnień, lecz wkrótce przeskoczyła na chwilę obecną. Traddles pracował także u rejenta, ale ponieważ za mnie babka opłaciła wymaganą przez prawo sumę, otrzymałem miejsce korzystne, to jest przynoszące mi już pewien dochód. Traddles był ubogi, pracował prywatnie i zarabiał niewiele. Nie wiodło mu się w życiu, tak samo jak w szkole. Mówił o tem bez skargi, jak o własnej winie. Nie umiał iść przebojem. Nieśmiały i łagodny, nie umiał się bronić, pozwalał się często wyzyskiwać.

Chciałem go odwiedzić, zastanowił się, nim podał adres.

— Widzisz — rzekł — nie proszę cię do kancelarji, bo ją mamy we czterech, żeby taniej kosztowała, a mieszkanie... hm,

bardzo skromne.

Rzeczywiście zajmował maluśki pokoik w oddalonej, wąskiej i brudnej uliczce. Lecz pokoik był czysty. Sprzęty najniezbędniejsze, zamiast łóżka sofa, w kącie coś osłoniętego prześcieradłem.

Mimo woli rzucałem ciekawe spojrzenie w tę stronę, a Traddles się rumienił. W końcu zwichrzył ręką swą bujną czuprynę, uśmiechnął się i westchnął. Z miłością spojrzał znowu na zasłonięty przedmiot, wreszcie delikatnie, lekko drżącą ręką zdjął płótno. Ujrzałem mały stolik z marmurowym blatem i wazonik do kwiatów.

Wyznał mi ze wzruszeniem, że jest zaręczony z córką pastora na prowincji. Do małżeństwa daleko, gdyż oboje biedni, lecz po trochu gromadzą drobne rzeczy na przyszłe gospodarstwo. Ten "prześliczny" wazonik kupiła sama Zosia podczas bytności w Londynie, stolik nabył tanio przypadkiem. Obu przedmiotów dotykał z pieszczotą: były zadatkiem szczęścia.

Zaczęliśmy mówić o szkole, kolegach, jeden z nich mu dopomógł do znalezienia pracy u rejenta, miał zajęcie w paru dziennikach, dostarczając im specjalnych wiadomości, pomagał autorowi "Nowej encyklopedii", nie pogardzał drobnym dochodem, oszczędzał i gromadził środki na przyszłość.

— Tylko — szepnął z westchnieniem, burząc zwichrzoną czuprynę — nie zawsze mam dość woli wobec ludzkiej biedy. Mam tu zacnych sąsiadów, bardzo poczciwi ludzie, stołują mię niedrogo, ale... ale... jakże nie poratować, jeżeli ktoś tonie? Wprawdzie państwo Micawber bywają często lekkomyślni, ale są tak poczciwi...

— Micawber? — powtórzyłem zadziwiony. — Tęgi, łysy, czworo dzieci?

— Znasz ich?

— Od bardzo dawna. Niegdyś i mój gospodarz. Z przyjemnością zobaczę ich znowu.

Traddles zapukał w ścianę w sposób umówiony, a potem wyszedł na korytarz i słyszałem, że mówił coś głośno. Za chwilę

p. Micawber stanął we drzwiach, z laseczką i lornetką, elegancki.

— Nie wiedziałem — zaczął, kłaniając się zdziwiony — że pan nie sam.

— Jak się pan miewa, panie Micawber — zawołałem, wyciągając do niego obie ręce.

Ujął je prawą ręką, obciągając jednocześnie kamizelkę i poprawiając kołnierzyk. Patrzył na mnie uważnie, lecz widoczne było, że mnie nie może poznać.

— Bardzo dziękuję, mam się, jak zawsze, do usług.

— A jak się ma pani Micawber? A dzieci? Tyle lat!

— I te same dawne kłopoty, los nie raczył dotąd uśmiechnąć się do mnie. Lecz doprawdy… Nie!… Czyżby…

— Copperfield.

— Czy podobna! Co za radość dla żony! — wołał, wstrząsając mocno moje ręce. — Przyjaciel od lat tylu i wspólnik niedoli! Ależ się pan zmienił! Widziałem cię dzieckiem. Kiedyż to raz ostatni?

— W Canterbury — podpowiedziałem.

— Tak, w Canterbury — westchnął — przypominam sobie: jedna ze stacyj zwodniczej nadziei. Ale pozwól, że uprzedzę zaraz żonę, jakie ją czeka spotkanie.

Wkrótce ukazała się pani Micawber, zawsze blada, mizerna i bardzo wzruszona, ściskali mię za ręce, zapraszali na obiad. Wymówiłem się łatwo, zapraszając ich w zamian do siebie wraz z Traddlesem w niedzielę. Przyjęli bardzo chętnie zaproszenie i, nim odszedłem, usłyszałem jeszcze, że p. Micawber stale poszukuje miejsca, odpowiadającego niepospolitym jego zdolnościom, że ludzie zaślepieni nie umieją go ocenić, że ich długi gnębią jak zawsze, że rodzina niechętnie i niedostatecznie popiera ich w tej ciężkiej walce, a nadzieja lepszego jutra, choć co chwila nową zapala jutrzenkę, zawsze przedwcześnie gaśnie i rani zawodem ich serca.

Zauważyłem teraz, że państwo Micawber wyrażają się stylem bardzo patetycznym, pełnym kwiecistych przenośni i zwrotów. Chwilami wydawali mi się wprost dziecinni, "stare dzieci",

pomimo to byli dla mnie sympatyczni, gdyż zostawili dobre wspomnienie przeszłości, a przy tem w ciężkiem życiu nie tracili odwagi i kochali się szczerze.

Z prawdziwą przyjemnością myślałem o niedzieli i zaproszonych gościach. Chciałem przyjąć ich najserdeczniej, lecz nauczony smutnem doświadczeniem, prosiłem gospodyni tylko o usmażenie kotletów i kartofli, a sam kupiłem szynkę, rybę, ser, owoce, trochę ciastek, butelkę wina i byłem spokojny, że moje dobre chęci zostaną ocenione.

Wprawdzie w ostatniej chwili gospodyni dla nieznanych przyczyn zgrymasiła i przysłała na górę kotlety surowe, szynka była trochę słona, ryba cokolwiek sucha, ale pani Micawber nie pozwoliła mi rozpaczać. Ze zręcznością i wprawą zajęła się moją maszynką, usmażyła kotlety, przyprawiła rybę, wszystko było wyborne, smakowało nam wyśmienicie i jedliśmy z prawdziwym apetytem. Wino nie zaszkodziło nikomu, czarna kawa miała wielkie powodzenie, a pan Micawber przyrządził nam wazę doskonałego ponczu, co było jego specjalnością.

Rozmawialiśmy o babce, Steerforcie, czasach szkolnych, pani Micawber dziękowała Opatrzności za moje powodzenie, którego naturalnie nie mogła przewidzeć przed laty, potem — rzecz prosta — jako rażący kontrast wystąpiło niepowodzenie jej małżonka, brak uznania jego zdolności, tysiączne zawody, obojętność i ciemnota społeczeństwa, która trwoni w ten sposób własne skarby. Zwierzyła się na koniec ze swego zamiaru ogłoszenia w pismach o genjalnym pracowniku, poszukującym odpowiedniej pracy. Pan Micawber przyjął pomysł ze skromnością, przyznając się, że w razie szczęśliwego zwrotu w domowych sprawach upatrzył już miły domek na jednej z ładnych ulic, dotąd pragnąłby się przenieść z rodziną. Po chwili jednak oświadczył z tragicznym wyrazem, że stoi nad przepaścią i w ciszy grobu widzi jedyne schronienie przed burzą.Łatwo się było domyślić, że grozi mu znowu więzienie dla niewypłacalnych dłużników. Traddles słuchał z głową spuszczoną. Zrozumiałem, że i jego oszczędności zagrożone zostały, lecz — jakaż na to rada? Czy jest rada?

Pomimo to byliśmy znów w dobrym humorze i, zdając sobie sprawę z beznadziejnej lekkomyślności tych ludzi, miałem dla nich zarazem najszczersze współczucie i sympatję. Pożegnaliśmy się bardzo serdecznie i brakowało mi tych gości w mojej pustce.

W tem spostrzegłem na biurku list p. Micawbera, który przyniósł widocznie z sobą. Jak zwykle był tragiczno-patetyczny.

Panie! — (Nie śmiem Cię nazwać Copperfieldem!)

Nie wątpię, że w Twem sercu znajdzie smutne echo wieść gorzka, że mi grozi zguba nieuchronna. Te słów kilka są właściwie pożegnaniem. Człowiek bez uczuć ludzkich jest w posiadaniu dokumentu, który pogrąży w nicość tak niżej podpisanego, jak przezacnego członka prześwietnej izby sądowej, Tomasza Traddlesa, któremu winien jestem 24 f. 4 sz. 9 1/2 d.

Przyjm więc, drogi przyjacielu, ostatni uścisk dłoni od człowieka, którego przysypie wkrótce szara ziemia.

Wilkins Mkawber

Zasmuciłem się za Traddlesa, któremu widocznie groziła licytacja skromnych jego ruchomości. Postanowiłem pomówić z nim o tem.

Odwiedziłem Traddlesa i przyznał się do podpisania dwu weksli Micawbera. Groziła mu rzeczywiście licytacja. Przyrzekł sobie, że odtąd zamknie pieniężne stosunki z sąsiadem, któremu dostarczał stale łatwej pracy kopjowania, przepisywania. Lecz Micawber wykonywał ją niedbale, jako nieodpowiednią dla niego, lekceważył i zaniedbywał, a nie ograniczał wydatków na drobne przyjemności życia, które miały osładzać smutną egzystencję rodziny.

Dnia pewnego zjawił się Steerforth, wesoły, uśmiechnięty, bardzo zadowolony, gdyż wyjeżdżał na czas jakiś zagranicę, czego od dawna pragnął. Opowiadał o sobie i swoich rozrywkach, śmiał się, przypominając niefortunną bibkę, zwłaszcza, że zauważył moje pomieszanie, nazywał mię stokrotką i fiołkiem.

Chciałem zmienić przedmiot rozmowy i zawołałam żywo:

— Wiesz, odnalazłem jeszcze jednego kolegę, zgadnij kogo.

— Ani myślę łamać sobie głowy — oświadczył wesoło. — Z Salem House? Nic tam nie było porządnego.

— Złoty chłopiec!

— Wątpię. Daleko prędzej golec i zapewne nudny.

— Traddles! — zawołałem z triumfem.

— Traddles? Cóż to za jeden?

— Traddles. Nie pamiętasz? Pokutował za innych i miał najlepsze serce. Taki wysoki, blondyn.

— Aha, wiem. To ten chłopiec. Niedołęga. Gdzieżeś go u licha, wygrzebał?

Stanąłem gorąco w obronie Traddlesa, Steerforth parę razy ziewnął, spytał, czy nie mam wina, napił się czarnej kawy, lecz nie został na wieczór, bo się z kimś umówił. Zapowiedział mi tylko, że mię zabierze do matki na ostatnie dni pożegnania, gdyż w mojem towarzystwie będzie mu weselej w domu.

— Z mamą nie mam o czem rozmawiać — zwierzył mi się. — Zanadto mię kocha, wszystkiego się lęka i zawsze gotowa do płaczu. Przydasz mi się bardzo, Fiołku.

Było mi trochę dziwnie, ale nie śmiałem odmówić. Przestrogi Ani tkwiły mi w pamięci, lecz kochałem Steerfortha i nawet wyrzucałem sobie, że sądzę go w ukryciu. Próbowałem nawet rozmawiać poważnie, tylko bez powodzenia; Steerforth ziewał i zaczynał o czem innem.

To się zmieni — myślałem. On taki rozumny. Powróci z zagranicy dojrzałym człowiekiem. Cóż mu zarzucić mogę? Że się bawi? Jest młody, piękny, wesoły, bogaty, używa życia. Tak go wychowali.

Nie wiem, czy z powodu tych uczuć i myśli żegnałem go z dziwnie bolesnem uczuciem. Ścisnęło mi się serce i łzy miałem w oczach, jak gdybym miał go więcej nie zobaczyć. Zdawało mi się, że on także był wzruszony, chociaż nie chciał tego okazać.

Po wyjeździe Steerfortha czułem się znowu samotny, Traddles mi nie wystarczał, do czegoś tęskniłem, kogoś mi

brakowało, może Ani. Pisałem do niej listy długie i serdeczne, lecz to nie zastępowało mi rozmowy.

Któregoś dnia pan Spenlow, rejent, pod którego kierunkiem pracowałem, zaprosił mię do siebie na niedzielę. Miał podmiejską willę w ładnej okolicy, więc pojechałem chętnie, tem bardziej, iż było to pewne wyróżnienie. W drodze opowiadał mi o swojej córce, która nie miała matki, więc tem goręcej ją kochał i pragnął wypełnić jak najlepiej rodzicielskie swe obowiązki.

Zajechaliśmy przed dom bardzo piękny z dużym ogrodem, otoczonym sztachetami, przez które widać było kwietne klomby, aleje, cieniste altanki i malownicze grupy najrozmaitszych drzew.

Weszliśmy do obszernej sieni, gdzie służący zabrał od nas płaszcze. W sąsiednim pokoju słychać było głosy i jakby wesołe szczekanie. Pan Spenlow sam otworzył drzwi przede mną i stanąłem w progu olśniony, prawie nie rozumiejąc, co się ze mną dzieje.

Anioł, tak, to był anioł. Byłbym przysiągł, że miała skrzydła. Ale widziałem głównie bławatkowe oczy i pierścienie złotych włosów koło twarzy, jasnej jak promień słońca, uśmiechniętej.

— Pan Trotwood-Copperfield, córka moja, Dora.

Dora! Zagrała mi w uszach muzyka najpiękniejszą melodję.

Bo czyż można wymarzyć słodsze imię?

Cały wieczór i dzień następny byłem jak gdyby we śnie. Widziałem tylko Dorę, słyszałem głos Dory, zakochałem się w niej gwałtownie, bez ratunku. Nie tylko ona, i jej ojciec wydawał mi się bóstwem, jej piesek nadziemską istotą.

Nie wiem, co mówiłem w ciągu tej niedzieli, gdyż zaledwie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Teraz zrozumiałem, do czego tęskniłem, jakiem marzeniem serca była dla mnie Dora, i oddałem się cały tej miłości, upojony widokiem ślicznego dziewczęcia.

Ocknąłem się cokolwiek dopiero w Londynie i teraz stanęło mi w myśli pytanie, kiedy ją ujrzę znowu.

Na szczęście przypadały wkrótce imieniny Dory, miało być wiele gości i pan Spenlow zaprosił mię także.

Więc zobaczę ją znowu! W dzień imienin! Wcześniej niż inni goście, gdyż miałem pozwolenie zjawić się w willi od rana.

Wynająłem sobie rumaka, aby przyjechać konno, kupiłem najpiękniejszy bukiet, jaki znalazłem w sklepie, a jednocześnie pocztą wysłałem bombonierkę najlepszych cukierków.

W wigilję dnia otrzymałem bilecik:

"Za pozwoleniem ojca przypominam panu o niedzieli. Oczekujemy. Dora".

Naturalnie, że pachnący ten papierek okryłem pocałunkami i umieściłem w osobnej kopercie na piersiach.

Wyjechałem za wcześnie, więc zbaczałem z drogi, ażeby się nie zjawić w niewłaściwej porze, a czas jak na złość wlókł się tak powoli, że nie mogłem doczekać się południa.

Ujrzałem ją w ogrodzie przez sztachety. Na złotych włosach miała słomiany kapelusz, a błękitna sukienka otaczała ją lekkim obłokiem.

Wkrótce stanąłem przed nią i podałem bukiet, prawie niezdolny przemówić.

— Ach, jakie śliczne kwiaty! — zawołała. — Dziękuję panu! Bardzo lubię kwiaty. Powąchaj, Gip! — dodała, podsuwając bukiet maleńkiemu pieskowi, który jej nie odstępował.

Piesek kichnął, szczeknął i odwrócił głowę, a Dora ze śmiechem podsuwała mu kwiaty pod mordkę. Rozdrażniony porwał jeden z nich zębami i zaczął go szarpać na ścieżce.

— Biedny kwiatek! — zawołała z żalem Dora, usiłując wydrzeć pieskowi nieszczęśliwą zdobycz, i tak czule piastowała poszarpane szczątki, iż żałowałem prawie, że Gip nie rzucił się na mnie.

O czem rozmawialiśmy? Któż by mógł powtórzyć? Upływały godziny niby chwile. Dora śmiała się często, Gip mruczał na mnie z gniewem, ale dostał po nosku, potem nastąpiła zgoda: Dora niosła Gipa, a ja prowadziłem Dorę, i szliśmy po cienistych alejach ogrodu, i było nam tak dobrze i wesoło.

Po południu przybyło liczne towarzystwo, następnie powozami wybraliśmy się wszyscy do pobliskiego lasku, rozłożono na trawie podwieczorek, były gonitwy, śpiewy, gry, spacer i tańce. Powiedziałem Dorze, że jest królową zabawy, powiedziałem, że jest piękniejsza od anioła, powiedziałem jej, że ją kocham.

I nie gniewała się o to. Więc będzie moją żoną. Tylko naturalnie muszę mieć dla niej przedtem dach nad głową, muszę stanąć na własnych nogach.

Nie mówiliśmy o tem, bo i poco? Czyż nie dosyć, że kocham i jestem kochany? Nie poszliśmy jednak z wyznaniem do ojca, bo trochę rozumiałem, że dzisiaj za wcześnie, przytem miałem wrażenie, że zapraszając mię do swego domu, pan Spenlow przez to samo upoważniał moje nadzieje. Dora też uważała, że tak jest najlepiej. Nie kryjemy się przecież. Ojciec na nas patrzy i patrzy srogie oko opiekunki.

Opiekunki? Niewiele Dora sobie z niej robiła i nie cierpi jej z całego serca, czemu nie mogę się dziwić, ponieważ tą opiekunką jest dobrze mi znana miss Murdstone. Wobec Dory musi panować nad sobą, bo to przecież ukochana jedynaczka, wobec mnie zaniechała kroków nieprzyjaznych, co świadczy, iż uznała, że mam w tym domu pewne przywileje. A zatem? Po cóż formalności? Do ojca pójdę, gdy uzyskam stopień i zostanę wreszcie adwokatem.

Tyle jest szczęścia w życiu i świat taki piękny! Napisałem szczerze o wszystkiem do Ani, zawiadomiłem babkę o moich zamiarach, zwierzyłem się Traddlesowi, pożyczyłem panu Micawber pieniędzy, kochałem wszystkich ludzi i gotów ich byłem przycisnąć do serca.

XV. BURZA.

List od Peggotty: Barkis nie żyje.

Biedna, droga Peggotty! Nie namyślałem się długo i nazajutrz udałem się do Yarmouth, aby być na pogrzebie i pocieszyć Peggotty.

Była tak zmęczona długą bezsennością i czuwaniem przy chorym mężu, że ledwie ją poznałem. Musiała iść do Józka i sam zająłem się wszystkiem, ażeby pogrzeb odbył się uczciwie.

Barkis pozostawił wcale ładną sumkę, około trzech tysięcy funtów, które formalnie zapisał Peggotty, najlepszej żonie, jak nazywał ją w testamencie.

Należało więc załatwić prawne formalności, w Yarmouth nie było co robić, namówiłem Peggotty na podróż do Londynu i razem udaliśmy się w drogę. Postanowiłem choćby przez czas jakiś zatrzymać ją u siebie, żeby odpoczęła, będąc mi jednocześnie pożyteczną.

Nie trzeba było namawiać jej wcale do tego. Objęła moją kuchenkę z radością i dopiero wtedy oceniłem wielką różnicę kosztu i wygody.

Wieczorami rozmawialiśmy o przeszłości, przypominaliśmy sobie stare dzieje. Nie mogłem ukryć przed nią, że jestem zakochany, nie mogłem się powstrzymać od mówienia o Dorze. Ogromnie się wzruszyła i zajęła, musiałem jej bez końca opisywać piękność mojej wybranej, nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego nie rozmówię się od razu z ojcem.

— Skoro cię sam zaprosił, więc mu się podobasz. Napewno sam dlatego cię zapraszał, że pragnie mieć takiego zięcia. A cóż mógłby ci zarzucić? Jeśli ta jędza patrzy na ciebie i milczy, to widać, że ma przykazane.

Przyrzekła jednak zachować sprawę w tajemnicy.

Czasem przychodził Traddles, który bardzo polubił Peggotty i we troje rozmawialiśmy. Opowiadał o pannie Zofji, która miała dziewięć sióstr, starszych i młodszych, a każdej z nich była potrzebna. Wzdychał przy tem, gdyż jego sprawy nie były na dobrej drodze. Zażegnał pierwszą licytację, podpisując panu Micawberowi nowy weksel, lecz w tydzień potem nie było ratunku. Sprzedali jego ruchomości, a co najboleśniejsze, stolik z marmurowym blatem i wazonik.

Musiał się wyprowadzić. Teraz żyje tylko nadzieją odzyskania utraconych skarbów.

W kilka dni potem przyszedł jak gdyby zmieszany i oznajmił, że ma do nas wielką prośbę. Wie, u którego tandeciarza znajduje się jego stolik i wazonik, zebrał pieniądze i chce je odkupić. Ale handlarz już poznał, jak wiele mu na tem zależy, i ogromnie podnosi cenę. Obmyślił więc taki sposób: Peggotty pójdzie za nim i zobaczy, jak będzie się targował, przypatrzy się obu przedmiotom, a potem przyjdzie sama i kupi je niby dla siebie na pewno o wiele taniej.

Peggotty się zgodziła i podstęp się udał. Traddles był tak wzruszony, że prawie nie mógł mówić. Ściskał nas za ręce w milczeniu, potem owinął wazonik serwetą i jak świętość odniósł do swego mieszkania.

Musiał odczuwać szczęście obecności tych drogich dla niego przedmiotów, bo się nie pokazywał przez kilka wieczorów.

Niekiedy wychodziliśmy z Peggotty na spacer. Chciałem pokazać jej Londyn i jego ciekawe pamiątki, ale prędko zauważyłem, że choć je podziwiała, może dlatego, żeby mi zrobić przyjemność, wolała swoją kuchnię, gospodarstwo, szycie i rozmowę o przeszłości, o Dorze.

W niedzielę najczęściej jeździłem do Dory. Pan Spenlow mię zapraszał, był gościnny, uprzejmy, rad widocznie, że z Dorą wesoło nam i dobrze. Czyż mógłby się nie domyślać, co to znaczy? Nie troszczyliśmy się o to zupełnie.

Rozmarzony, szczęśliwy, wracam pewnego wieczora, wbiegam na schody, aby podzielić z Peggotty najważniejsze wrażenia, zdziwiony słyszę głosy z mojego mieszkania,

otwieram drzwi i widzę kufry, paki i pudełka, na jednym z nich miss Trotwood, sztywna i poważna, pan Dick zajęty ogromnym latawcem i Peggotty przyrządza herbatę.

— Babcia! — zawołałem. — Droga, kochana babuńcia!

Przypadłem do niej, potrącając klatkę z ptakami, która stała na podłodze, i płosząc faworyta kota, drzemiącego na jej kolanach.

Uściskaliśmy się serdecznie, długo. Byłem pewny, że dobra babka przyjechała, ażeby poznać Dorę, wolałem jednak o tem pomówić z nią później, gdy zostaniemy sami, teraz zaś kłopotałem się jedynie, czy herbata dobra, czy bułeczki świeże, czy przyjęcie godne tak drogiego gościa.

— Dlaczego babcia siedzi na kuferku? — pytałem oburzony. — Jest przecież miękka sofa, proszę, będzie wygodniej.

— Tu mi dobrze — odparła i machnęła ręką w taki sposób, że nie nalegałem już więcej.

Zaczęło mię niepokoić jej spojrzenie gorączkowe, badawcze, pytające. Pan Dick poruszał głową także zagadkowo, ilekroć zwrócił się ku niej, na chwilę zapominając o latawcu.

na koniec wypiła herbatę, odsunęła szklankę, otarła usta i strzepnęła suknię. Potem spojrzała na mnie.

— Trot — rzekła — byłeś dotąd dobrym chłopcem, czy myślisz, że potrafisz być teraz mężczyzną? Czy masz odwagę liczyć na siebie wyłącznie? Stanąć o własnej sile?

— Tak sądzę, babciu — odezwałem się zdziwiony. — Do tego przecież…

— A jak ci się zdaje, dlaczego siedzę tu, na tym kuferku?

Potrząsnąłem głową, nie mogąc znaleźć odpowiedzi.

— Bo to, widzisz, jest jedyna moja własność. Rozumiesz, Trot? Zostałam zrujnowana i nic nie mam, prócz tych pakunków. No, i ten mały domek.

Stałem jak skamieniały. Gdybym się z całym domem zapadł w ziemię, nie byłbym więcej zdziwiony.

— Pani Barkis — zwróciła się babka do Peggotty — jestem bardzo zmęczona i chciałabym się położyć. Trot ustąpi mi

łóżka, lecz co zrobimy z panem Dickiem? Czy pani co poradzi na to?

— Bardzo łatwo — odpowiedziała pośpiesznie Peggotty — już długo o tem myslę. Niedaleko ma sklepik przyjaciel mego brata, u którego on zwykle nocuje, jeśli pani się zgodzi, to zaprowadzę pana Dicka i sama tam zostanę. Będzie tu państwu wygodniej.

— To dobrze — rzekła babka — nie mam siły już myśleć o wszystkiem, bardzo potrzebuję spoczynku. Jutro pomówimy.

Ale gdyśmy zostali sami, babka zaczęła chodzić po pokoju, jak gdyby zapomniała o zmęczeniu. Przypomniałem o łóżku, potrząsnęła głową.

— Jestem zmęczona — rzekła — lecz nie mogę się położyć. Ruch mię uspokoi. Czy podobna zasnąć, kiedy tyle myśli ciśnie się do głowy? Ach, Dewi, Dewi, ze względu na ciebie najwięcej mię to boli.

Położyła mi głowę na ramieniu i zaszlochała cicho.

— Babciu — mówiłem, całując jej ręce — dałaś mi naukę, dałaś mi zawód, to dosyć. Powinienem wystarczyć sobie i wystarczę. Czy myślisz, że nie będzie szczęściem dla mnie spłacać ci dług i okazać całą wdzięczność za to, żeś ze mnie zrobiła człowieka?

— A Dora? — rzekła babka. — Przecież zdaje ci się, że jesteś zakochany.

— Zdaje mi się? O, babciu, gdy ją poznasz…

— Tst! Dziecko. Ja ci nie będę ciężarem. Sprzedam domek, prócz tego został mi niewielki dochód, 70 funtów rocznie. To niewiele, ale wystarczy. Pan Dick ma sto funtów na siebie od rodziny. Jeżeli pani Barkis zechce nam gospodarować… bo ja, widzisz, stara już jestem…

— Peggotty? Babciu droga, będzie nam wszystkim dobrze. Zobaczysz, jak wszystkiem zajmie się poczciwie. Ona będzie szczęśliwa, że pracuje dla moich ukochanych.

— Ale Dora? — powtórzyła znowu babka.

— Dora mię kocha.

— Dziecko. Dziecko rozpieszczone. O, biedny, biedny chłopcze, czemuż byłeś ślepy!

Nie zrozumiałem, co chciała powiedzieć, wiedziałem doskonale, że Dora jest dzieckiem rozpieszczonem, przyzwyczajonem do zbytku, ale zarazem była śliczna, dobra i kochała mię przecież. Niech ją tylko babka zobaczy.

Ułożyłem na koniec miss Betsy do łóżka, posłałem sobie w drugim pokoju na sofie i zagasiłem światło.

Nie chciałem już rozmawiać, żeby zmusić babkę do spania, więc choć słyszałem, że się przewraca i wzdycha, leżałem cicho, czekając poranku. Bo i ja spać nie mogłem. To nie frazes, gdy mię babka zapytała, czy mam odwagę iść o własnej sile. Mam odwagę, lecz trzeba zacząć. Moje prawo daje mi trochę, ale to było dobre, póki babka pomagała. Teraz, jeśli chcę myśleć o małżeństwie, muszę przede wszystkiem powiększyć dochody, muszę zarabiać dużo.

W jaki sposób?

Tysiąc pomysłów, projektów i planów krążyło mi po głowie i dzień zaświtał w okna, zanim usnąłem na chwilę. Wkrótce przyszła Peggotty. Żeby nie zbudzić babki, wyszliśmy aż na schody porozmawiać. Pan Dick śpi jeszcze, jest wśród dobrych ludzi, skoro wstanie, przyprowadzi go tu które z dzieci. Peggotty obejmie opiekę nad babką, a ja pójdę na miasto załatwić swoje interesy.

Było wcześnie i pusto jeszcze na ulicach, powietrze chłodne, świeże, orzeźwiało myśli, rozpraszało znużenie po bezsennej nocy.

Zacząłem rozumować. Dlaczego mną wstrząsnęła ta wiadomość, dlaczego jestem taki przygnębiony? Jeśli, mając lat dziesięć, znalazłem dość siły, aby uciec z niewoli ojczyma i odszukać nieznaną krewną, czyż dziś, zdrów, w sile wieku, mając trochę wiedzy i zawód w ręku, mogę lękać się o przyszłość?

Nie. Więc o cóż mi chodzi? Babka i Dora. Żal mi babki i chciałbym ją otoczyć wszystkiem, czem ona otoczyła me dzieciństwo, a na to nie mam środków.

A Dora?... Czyż mogę sięgnąć po nią bez majątku i stanowiska?

Dlatego przygnębiła mię strata majątku, dlatego muszę go zdobyć.

Jak?

Własną pracą.

Mam zawód, ale — jeszcze lata pracy. I muszę mieć kapitał na otwarcie własnego biura. Więc dziś trzeba powiększyć dochody, trzeba znaleźć zyskowną pracę, która zapewni babce potrzebne wygody i pozwoli odłożyć coś na przyszłość.

— Odważnie, Trot, odważnie! — powtarzałem sobie. — Znajdziesz pracę, wypłyniesz i będziesz wart więcej, niż gdybyś wszystko zawdzięczał losowi.

Czas było iść do biura, więc przyśpieszyłem kroku i wkrótce znalazłem się wobec pana Spenlow.

— Źle pan wyglądasz dzisiaj — zauważył. — Czy stało się co złego?

— Babka straciła majątek — odparłem, nie namyślając się nad odpowiedzią.

Pan Spenlow zbladł i oparł się głową o fotel. Przez chwilę nic nie mówił, patrząc na mnie. Wdzięczny mu byłem za to wzruszenie, świadczące, że los mój obchodził go szczerze.

— Cóż pan zamierzasz teraz? — spytał wreszcie głucho.

— Iść tutaj swoją drogą i pracować jeszcze poza nią, aż wypłynę o własnej sile.

— Piękne zamiary — szepnął. — Bardzo dobre chęci, ale… to długa droga.

— Nie zabraknie mi cierpliwości…

Spojrzał znów na mnie, jakby się nad czemś namyślał, potem zaczął przerzucać papiery na biurku. Lecz widziałem, że ich nie czyta.

Godziny mijały. Wyszedłem wreszcie z biura, zajęty myślami, i wracałem do domu ze spuszczoną głową. Pracy!

Pracy! — brzmiało mi w uszach. — Ale jakiej? Gdzie jej szukać? Co robić?

Przyszedł: mi na myśl Traddles i postanowiłem zajść do niego dziś-jutro z pewnym planem. Pracował on w dzienniku poza swoją adwokaturą. Chciałem go się poradzić.

Wtem jadąca za mną dorożka zatrzymała się obok trotuaru. Spojrzałem mimo woli i stanąłem.

— Ania! — zawołałem, radośnie zdziwiony. Uśmiechnęła się i wskazała miejsce obok siebie.

— Jak to dobrze, że przyjechałaś — mówiłem, czując, że się wszystko rozjaśnia przede mną, że obok niej o wszystko mogę być spokojny. — Wiesz co? Gdybym znał czarodziejskie słowo, które spełnia życzenia, pomyślałbym w tej chwili o tobie. Dokąd jedziesz?

— Do ciebie. Przyjechałam po to, aby zobaczyć miss Trotwood. Właściwie ojciec z Urją musieli przyjechać dla jakichś interesów, a ja zabrałam się z nimi.

— Więc są już wspólnikami? — zapytałem prawie nieśmiało, spojrzawszy na nią i spostrzegając w tej chwili wielką zmianę w jej twarzy. Było w niej coś nad wszelki wyraz szlachetnego, a zarazem taka słodycz i powaga, iż wydała mi się aniołem pociechy.

— Tak — odparła spokojnie. — Duże zmiany: oni mieszkają z nami.

— Kto oni?

— Pan Heep z matką. Ona zajęła twój pokoik, pamiętasz ? Szczęśliwe były czasy!

— Aniu, Aniu! — szepnąłem zasmucony.

— Nic strasznego — odparła. — Trochę raniej swobody. Nie zawsze mogę być sama, kiedy pragnę, chociaż mam niby swój pokój. Lecz trudno. Na nic innego skarżyć się nie mogę. Nudzi mię czasem rozmową o synu, ale to matka.: Urja jest dobry dla niej.

Widoczne było dla mnie, że nie wie nic jeszcze o podstępnych zamiarach Urji względem jej osoby.

— Najgorsza dla mnie — zaczęła po chwili — jest ciągła obecność ich w domu. To mię odsuwa od ojca. Pan Heep jest ciągle między nami. Jeżeli to jednak podstęp z jego strony, jeśli chce tym sposobem opanować ojca, czy ja wiem, do czego doprowadzić, wierzę mocno, że prawda i miłość zwyciężą. Prawda i miłość musi być silniejsza od złego i nieszczęścia.

Nie odwracałem oczu od jej twarzy. Była tak dziwnie piękna wyrazem wiary i odwagi, że przykuwała nie wzrok, ale serce. Spytałem, skąd wiedziała, że babka jest u mnie, i czy wiadomo, co się stało z jej majątkiem.

Uczułem, że zadrżała na te słowa. Od babki miała lakoniczną kartę z wiadomością, że wyjeżdża do Londynu. O sprawach majątkowych żadnej wzmianki.

Miss Betsy powitała ją bardzo serdecznie i kiedy zasiedliśmy wszyscy troje koło stolika, uczułem się szczęśliwy. Nic mi nie brakowało, skoro je miałem przy sobie, te dwie tak głęboko kochane kobiety.

Zaczęliśmy rozmawiać o najbliższych sprawach, o moich projektach, i babka słuchała uważnie.

— Jesteś dzielnym i zacnym chłopcem — rzekła w końcu — mogę być dumna z ciebie. Sprawiedliwość wymaga, abyś poznał przyczynę moich nieprzewidzianych strat.

W spojrzeniu Ani wyczytałem nagle błysk trwogi, twarz jej zbladła.

— Wysłuchajcie, co się stało — mówiła dalej babka. — Jak wiecie, wszystkie moje interesy powierzyłam przyjacielowi, który prowadził je przez długie lata rozumnie i szczęśliwie. Ale nadeszła chwila, kiedy mi się zdawało, że mam dość doświadczenia, aby zająć się niemi sama. Odebrałam więc pieniądze i zaczęłam na własną rękę spekulować. Kupowałam papiery, o których sądziłam, że są dużej wartości. Straciłam na nich, chciałam to powetować, oszukałam się sama. Bank, w którym złożyłam rentę, zbankrutował i zostały mi ruchomości — wskazała ręką na pakunki — no, i domek, który wynajmę lub sprzedam. To wszystko. Zawiniłam, muszę pokutować i nie chodzi mi o mnie. Mniejsza o to. Żałowałam straty ze względu na Trota, lecz skoro on tak śmiało godzi się ze zmianą losu, zdaje mi się, że doprawdy moja strata przyniosła mi największą radość, jakiej mogłam spodziewać się w życiu.

Uważałem na Anię, gdy babka mówiła, gdyż byłem prawie pewny, że znam przyczynę jej trwogi. Z wolna jednak z jej oczu

ustąpił niepokój, zniknęła bladość twarzy, uśmiech powrócił na usta.

Babka ujęła ręce nas obojga w długi, serdeczny uścisk.

— Mam was, mam przyjaciół, nie mogę narzekać. Urządzimy sobie małe gospodarstwo, będziemy wszyscy razem i będzie nam dobrze.

— Muszę zarabiać więcej — powiedziałem. Babka skinęła ręką.

— Kochasz się, więc ci pilno. Ale jesteś młody, możecie poczekać.

— Może mam dla ciebie pracę — uśmiechnęła się Ania. — Doktor Strong potrzebuje sekretarza na parę godzin dziennie. Będzie z pewnością rad, skoro się zgłosisz.

Doktor Strong od lat paru już mieszkał w Londynie, odwiedzałem go nawet niekiedy, ale nie byłem dawno. Dora w ostatnich czasach zajmowała mi wszystkie myśli i cały wolny czas.

— Jesteś moim aniołem, Aniu! — zawołałem. Roześmiała się głośno.

— Myslę, że jeden anioł ci wystarczy — powiedziała figlarnie. — Zostanę przyjacielem, dobrze?

Wtem ktoś zapukał do drzwi: wszedł pan Wickfield z Urją.

Byłem przygotowany po rozmowie z Anią na duże zmiany w powierzchowności starca, a jednakże nie mogłem oprzeć się zdumieniu. Zdawało mi się prawie, że ta inny człowiek. Postarzał się, to było naturalne, ale pochylenie się całej postaci, nerwowe drżenie ręki, chorobliwa cera, a przede wszystkiem trudny do określenia wyraz oczu, w których malowała się trwoga, niepewność, upokorzenie i ból tak głęboki, iż niepodobna go było nie odczuć.

Babka z żywością podbiegła ku niemu i mocno potrząsnęła jego rękę.

— Witam pana serdecznie. Właśnie rozmawialiśmy tu we troje o moich interesach. Trzeba było się wyspowiadać. Teraz już wiedzą młodzi, jak źle na tem wyszłam, że nie chciałam do końca ufać panu i wycofałam pieniądze z pod pańskiej

życzliwej opieki, Naradzaliśmy się, co robić dalej. Ania ma główkę! Powinna stać na czele firmy.

— Śmiem pokornie zwrócić uwagę — odezwał się Urja, wykrzywiając na wszystkie strony całą postać — iż uważałbym za największe szczęście, gdyby panna Ania chciała przystąpić do spółki.

Nikt mu nie odpowiedział na te słowa, lecz trzeba było przywitać się grzecznie, co widocznie dodawało mu odwagi.

— Śmiem pokornie — zaczął na nowo, wijąc się całą postacią — śmiem zrobić porównanie, iż rozum, piękność i pokora stanowią dobrą całość.

— Czego się pan tak wijesz? — przerwała mu babka. — Czy cię galwanizują, jak zdechłą ropuchę?

— Przepraszam najpokorniej, miss Trotwood — zawołał Urja. — Nie wiedziałem, że pani tak nerwowa.

— Nie jestem nerwowa — szorstko przerwała mu babka. — Ale kto się urodził wężem czy węgorzem, niech siedzi w błocie, człowiek musi panować nad swemi ruchami.

W przeciwną stronę odwróciła krzesło, jakby nie chciała już patrzeć na niego, i zaczęła rozmowę z panem Wickfieldem.

Ale starzec, jakby zaraził się od Urji, nie mógł także spokojnie usiedzieć na krześle. Kręcił się, jąkał, wreszcie, korzystając z chwilowego milczenia, zaczął mówić głośno, drżąc i jąkając się widocznie.

— Obowiązkiem jest moim oświadczyć tu wobec przyjaciół, że Urja Heep jako wspólnik jest prawdziwą podporą firmy i że czuję dla niego wdzięczność za jego pracę.

Zrozumieliśmy, że to wyuczona lekcja, i nikt się nie odezwał.

Niepodobna było rozmawiać, obecność Urji wszystkich krępowała. Zrozumiał wreszcie, że bez korzyści dla siebie powiększa naszą niechęć przez swoje natręctwo, i oznajmił, że musi odejść, ponieważ ma ważny interes. Biuro spółki wymaga pomocnika, człowieka uczciwego i godnego zaufania, pragnie się z kimś w tym celu porozumieć.

Odetchnęliśmy, kiedy się oddalił, i wkrótce w moim małym pokoiku zrobiło się pogodnie i wesoło. Nawet pan Wickfield

zdawał się być spokojniejszy i obejmował Anię pełnem miłości spojrzeniem, w którem jednak taiły się ból i nieśmiałość.

Ania z ojcem zabrali mię na obiad. Potem pan Wickfield drzemał przy kominku, a ja z Anią usiadłem we framudze okna i opowiadałem jej o mej miłości, o Dorze, o jej ojcu, nadziejach i obawach z powodu zmiany mego położenia. Słuchała mię uważnie i dodawała otuchy, czasem zamyślała się, patrząc na ojca, i widziałem, że jest głęboko wzruszona, że łza drży chwilami pod jej długą rzęsą.

Wróciłem do domu późno, rozmarzony, upojony słowami i towarzystwem Ani. Zdawałem sobie sprawę, czem jest w mojem życiu, jak gorąco ją kocham i jak potrzebuję.

A babka, wysłuchawszy mię cierpliwie, ucałowała w czoło na dobranoc i znów z westchnieniem smutku powtórzyła:

— Mój biedny, ślepy chłopcze!

XVI. STAJĘ DO WALKI Z LOSEM.

Spałem tej nocy dobrze i wstałem nazajutrz z trzeźwą myślą i śmiałem sercem. Miałem rozpocząć nowe, pracowite życie, czekał mię trud, zawody i wysiłki, ale czułem w sobie siły i ochotę zmierzyć się z losem i wydrzeć mu, czego pragnąłem.

Wyobrażałem sobie, że jestem prostym robotnikiem, który z siekierą w ręku idzie w głąb puszczy niezmiernej, aby ścinać olbrzymie stare drzewa przeciwności. A każdy olbrzym, który u stóp moich legnie, to stopień schodów do mojej przyszłości; gdy położę wszystkie, zostanę zwycięzcą.

Zacząłem od wyprawy do doktora Stronga, u którego mogłem się zjawić bardzo wcześnie. Przyjął mnie życzliwie, wysłuchał uważnie, i jak Ania przepowiedziała, był rad niezmiernie z mej kandydatury. Ponieważ mu chodziło głównie o korekty dzieł naukowych, które wydawał obecnie, nie narzucał mi godzin stałych i pozwalał spożytkować czas wolny według możności. Moja biurowa praca zaczynała się o jedenastej, tutaj mogłem przychodzić już o siódmej na parę godzin, a drugi raz wieczorem około dziewiątej. Praca być może bardzo rozmaita: sprawozdania, wyszukiwanie, korekta i t. p. Ofiarował mi za to sto funtów rocznie, zaznaczając, że jest to niewiele, lecz tylko tyle dać może.

Zgodziłem się najchętniej. Był to znów dochód stały i nie do pogardzenia w obecnych warunkach, a przy tem pozostawiał mi pewną swobodę, co zamierzałem w inny sposób spożytkować. Tutaj zacząć miałem od jutra.

Stawiłem się nazajutrz punktualnie i rozpocząłem życie bardzo czynne. Wstawałem o piątej. O siódmej byłem u doktora, przed jedenastą w biurze, po obiedzie trochę wolnego czasu, na który miałem także pewne plany, wieczór znów u doktora i powrót do domu między 10 a 11.

Do Dory napisałem, że pragnę ją widzieć i mam ważne rzeczy do opowiedzenia, ale jestem bardzo zajęty, ojciec może mię nie zaprosi na niedzielę, więc proszę ją, ażeby mię zawiadomiła, kiedy będzie w Londynie u swej ciotki. Ciotka Dory mię lubi, spotykaliśmy się u niej już nieraz, więc byłoby to dla mnie najdogodniej.

Tymczasem skorzystałem z popołudniowych godzin, aby udać się do Traddlesa.

Zabrałem z sobą pana Dicka, gdyż biedak nudził się bardzo w Londynie i babka ubolewała nad tem mocno. Traddles wiedział już trochę, o co chodzi. Napisałem do niego, aby był przygotowany na poważną rozmowę o rzeczach praktycznych.

Zastałem go obłożonego papierami w jego czwartej części kancelarji. Z panem Dickiem przywitał się bardzo życzliwie i nie zaprzeczył wcale, gdy biedny staruszek nazwał go starym znajomym.

Przystąpiłem do rzeczy od razu. Traddles ma już stosunki w dziennikarstwie, ja pragnę się nauczyć stenografji i dostarczać do gazet mów z parlamentu. Jest to bardzo zyskowne i niejeden w ten sposób zaczynał karjerę.

Traddles miał dobry uśmiech na poczciwej twarzy.

— To jest bardzo zyskowne — potwierdził łagodnie — ale długo uczyć się trzeba.

— Dzisiaj kupię podręcznik, a jutro spróbuję.

Traddles patrzył na mnie wielkiemi oczami.

— Nie wiedziałem, że jesteś tak stanowczy — zaczął — ale… ale…

— Mam czas — zapewniałem go bardzo gorąco — jestem bardzo pojętny, dołożę wszelkich starań… no i obiecujesz pomóc mi znaleźć pismo?

— Owszem… owszem — powtarzał — tylko spróbuj przedtem.

— Jabym też chciał pracować — odezwał się pan Dick z powagą. — Dewi świadkiem, że piszę bardzo ładnie.

— Wyraźnie i kaligraficznie — pochwaliłem go z przyjemnością.

Traddles patrzył na niego, pocierając czoło.

— A czy mógłbyś pan przepisywać? — spytał wreszcie — czysto, uważnie, bez pomyłek?

Spojrzeliśmy na siebie z panem Dickiem i żaden z nas nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

— To byłoby możliwe — zacząłem po chwili — gdyby nie Karol I…

I w krótkich słowach dałem poznać Traddlesowi, na czem polega trudność.

— Możnaby jednak spróbować — rzekł Traddles. — Co innego pamiętniki, co innego kopje. Może by się dało rozdzielić te dwie rzeczy.

Posadził pana Dicka przed stolikiem i dał mu do przepisania jakiś papier, objaśniając, że kopja ma być pod każdym względem podobna do wzoru. Próba wypadła dobrze. Obiecał więc dostarczać mu stale roboty, o ile będzie ją spełniał tak sumiennie.

Było to wielkiem szczęściem i ulgą dla babki, że pan Dick otrzymał stałe zajęcie, które przynosiło mu dochód. Naturalnie, że pracował pod jej okiem. Na jednym stoliku pod oknem miał przepisywanie, które wykonywał z największem staraniem, a na drugim leżały pamiętniki. Ile razy jego uwaga odrywała się od roboty pod wpływem Karola I, porzucał tamto i zabierał się do pisania pamiętników. Z początku on i babka mieli z tem trochę kłopotu, ale szło coraz lepiej, a w sobotę otrzymał zarobione przeszło dziesięć szylingów.

Niepodobna opisać radości i dumy, jaką go napełniły te pieniądze. Układał je w portmonetce, zmieniał w różnych sklepach i bawił się niemi całą niedzielę jak dziecko. A w poniedziałek złożył je u babki dla większego bezpieczeństwa.

Poczciwy Traddles szczerze był zadowolony z tego obrotu sprawy, a jeszcze więcej, jak mi się zwierzył poufnie, z posady, jaką wreszcie znalazł pan Micawber.

— Dobrzy ludzie — bronił ich — ale ciągła bieda. Wiem, że mi zwrócą kiedyś, tymczasem jednakże trudno mi było czasem, bo… bo… to nie zbliża terminu mojego małżeństwa.

I wiesz, co ci powiem? Jestem przekonany, że to pod dobrą ręką sumienny pracownik.

Podał mi list, gdyż naturalnie pan Micawber nie pominął sposobności wyrażenia piśmiennie swych uczuć i myśli. Zawiadamiał, że w życiu jego nadeszła oczekiwana godzina i wstępuje na koniec na właściwą drogę. Prochy jego zapewne spoczną na starym cmentarzu, pod cieniem drzew odwiecznych, a kamień grobowy zaświadczy, że spełnił na ziemi wszystkie obowiązki.

Kończył prośbą, ażebym poświęcił im wieczór dzisiejszy, gdyż jutro opuszczają Londyn. Potem właściwy mu podpis:

Nie odmawiaj tej łaski temu, który pozostaje oddanym ci zawsze

Wilkins Micawber.

Poszliśmy obaj.

Przyjęli nas, jak zawsze, z wielką serdecznością. Oboje, pełni najlepszej otuchy, roili i marzyli złote góry. Posada wprawdzie była na początek skromna, lecz życie na prowincji jest o wiele tańsze i syn starszy u znajomego organisty będzie mógł kształcić się w muzyce.

— Daleko państwo jadą? — zapytałem.

— Do Canterbury. Pan Heep, człowiek nadzwyczajny, pracownik niepospolitych zdolności, który własną pracą podniósł się z nicości, ofiarował mi miejsce w swojem biurze.

Byłem tak zdumiony, że nie wiedziałem, co mówić. Zapytałem w końcu, czy pan Micawber jest pewny, że warunki tej umowy dadzą mu dostateczne utrzymanie. Okazało się wtedy, że nie zostały jasno określone, gdyż zależeć to będzie od użyteczności nowego urzędnika. Rozumie się, nikt nie wątpi, że pan Micawber będzie bardzo użyteczny, więc pod tym względem niema niepokoju. Pan Heep, człowiek szlachetny i niepospolity, zostawił nawet zaliczkę na podróż, która wprawdzie nie pozwalała uregulować rachunku z Traddlesem, lecz pan Micawber w mojej obecności zapewniał uroczyście i dał zobowiązanie piśmienne, że dług zaciągnięty spłacać zacznie miesięcznemi ratami.

W każdym razie może to dobrze: pan Micawber będzie miał byt zapewniony i przestanie obciążać biednego Traddlesa, a tam może być pożyteczny. Ma śmieszności, lecz jest uczciwym człowiekiem, tylko — czy zrozumie zawsze, o ca chodzi?

Praca nad stenografią pochłaniała mi wszystkie wolne chwile: nie miałem pojęcia, że to rzecz tak trudna, a teraz dochodziłem chwilami do rozpaczy. Niepodobna, żebym się tego nauczył, żebym spamiętał wszystko! Ogarniało mię zniechęcenie. Ale wtedy stawała przede mną postać Dory i wstydziłem się za owego robotnika, który poszedł z siekierą, żeby zwalać twarde drzewa przeciwności, i już traci odwagę.

Więc pracowałem dalej i mężnie, i zawzięcie, a poczciwy Traddles nie pytał złośliwie, czy prędko się wybierani na posiedzenie parlamentu.

W domu miałem wygody większe niż poprzednio. Ponieważ mieszkanie było zapłacone jeszcze pół roku naprzód, więc babka w niem została razem ze mną i tak je urządziła, że stało się milsze i większe. Każdy miał tu swój kącik, i nikt nikomu nie przeszkadzał, a że Peggotty na parę tygodni wyjechała do brata, więc miss Betsy z panem Dickiem objęła całe gospodarstwo i wszystko szło jak z płatka.

na koniec odebrałem bilecik od Dory. Była w Londynie i wzywała mię na wieczór.

Natychmiast zawiadomiłem doktora, że dzisiaj przyjść nie mogę, i pośpieszyłem do niej.

Powitała mię śliczna, radosna, wesoła, tupiąc na Gipa, który nie przestawał szczekać, i śmiejąc się ze szczęścia; że jesteśmy razem.

W ten cudny nastrój dziecka, które nie znało życia, rzuciłem bez namysłu zapytanie, dręczące mię tak długo niepokojem.

— Doro, najdroższa Doro, mój aniele, czy będziesz kochała nędzarza?

Dora wybuchnęła śmiechem.

— Co ci przyszło do głowy? — zawołała. — Co za śmieszne pytanie! Po co mam kochać żebraka? Ha, ha, ha!

— Doro najdroższa, ja jestem naprawdę ubogi.

— Nie pleć, mój drogi, bo Gip cię ugryzie: dam mu znak i zostaniesz ukarany. Co za śmieszne myśli! Po co mówić takie rzeczy?

Zacząłem jej tłumaczyć. Jestem zrujnowany. Muszę ciężko pracować na kawałek chleba. Wziąłem siekierę i tnę przeciwności życia, ale...

Zaczęła płakać, płakała okropnie, zasłaniając oczy i tuląc się do mojej piersi. Wzywała Boga, ciotki, nazywała mię najdroższym, ale nie rozumiała nic, co do niej mówię, i prawie nie wiedziałem, co z nią począć.

Wreszcie uspokoiła się cokolwiek, słuchała, płacząc ciągle, lecz spokojnie, moich zaklęć, planów, zamiarów, nadziei, odważyła się nieśmiało podnieść oczy.

— Doro, najdroższa Doro — powtarzałem — czy nie stracę twojego serca? Czy pozwolisz mi zdobyć własnemi siłami wszystko, czego pragnę dla ciebie?

— O, tak — szepnęła — tylko nie bądź taki straszny.

— Straszny? — spytałem, zdziwiony tem słowem.

— Tak. Ty nie możesz być przecie "nędzarzem", ani pracować na "kawałek chleba".

— O droga moja! Suchy kawałek chleba w pocie czoła... — Nie, nie, nie! — zawołała, zatykając uszy. — To są głupstwa, wiem o tem, poco powtarzać takie okropności! Będziemy mieli obiad, i ciastka, i wszystko, a Gip musi mieć co dzień kotlecik w południe, bo umarłabym z żalu.

Zapewniłem ją uroczyście, że Gip będzie miał kotlet, a my codziennie obiad i śniadanie, mówiłem o przyszłości, o maleńkim domku, kochanej babce, poczciwej Peggotty, która chciała mi w pierwszej chwili oddać wszystkie swoje pieniądze. Zacząłem mówić o tem, jak pracuję, ale to ją zasmuciło.

— Nie będziesz miał czasu dla mnie! — i rozpłakała się znowu.

Musiałem ją uspokajać. Nadeszła wreszcie ciotka i przelękła się bardzo, zobaczywszy Dorę w takim stanie. Wysłuchała z uwagą mego opowiadania, rozpytywała długo o szczegóły, wypiliśmy herbatę, rozmawiając bardzo poważnie. Ciotka

wyraziła zdanie, że powinienem teraz otwarcie się rozmówić z ojcem Dory. Ani razu nie zaprosił mię w niedzielę od owej wiadomości i muszę to wyjaśnić. Wbrew woli ojca nie możemy się u niej spotykać. Może przekonam go jednak, że potrafię zapewnić szczęście Dorze. Kocha córkę i tego tylko pragnie.

Uznałem, że ma słuszność, i myślałem o tem. Może powinienem to był zrobić zaraz, gdy zmieniło się moje położenie. Jeśli zbłądziłem, muszę błąd naprawić.

Dora siedziała obok, trzymając mię ciągle za rękę, a Gipa na kolanach. Nie śmiała się, była zmęczona i smutna.

Pożegnałem ją z pewnym niepokojem, chociaż nie mogłem wątpić o jej sercu. Biedactwo w ostatniej chwili przytuliło się do mnie z płaczem, zapewniając, że mię kochać będzie wiecznie, ale że nie powinienem jej straszyć.

Wróciłem przygnębiony. Miss Betsy zauważyła to zaraz i opowiedziałem jej wszystko. Pocieszała mię, że Dora jest dzieckiem, lecz dziecko może zmienić się w kobietę. Zganiła tajemnicę przed jej ojcem, choć przyznała, że niepodobna, aby pan Spenlow nie wiedział o niczem, kochając córkę i patrząc na nas przez czas dłuższy. Stanęło na tem, że rozmówię się z nim nazajutrz i sprawa będzie wyjaśniona.

Ale nazajutrz nie było go w biurze, nie widziałem go przez dni parę. Szeptano, że musi mieć jakieś kłopoty, że jest zdenerwowany i bardzo źle wygląda.

na koniec go zastałem. Był rzeczywiście zmieniony i zdenerwowany. Chciałem prosić go o rozmowę w sprawie osobistej, lecz spojrzał na mnie dziwnie i zapytał:

— Czy nie za późno trochę?

Zmieszałem się. Pan Spenlow wskazał mi drzwi gabinetu, weszliśmy.

— Właśnie ja chciałem dzisiaj prosić pana o pewne wyjaśnienia — odezwał się pierwszy. — Nadużyłeś pan mego zaufania.

To mówiąc, wyjął z kieszeni kilka poszarpanych kawałków papieru i położył przede mną.

— Miss Murdstone odebrała to Gipowi.

Poznałem swoje listy, ostatnie listy do Dory.

Zacząłem się tłumaczyć. Czyż ukrywałem kiedy swoją miłość ? Kocham Dorę nad wszystko. Dla niej tylko żyć pragnę, dla niej będę pracował, zdobędę stanowisko, szczęście Dory jest jedynym moim celem.

Zdawało mi się, że wzruszyłem go swoim zapałem. Słuchał w milczeniu, ze spuszczoną głową, nie wybuchnął, lecz zaczął mi przekładać.

Dora jest dzieckiem, rozpieszczonem dzieckiem, wątłem i przyzwyczajona do zbytku. Potrzebuje dobrobytu, a nawet bogactwa. To nie żona dla ubogiego pracownika, który musi swoje godziny sprzedawać. Jest ojcem, pragnie jej szczęścia, powinien nad niem czuwać. Żąda zaprzestania korespondencji z mojej strony, on postara się wpłynąć na córkę.

Zresztą, jesteście oboje zbyt młodzi, jeśli uczucie przetrwa próbę czasu… bez widywania się… korespondencji…

Nie mogłem o tem myśleć. Ogarniała mię rozpacz. Por wiedziałem, że wyrzec się Dory nie mogę, że powinien mieć litość nad nią, bo wszak i ona cierpi…

Przerwał mi spokojnie, ale z wielką stanowczością. Co powiedział, nie zmieni. Żąda słowa, że nie będę widywał się z Dorą, ani pisywał do niej. Daje mi tydzień czasu do namysłu. Jeżeli się nie zgodzę, wyśle córkę zagranicę.

Wyszedłem zrozpaczony. przede wszystkiem jednak przerażała mię myśl, że Dora cierpi. Jest w szponach miss Murdstone, teraz, kiedy jej własny ojciec nie osłania.

Biegałem po ulicach jak szalony. na koniec wpadłem do jakiejś kawiarni i napisałem list do pana Spenlow. Błagałem go po prostu o litość nad własnem dzieckiem, tak wątłem, delikatnem, że ból zabić ją może. Odwoływałem się do jego serca, jakgdybym ja był ojcem, a on najsroższym z tyranów.

Powróciłem do biura i położyłem przy nim list na biurku. Przeczytał go, lecz milczał. Dopiero, wychodząc, zapewnił mię łagodnie, że dba o szczęście córki, że młodzieńcze uczucia przemijają prędko, a jego obowiązkiem myśleć o przyszłości.

Powróciłem do domu i szukałem rady u miss Betsy. Wysłuchała cierpliwie i starała się mnie uspokoić, kładąc nacisk na łagodność pana Spenlowa w tej sprawie. Nie oburzyło go przecież nasze uczucie, a w tem, co mówił, miał wiele słuszności. Dora nie była odpowiednia na żonę dla ubogiego człowieka, lecz jeśli jej uczucie przetrwa próbę czasu, a ja zdobędę środki, aby jej odpowiedni byt zapewnić — wszak zostawił nadzieję.

Po bezsennej nocy udałem się do biura. Postanowiłem prosić o jedno, ostatnie widzenie, choćby w obecności ojca. Tego chyba mi nie odmówi?

Ale w biurze zastałem dziwny nieład: nikt nic nie robił, wszyscy o czemś rozmawiali. Zbliżyłem się z pytaniem do pierwszej gromadki. — Ach, pan nic nie wiesz! Okropny wypadek: pan Spenlow…

— Co się stało?

— Nie żyje.

Mury zachwiały się nagle wkoło mnie i byłbym upadł, gdyby nie koledzy. Posadzono mię na krześle i skropiono wodą obficie. Przyszedłem do siebie, odzyskałem mowę.

— Pan Spenlow… nie żyje? — wyjąkałem z trudem, lękając się słów własnych.

— Wypadek — objaśniono mi natychmiast. — Wczoraj pojechał do domu sam, jak zwykle. Nie wziął człowieka. Konie stanęły przed gankiem, ale w powozie nie było nikogo. Wysłano natychmiast ludzi z latarniami i znaleziono go już nieżywego. Atak apoplektyczny.

Nie umiem opisać, co się ze mną działo. Nie mogłem pojąć tej śmierci człowieka, którego wczoraj widziałem przy biurku, a myśl o Dorze przejmowała mię rozpaczą.

Aby mię chociaż trochę uspokoić, miss Betsy napisała natychmiast do ciotki, zapytując o Dorę. Tegoż dnia jeszcze mieliśmy odpowiedź: Dora zachorowała. Jest pod opieką ciotki, miss Murdstone już wyjechała. Dora ma gorączkę, wzywa ojca i o nim tylko mówi, widzieć jej obecnie nie mogę. Otrzymałem jednakże pozwolenie dowiadywać się o jej zdrowie.

Dnie były teraz smutne, niespokojne. Interesy pana Spenlowa okazały się w stanie opłakanym i nikt nie wątpił, że grożąca mu wkrótce ruina głównie śmierć spowodowała. Po sprzedaniu willi i spłaceniu długów biednej Dorze zostało zaledwie tysiąc funtów. Zrównaliśmy się zatem pod względem majątku i przestałem obawiać się ze strony ciotki jakiejkolwiek przeszkody co do naszych uczuć i projektów na przyszłość. Teraz rozumiałem lepiej, dlaczego pan Spenlow obawiał się mego ubóstwa. Ale zdobędę tyle, że pieszczonemu dziecku nie zbraknie niczego. Otoczę ją miłością i dostatkiem.

Nie mogąc jej widywać z powodu choroby, tem gorliwiej rzuciłem się do pracy. Nie pokonywałem, lecz wprost łamałem trudności, gryzłem zębami wściekłe hieroglify i na próbę udałem się do parlamentu.

Notowałem z najwyższem natężeniem wszystkich władz umysłowych, pot kroplisty okrył mi czoło, język mi wysechł z pragnienia. Lecz w domu sam nie mogłem odczytać swoich znaków.

Pobiegłem zdesperowany do Traddlesa, żeby nie męczyć babki swojem przygnębieniem. Poczciwy chłopak pocieszał mię i obiecywał przychodzić jak najczęściej wieczorami na "lekcje wprawy": on będzie czytał mowy drukowane, a ja będę usiłował je notować.

Był to szlachetny dowód jego prawdziwej przyjaźni. Poświęcał dla mnie chwile nocnego spoczynku, pracowaliśmy nieraz długo po północy, a choć z początku szło mi to bardzo oporem, zacząłem sam spostrzegać, że nabieram wprawy i że nadzieja staje się rzeczywistością.

Ach, gdybym mógł powiedzieć o tem Dorze!

Dora zaczęła z wolna powracać do zdrowia i na koniec pozwolono mi ją widzieć.

Jakże była prześliczna w żałobnej sukience! Rzuciła mi się na szyję i płakała, płakała długo. Usłyszałem głuche warczenie i Dora odwróciła się szybko: to Gip siedział w kominku, owinięty ręcznikiem, żeby nie mógł się ruszyć i przeszkadzać.

Uwolniliśmy Gipa, który szczekał na mnie z zawziętością, i usiedliśmy obok siebie na kanapce.

— Doro, najdroższa moja!

— O Dewi, tylko mię nie strasz!

Zaczęła znowu płakać. Zrozumiałem, że to jest wątły kwiatuszek, z którym muszę ostrożnie postępować. Zacząłem mówić o swojej pracy, ale to ją przerażało. Wspomniałem, że babka chciałaby ją poznać, lecz błagała, żeby nie teraz: boi się "takiej starej". Co chwila miała łzy w oczach, więc żeby ją rozerwać, zaczęliśmy się bawić z Gipem. Pokazała mi wszystkie sztuki, jakich go w ciągu tego czasu nauczyła, śmieliśmy się z niego, kwiatek mój się rozweselił.

Następnym razem zgodziła się na zaręczyny pierścionkiem w obecności ciotek i babki, którą pozna przy tej okazji.

Nastąpiło to wreszcie. Miss Betsy była serdeczna i miła, Dora miała łzy w oczach, ale tuliła się do niej.

Gdyśmy wracali, babka była zamyślona.

— Złoty kwiatuszek — rzekła na koniec z westchnieniem. — Musisz ją bardzo kochać, ślepy chłopcze, i troskliwie piastować w trudnej walce życia. Biedny złoty kwiatuszek sił nie ma.

XVII. SPÓŁKA WICKFIELD I HEEP.

W interesach babki musiałem wybrać się do Duwnu Chodziło o korzystne wynajęcie lub sprzedaż jej posiadłości i jako młody prawnik mogłem jej być użyteczny. Zdaje mi się, że oprócz tego, pragnęła dla mnie pewnej zmiany wrażeń i trochę odpoczynku. A oboje byliśmy bardzo radzi zobaczyć z bliska, co słychać u pana Wickfielda i jak tam biedna Ania radzi sobie pod jarzmem Heepów.

Z miłem wrażeniem ujrzałem znowu Canterbury, z którem łączył się dla mnie szczęśliwy okres życia i tyle jasnych wspomnień. Zdawało mi się, że znów jestem małym chłopcem, gdy zadzwoniłem do drzwi pana Wickfielda.

Pierwszą osobą, która mię tu powitała, był pan Micawber. Zmieszał się na mój widok i mimo całej serdeczności, jaką mu okazywałem, nie mógł przyjść do siebie i odzyskać dawnej swobody. Z przykrością zauważyłem, że nie śmie być szczery jak dawniej. Gdy zapytałem o stosunek z Heep`em, zmieszał się jeszcze bardziej, szybko postąpił ku drzwiom i otworzył je nagłym ruchem, a na koniec oświadczył z miną uroczystą, że pan Heep jest niepospolitym człowiekiem, a on byłby nikczemny, gdyby przez brak dyskrecji nadużył zaufania, jakiem go zwierzchnik obdarza.

Był nadzwyczajnie grzeczny i uprzejmy, ale widziałem, że z prawdziwą ulgą pożegnał mię, kiedy poszedłem na górę.

W bawialnym pokoju nie było nikogo, zapukałem leciutko do drzwi Ani i po chwili uchyliłem je ostrożnie. Siedziała przy stoliku, zajęta pisaniem, i zerwała się szybko z radosnym okrzykiem.

— Aniu, Aniu — mówiłem, całując jej ręce — gdybyś wiedziała, jak się do ciebie stęskniłem! Doprawdy, że nie umiem

żyć bez ciebie, moja droga siostrzyczko, mój najlepszy, najmądrzejszy przyjacielu!

Uścisnęła mi rękę i spojrzała w oczy takim anielskim wzrokiem, iż cichy spokój zstąpił do mej duszy i to błogie zadowolenie, jakie zwykle w jej obecności odczuwałem.

Usiedliśmy przy oknie i zacząłem opowiadać jej o Dorze. Słuchała mię z uwagą, pytała o wszystko, oświadczyła, iż bardzo pragnie poznać moją narzeczoną i przy pierwszej sposobności wybierze się w tym celu do Londynu.

Przy obiedzie spotkałem Urję i jego matkę. Udawał, że nic nie wie o mojem przybyciu. Pani Heep, bardzo słodka i pokorna, starała się przekonać mnie i Anię, że Urja nadzwyczajnie zmizerniał w tym czasie i trzeba niepokoić się o jego zdrowie.

Nie mogliśmy podzielić tej opinji, ale pozostała przy swojem, nie odstępując nas na krok. Rozmowa była ciężka, przymuszona, dawna swoboda zniknęła bez śladu. Gdy po obiedzie Ania usiadła do fortepianu, pani Heep umieściła się tuż przy niej, co chwila opowiadając coś o synu. To prosiła, aby zagrała jakiś ulubiony przez niego kawałek, to zapewniała, że poobiednia muzyka jest dla niego rozkosznym wypoczynkiem, mówiła o jego tkliwości, dobroci, powracając wiecznie do tego przedmiotu.

na koniec Ania wyszła, a z nią jej dozorczyni, pozostaliśmy sami w męskiem towarzystwie. Urja mówił dziś dużo przy obiedzie i nawet głośno zwrócił się do matki, czy jej zdaniem nie za stary jest na kawalera. Spojrzał przy tem na Anię takim wzrokiem, że zacisnąłem pięści, żeby nie zrobić głupstwa.

Teraz stał się nagle jeszcze rozmowniejszy, czy to pod wpływem wina, którego w roli gospodarza dolewał do kieliszka pana Wickfielda, czy wreszcie tak wypadało mu z roli, ułożonej poprzednio.

Wystąpiłem otwarcie za usunięciem butelki, ale zaprotestował przeciw temu z całą obłudą, zapewniając, że pragnie uczcić we mnie gościa i wznieść toast za zdrowie najgodniejszych osób.

I nim zdążyłem mu coś odpowiedzieć, wzniósł kielich za zdrowie miss Trotwood.

Potem nastąpiły inne. Na twarzy pana Wickfielda widoczna była walka między obawą przed Urją i chęcią stawienia oporu. Ale nie śmiał sprzeciwiać się w niczem.

— A teraz, mój wspólniku — zaśmiał się chytrze Urja, gdy ocenił, że umysł starca stracił trzeźwość — wypijemy na cześć najpiękniejszej z kobiet!

Starzec postawił pusty kieliszek na stole, pochylił głowę, ścisnął dłonią czoło i wsparty łokciem o poręcz fotela zdawał się uginać pod jakimś ciężarem nad siły.

— Jestem nadto pokorny, aby pić za jej zdrowie — mówił Urja, wlepiając oczy w sufit — ale śmiem powiedzieć, że ją uwielbiam, ubóstwiam!

Skurczone nerwowo rysy pana Wickfielda wyrażały takie cierpienie, taką moralną mękę, którą ukryć usiłował, że odwróciłem oczy, aby nie patrzeć na niego.

— Miss Anna Wickfield — mówił Urja dalej — jest ozdobą płci swojej, śmiem powiedzieć. Być jej ojcem jest wielkiem szczęściem, ale zostać jej mężem…

Nie chciałbym drugi raz w życiu usłyszeć takiego jęku, z jakim pan Wickfield podniósł się nagle od stołu.

— Co to znaczy? — zawołał Urja, mierząc go ogniem swych czerwonych źrenic, a sam blady jak ściana. — Straciłeś chyba rozum, panie Wickfield. Zdaje mi się, iż jeśli mówię, że pragnąłbym nazwać twoją piękną córkę moją Anią, mam do tego zupełnie takie same prawo, jak każdy inny człowiek. Może o wiele większe,

Objąłem pana Wickfielda i starałem się go uspokoić, zaklinając na miłość córki, ale nie słyszał, co mówię. Wydzierał sobie włosy, bił się pięściami po głowie, wyrywał się, jak gdyby chciał gdzieś uciec, na koniec padł na krzesło i wybuchnął płaczem.

Przemawiałem do niego najczulszemi słowy, przedstawiając, że dla Ani powinien panować nad sobą, że powinien oszczędzić jej widoku tej męki, jaką znosi.

Powoli zaczął jakby przychodzić do siebie, oparł rękę na mojej głowie i szeptał głosem przerywanym:

— Wiem, wiem, Trotwood. Mój chłopcze! Moje drogie dziecko! Ha, patrz na niego! — krzyknął, wskazując na Urję, który zdumiony snać niespodziewanym rezultatem swojej taktyki, stał przy kominku w kącie, zgięty, wykrzywiony, z wyrazem bezsilnej złości. — Patrz na niego! — powtórzył. — To mój kat, oprawca i dręczyciel. Wydarł mi dobre imię, spokój i dom własny!

— Niech się pan zastanowi, panie Wickfield — podniósł głos Urja głucho, ale groźnie. — Pańskie dobre imię? Ja je zachowałem. Ja ratuję pańską opinję. Jeżeli powiedziałem dzisiaj więcej, niż pan byłeś przygotowany usłyszeć, mogę się cofnąć jeszcze. Będzie czas na wszystko. Nic się tymczasem strasznego nie stało!

— O, Trot — mówił pan Wickfield — jaka zmiana od chwili, kiedy wszedłeś do mego domu. Ja sam nie wiem, co popełniłem w obłędzie i jakim sposobem wpadłem pod to jarzmo. Ale wolę, niechaj mię sądzi świat cały, niż dźwigać dłużej…

— Wstrzymaj go, panie Copperfield — zawołał Urja — wstrzymaj, bo stanie się wielkie nieszczęście! Bo sam będzie żałował tego, co powiedział. I pan będziesz żałował, żeś go słyszał. Szalony człowiek! Wspomnij na swoją córkę! Czy nie widzisz, że jestem bardziej pokorny niż zawsze? Cofam, co powiedziałem, i czegoż chcesz więcej?

Pan Wickfield szlochał cicho. Podniecenie minęło, był znów bezsilny, słaby, udręczony, beznadziejnie lecący w przepaść.

Drzwi cicho otworzyły się za nim i Ania bez cienia rumieńca na twarzy stanęła za jego krzesłem i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Jesteś chory, ojczulku — powiedziała. — Chodź ze mną. Oparł głowę na jej ramieniu i pozwolił się wyprowadzić, jak biedne, zawstydzone dziecko.

Oczy Ani na chwilę spotkały się z memi i zrozumiałem, że słyszała dosyć.

— Nie myślałem, że go tak wzburzę — odezwał się Urja, gdyśmy zostali sami. — Może głupstwo zrobiłem; odzywając się

za wcześnie. Ale to nic nie szkodzi. Jutro będziemy znowu przyjaciółmi. To wszystko dla jego dobra. Jestem zawsze pokorny i pracuję dla niego.

Nie odpowiedziałem nic na to zuchwalstwo i udałem się do swego pokoju. Wziąłem książkę i chciałem czytać. Litery jednak były dla mnie tylko czarnemi znakami, które nie miały treści.

Usłyszałem na koniec ciche kroki i na progu stanęła Ania. Była blada i smutna, ale zupełnie spokojna.

— Może jutro nie znajdziemy chwili na rozmowę — rzekła — dlatego przyszłam teraz. Ojciec usnął.

— Aniu, najdroższa Aniu, powiedz, co mogę zrobić, ażeby cię uwolnić od tej żmii?

— Ufam Bogu — odparła. — Miłość i prawda zwyciężą.

— Ale ty... ale on... ale... słyszałaś przecie? Ja nie mogę się z tem pogodzić. To byłby błąd z twej strony w zrozumieniu swego obowiązku! Ani prawda, ani miłość takiego poświęcenia nie wymaga.

Widziałem, że jest głęboko wzruszona, usta jej drżały, nie mogła przemówić i odwróciła twarz w przeciwną stronę.

— Bądź spokojny — szepnęła wreszcie — to nie stanie się nigdy.

Uścisnęła mi rękę i odeszła szybko.

Interesy babki załatwiłem dobrze, korzystna sprzedaż domku dała jej mały kapitał i wracałbym zadowolony, gdyby nie troska o drogich przyjaciół z Canterbury.

Urja wprawdzie nazajutrz spotkał mię niby przypadkiem, zaczął rozmowę, jakby nic nie zaszło, oznajmił, że pogodził się już z panem Wickfieldem, że jest pokorny, wdzięczny, przywiązany i pracuje dla jego dobra. Ale wiedziałem, co mam myśleć o tem wszystkiem.

To też lżej odetchnąłem dopiero w swoim kąciku. Było tu ciasno, ale nie miałem obawy, aby taiła się gdziekolwiek zdrada. Mogę powiedzieć nawet, że z przybyciem babki dziwnie przybyło miejsca w moim domu. Tak umiała wszystko urządzić, ozdobić, że oko z przyjemnością spotykało wszędzie czystość i

estetyczne wrażenie. Znane miłe drobiazgi budziły wspomnienia dzieciństwa w rodzinnym domu.

Dom własny — to świątynia życia rodzinnego. I do tego przybytku wpuścić węża-zdrajcę. Zatruć sobie wszystkie godziny. Nie być nigdy "u siebie". O, biedna Aniu, jakaż to męczarnia!

Miss Betsy wypytywała ciekawie o szczegóły pobytu w Canterbury, musiałem opowiedzieć jej dokładnie rozmowę z panem Micawberem, zamyśliła się, gdy mówiłem o skargach jego żony.

Rozumie się, że będąc w Canterbury, odwiedziłem panią Micawber. Wypadło to podczas godzin biurowych jej męża, który — zdawało mi się — unika mego towarzystwa. Pani Micawber była, jak zawsze, serdeczna, ale bardzo zdenerwowana. Rozpłakała się nawet, mówiąc o małżonku, który, jej zdaniem, zmienił się do niepoznania. Ten dobry mąż i ojciec rzadko bywał w domu, drażnił go widok dzieci, przywiązanie żony, stracił dawną pogodę, która go podtrzymywała nawet w najcięższych chwilach. Ponury, zdenerwowany, drażliwy, gotowy każdej chwili do wybuchu, przerażał ją chwilami i budził najczarniejsze myśli.

Starałem się uspokoić ją, jak mogłem, i posądzałem trochę o przesadę. Pani Micawber była czułą żoną i chciałaby męża mieć zawsze przy sobie, więc gotów byłem wierzyć, że ona jest zdenerwowana, ponieważ mąż zbyt wiele pracuje za domem.

Miss Betsy jednak potrząsnęła głową. Pytałem, co to znaczy, lecz wzruszyła ramionami, dając poznać gestem, że sama nic nie wie.

Ponieważ ślub mój z Dorą ze względu na jej zdrowie i wiek nas obojga odłożyliśmy na rok, kochana, dobra Ania obiecała przyjechać do Londynu przy pierwszej sposobności, ażeby poznać moją narzeczoną.

Oczekiwałem tego z upragnieniem. Dorę kochałem bardzo, lecz była często takiem dzieckiem, że nie umiałem sobie z nią poradzić, a jeśli usiłowałem być poważny, nazywała mię "brzydkim chłopcem" i wybuchała płaczem.

Nie mogłem znieść jej płaczu i przepraszałem gorąco, ale potem dręczyły mię różne obawy i chciałbym już raz wiedzieć, czy ja jestem winien. A któż sprawiedliwiej osądzi od Ani?

Byłem więc uszczęśliwiony podwójnie po otrzymaniu listu, że zamierza spełnić swoją obietnicę.

Powitałem ją z największą radością, ale jakież było moje zadziwienie, kiedy zastałem w sąsiednim pokoju panią Heep, którą jej troskliwy synek przysłał także, ażeby zasięgnęła rady doktora na dręczący ją reumatyzm.

Tym sposobem i tutaj Ania była pod dozorem, gdyż nie mogła zupełnie zaniedbać staruszki.

Opanowawszy niezadowolenie, oświadczyłem, że ją zabieram do Dory. Tam już nie mogła pani Heep nam towarzyszyć.

Biedna Dora przeraziła się ogromnie na wiadomość, że Ania przyszła ze mną, i nie chciała wyjść wcale do bawialnego pokoju. Ania jest za mądra. Ania jest doskonała. Ona nie chce, żeby się z niej wyśmiewano. Ona wie, że jest dzieckiem, ale mnie bardzo kocha!

Namówiłem ją wreszcie, uprosiłem, prawie zmusiłem, i jakież było szczęście, kiedy Ania przytuliła do piersi jej złotowłosą główkę i nazwała także "kwiatuszkiem".

Lody obawy zniknęły od razu, coraz śmielej chabrowe oczy wpatrywały się w słodką, choć poważną twarz Ani, oświadczyła na koniec, że ją bardzo kocha, że Ania jest na pewno dobra i będzie ją także kochała. Nastąpiło zaraz przedstawienie Gipa, a potem: powiedz, Aniu, dlaczego on mówi — i tak dalej.

Widocznie biedne dziecko miało także wątpliwości co do moich poważnych nauk.

Wieczór upłynął nam bardzo przyjemnie. Dora rozweseliła się ogromnie, bawiła nas sztukami Gipa, przytaczała nasze "zabawne" rozmowy, żeby usłyszeć o nich zdanie Ani, i śmiała się serdecznie, nim je usłyszała.

— Kupił mi książkę, żebym znała się na gospodarstwie. Ha, ha, ha! Droga Aniu! To jest okropnie nudne. I nigdy nie spamiętam, co tam napisane. Czy ty znasz taką książkę ? Ja płakałam, bo myślałam, że muszę uczyć się na pamięć. Powiedz,

czy on nie brzydki? Przecież jest służąca, która sama wszystko kupi, ugotuje, upierze, sprzątnie, a ja będę tylko patrzyła. Ale on taki nudny! Żebym go nie kochała, tobym go wcale nie chciała za męża, bo może i potem mówić takie rzeczy.Śmieliśmy się wszyscy. Ania powiedziała, że z nas dwoje dzieciaków, ale że na pewno oboje dorośniemy i będzie nam dobrze.

Dora przyjęła to wybuchem szczęścia. Zarzuciła na szyję Ani śliczne rączki i powiedziała, że jest najmądrzejsza, że nic jej się nie boi i że będzie do niej pisywała listy.

Rozmawialiśmy z Anią o wiele poważniej, kiedy odprowadzałem ją do domu. Mówiła o Dorze, jak o młodszej siostrze, chwaliła jej piękność i wdzięk nadzwyczajny, nie gorszyła się jej dzieciństwem. Młodość i wychowanie były temu winne, lecz życie zrobi swoje. Nie książka będzie jej nauczycielem, a kochające serce i chęć szczera.

Obiecała pisywać do niej i byłem przekonany, że te serdeczne listy dużo więcej zrobią, niż moję także dziecinne nauki.

Nigdy chyba tak mocno nie kochałem Dory, jak po tej rozmowie z Anią.

Dora odczuła także wpływ tej niezwykłej istoty i, gdyśmy o niej rozmawiali potem, powiedziała te pierwsze może niedziecinne słowa:

— Powinieneś mię posłać na cały rok do Ani. Od niej nauczyłabym się wszystkiego i wróciłabym już zupełnie inna. I wiesz? Byłoby mi tak dobrze u niej. Na pewno byłoby mi dobrze!

XVIII. DORA.

Upływały tygodnie i miesiące. Ludzie mówili, że mi się powodzi. Rzeczywiście sam czułem się już pewny siebie, moje zamiary zwykle spełniały się podług życzenia, nie miałem zupełnie obawy o przyszłość, i choć byłem tak młody, czułem z pewną dumą, że ceniono już moje zdanie.

W czem leżała tajemnica tego powodzenia, nie umiałbym określić jasno. Nie wiem, czy byłem silny i stanowczy, lecz zawdzięczałem babce ważne cechy charakteru, które niejednokrotnie dały mi zwycięstwo; to były: punktualność, wytrwałość, porządek. Do czego się zabrałem, spełniłem dokładnie i najlepiej, jak mogłem, oddając się każdej pracy całą duszą. I to budziło w ludziach zaufanie.

"Trot powiedział" — to znaczy, że będzie zrobione. "Trot się podjął" — więc można liczyć na to. Zrozumiałem, że taka opinja jest skarbem i daje duży procent. Miss Betsy z dumą spoglądała na mnie, a Traddles wzdychał ciężko.

Poczciwy chłopak nie zazdrościł mi zupełnie i pomagał gorliwie w pracy nad stenografją, należał jednak do tych nieszczęśliwych, którzy nie umieją nic zdobyć dla siebie. Z jakimi trudem odkładał każdy funt na przyszłość, a gdyby nie miss Zofja, nie byłby zdolny i do tego.

Dzięki niemu, w stosunkowo krótkim czasie, opanowałem wszystkie tajemnice utrwalania głosu mowców w parlamencie i zdobyłem opinję pierwszorzędnej firmy. Najlepsze dzienniki ubiegały się o mnie, skutkiem czego moje dochody stały się bardzo pokaźne. Wkrótce musiałem nawet zrzec się miejsca sekretarza u zacnego doktora i jako prawnik nie dążyłem dalej, gdyż nowa droga otworzyła się przede mną zupełnie niespodziewanie.

Układanie w myśli coraz to nowych obrazków dla własnej przyjemności stanowiło już od dzieciństwa ulubioną moją rozrywkę. Z początku nie zastanawiałem się nad tem, później pragnąłem nadać moim opowiadaniom coraz piękniejszą, artystyczną szatę. Zbudziła się pokusa, aby utrwalić je pismem, a stąd już niedaleko do marzeń autorskich.

Jedno z tych opowiadań podobało mi się więcej od innych, bezimiennie posłałem je do tygodnika i zostało wydrukowane. To ośmieliło mię do nowej próby. Udała się pomyślnie, zapłacono mi dobrze. Odtąd zacząłem już pisywać stale i pod własnem nazwiskiem. Powiększało to znacznie moje dotychczasowe dochody i dawało mi wiele przyjemności.

Czas ślubu z Dorą zbliżał się tymczasem i zaczęliśmy z babką urządzać przyszłe gospodarstwo. Ciotka jej proponowała mi wprawdzie odłożyć to małżeństwo jeszcze na rok, ponieważ Dora była rzeczywiście wątła i nie mogła jakoś powrócić do zdrowia, lecz oboje nie chcieliśmy już tej zwłoki.

Wynająłem niewielki, bardzo miły domek z ogródkiem, a niedaleko drugi dla miss Trotwood, która tu zamieszkała z Dickiem i Peggotty.

Z początku chciałem zabrać Peggotty dla siebie, ale Dora wolała jakąś swoją dawną służącą, więc byłem rad prawdziwie, że babka będzie miała wierną i przywiązaną opiekunkę.

A tymczasem babka z Peggotty urządzały nasz miły domek, który wyglądał, jakby się uśmiechał do nas, tak świecił wśród zieleni czystemi szybkami, białością firanek i jasnemi barwami kwiatów.

Nadszedł na koniec dzień oczekiwany. Przyjechała Ania i narzeczona Traddlesa, miss Zofja. Dora wyglądała cudnie w ślubnym stroju, przysiągłem ją kochać gorąco do śmierci i z dumą wprowadziłem śliczną młodą żonę do naszego mieszkania.Żadne przykre wrażenie nie zaćmiło szczęścia naszej weselnej uczty, do której zasiedliśmy przy otwartych oknach, w radosnym blasku słonecznych promieni.

Wieczorem odprowadziliśmy oboje Anię do dyliżansu. Chciałem nieść Gipa, ale Dorze się zdawało, że on będzie

nieszczęśliwy, bo sobie pomyśli, że jest niewdzięczna i nie dba o niego, ponieważ wyszła za mąż. I tak się rozczuliła tem nieszczęściem Gipa, że zaczęła naprawdę płakać.

Więc oddałem jej ulubieńca.

Konie ruszyły, Ania skinęła nam chustką, nawzajem przesłaliśmy jej życzliwe znaki, i zostaliśmy sami, małżonkowie, powracający do własnego domu!

Jak sen minęły pierwsze chwile szczęścia. Bawiliśmy się niby dwoje dzieci, które uciekły od ludzi do raju, gdzie niema pracy, ani mierzonego czasu, ani godzin obowiązkowych, a może nawet niema dnia i nocy.

Jedliśmy, gdy podano, gdy byliśmy głodni, nie troszczyliśmy się o nic zupełnie, byle być razem, śmiać się, bawić i żartować.

Na nieszczęście, nie mogło to trwać ciągle, trzeba było "pracować na kawałek chleba", choć Dora znieść nie mogła tego wyrażenia, trzeba było nakręcić zegar i uważać na przesuwające się godziny, trzeba było jeść obiad we właściwej porze, wiedzieć, gdzie co leży i gdzie czego szukać, mieć przy sobie kawałek miejsca do pisania, parę krzesełek wolnych, słowem z chaosu marzeń, choćby stopniowo, przejść w krainę rzeczywistości.

A tu czekały nas ostre ciernie. Najpierw służąca, która nic nas nie słuchała, a my obawialiśmy się jej szczerze, gdyż jednem słowem umiała poskromić naszą chęć rozkazywania i oporu. A przecież to jej wina, że wszystko ginęło z pod ręki: kapelusze, trzewiki, książki i bielizna, wszystko gdzieś się zapodziewało w miejscu tak nieprzewidzianem, że byłoby to śmieszne, gdyby nie sprawiało nieraz dużo kłopotu.

W niedzielę sam zabrałem się już do porządku. Sprzątnąłem z mego biurka kieliszki, oliwę, pieprz, solniczkę i chciałem schować do kredensu. Ale w kredensie złożono bieliznę, nawet już używaną, a gdy ją wyjąłem, znalazł się szczęśliwie trochę pognieciony śliczny kapelusik Dory i zgubiony trzewik.

Nad wieczorem zdawało nam się, że już teraz wszystko leży na swojem miejscu i można zacząć życie naprawdę porządne, ale wkrótce powtórzyło się to samo.

Delikatnie ośmieliłem się zapytać Dory, czy sama nie uważa, że musimy zmienić służącą, bo przecież gdyby u nas mieszkała Peggotty, byłoby wszystko dobrze.

Biedna Dora płakała, złożywszy mi głowę na piersi, ale dziwnie wstydziła się Peggotty, a może też nie chciała pozbawiać miss Betsy jej opieki, dość że postanowiła powierzyć tę sprawę swej ciotce.

Zmieniła się służąca, lecz to niewiele pomogło. Wydatki były wielkie, a dochody małe, gdyż wszystko przeszkadzało mi pracować. Dora zdawała sobie z tego sprawę, była przerażona trudnościami życia, martwiła się, że jest złą żoną, i choć ją pocieszałem, jak mogłem, rozchorowała się naprawdę.

Teraz już bez pytania wezwałem Peggotty, a miss Betsy sprowadziła się też na czas jakiś, gdyż stan Dory wymagał troskliwej opieki i trzeba było czuwać przy niej ciągle.

Przez czas choroby przywiązała się bardzo do babki i już sama prosiła, abyśmy zamieszkali razem.

Tak było nam najlepiej. Peggotty wzięła w swoje ręce gospodarstwo, miss Betsy pielęgnowała delikatny, wątły "kwiatuszek", ja mogłem znów pracować, a gdy byłem wolny, nic nie psuło nam godzin szczęścia.

Czasem jednakże śliczna, jasna twarzyczka Dory powlekała się cieniem smutku. To mię przerażało.

— Doro, najdroższa żono, czy jestem złym mężem? — pytałem jej troskliwie. — Co ci jest, mój skarbie?

Miała łzy w oczach, westchnęła głęboko.

— Czy nie żałujesz, Dewi, że się ożeniłeś ze mną? — spytała kiedyś cichym, drżącym głosem.

— Doro! — oburzyłem się na to pytanie.

— Bo widzisz, Dewi, wyście wszyscy mądrzy, wszystko umiecie, nawet ta Peggotty, a ja jestem jak dziecko, chociaż jestem żoną. Ach, Dewi, takbym chciała być taką jak Ania!

— Ania jest dla mnie siostrą — powiedziałem — a ty złotym kwiatkiem, który kocham nade wszystko.

— Chciałabym się nauczyć wszystkiego od Ani — powtarzała mi nieraz.

Była ogromnie dumna z mej autorskiej sławy, chodziła na paluszkach, gdy zasiadałem przy biurku, ale w końcu robiło jej się smutno, że nie mogła ze mną rozmawiać. Na szczęście, była teraz w domu babka, która ją zabierała do swego pokoju i starała się zająć rozmową. Poczciwe dziecko słuchało jej z wielką uwagą i mówiła mi potem, że uczy się życia.

Pan Dick naturalnie odwiedzał nas często. Z początku Dora trochę go się obawiała, ale potem zaprzyjaźnili się szczerze. Razu jednego przyniósł jej ciężkie pudełko i otworzył je z miną tajemniczą. Było pełne świecących, wyczyszczonych monet.

— To mój majątek — szepnął — zbieram dla niej. (To znaczyło: dla miss Betsy). Co tydzień chowam wszystko, co zarabiam. Będzie znowu bogata. Już napisałem testament.

Po tem zwierzeniu Dora pokochała prawdziwie pana Dicka.

Do najbliższych przyjaciół należał też Traddles. Pamiętałem dobrze, ile mu zawdzięczam, pamiętałem braterską jego pomoc i starałem się teraz spłacić ten dług delikatnie, ażeby nie urazić jego uczuć.

Wiedziałem wprawdzie, że długi uczucia nie spłacają się nigdy i nie myślałem o tem. Za przyjaźń zapłaciłem mu przyjaźnią. Ale za pomoc mogłem okazać mu pomoc.

Skończył nareszcie prawo i był adwokatem, a ponieważ autorskie zajęcia zmuszały mię do wycofania się z zawodu, który zabrałby mi cały czas, odsyłałem klientów do Traddlesa. Moje znane nazwisko pociągało ludzi, a jakaś większa praktyczność życiowa pozwalała wybierać dla kolegi sprawy najkorzystniejsze materjalnie, a zarazem wyrabiające mu opinję.

Tym sposobem prawie w rok po moim ślubie oboje z Dorą byliśmy świadkami szczęśliwego połączenia Toma z panną Zofja.

Mogli sobie wynająć także mały domek niedaleko naszego. Pani Traddles, wychowana w szkole oszczędności, była gospodynią praktyczną i miłą, serdeczną i gościnną, pracowitą i umiejącą zająć się domem męża.

Być może, iż dlatego budziła w Dorze pewną zazdrość, zresztą pozbawioną zupełnie niechęci, gdyż mój złoty kwiatek nie był do niej zdolny, — zasmucał ją jednakże widok ładu, porządku, spokoju i rozsądnych rządów w domu pani Zofji.

— Ja tak nie umiem — skarżyła mi się pieszczotliwie. — Nie chciałabym być więcej bez Peggotty. A cobym robiła, kiedyś ty zajęty, gdyby babcia nie chciała mieszkać z nami?

— Pani Zofja starsza od ciebie — pocieszałem swojego ptaszka — przy tem zdrowa i silna, a ty potrzebujesz troskliwej opieki i nie możesz się męczyć gospodarstwem.

— Ja jestem niemądra — szeptała z westchnieniem. — Czy myślisz, Dewi, że zmądrzeję z czasem? I jakby to zrobić? Bo ty możesz żałować, że się ze mną ożeniłeś.

Zapewniłem ją, że żałować nigdy nie będę, i zaczynałem poważne rozmowy o książkach, literaturze, historji. To ją męczyło jednak bardzo prędko, słuchała mię z oczami łez pełnemi, następnie dostawała bólu głowy.

Nie, mój złoty kwiatek musiał zostać takim, jakim go stworzyła natura. Nikt nie zaszczepi gruszek na najpiękniejszej róży, a moja Dora była kwiatkiem polnym.

Prawda, że czasem czułem się dziwnie samotny, nie zaspakajała wszystkich pragnień mego ducha, nie mogłem z nią dzielić się myślą, lecz oddała mi całe czyste serce dziecka i nic poza mną nie miała na świecie.

Najsmutniejsze jednakże było zdrowie Dory. Nikła nam prawie w oczach i traciła siły tak, że po schodach nosiłem ją co dzień na ręku, a babka nie odstępowała jej prawie. To pogorszenie przyniosła nam zima w drugim roku pożycia małżeńskiego. Jeszcze w lecie wszyscy mieliśmy nadzieję, że złe minęło i nie wróci więcej, tymczasem wraz ze słońcem i pogodą znikały wątłe siły coraz szybciej.

— Kiedyż ja będę mogła znów biegać jak dawniej? — skarżyła się biedaczka. — Gip także łazi jak mucha w jesieni, a był niegdyś taki wesoły!

— Gip jest stary, kwiatuszku — powiedziała babka. — Psy starzeją się prędzej od ludzi.

— Gip stary? — powtórzyła Dora z przerażeniem. — Stary?… I co się stanie, jeżeli… jeżeli…

— Gip może żyć długo, chociaż się zestarzał — uspakajała babka — a gdyby… żyć przestał, znajdziemy podobnego.

— O! — zawołała Dora. — Za nic w świecie! Nie chcę!

— Dlaczego, duszko? — zapytała babka, podnosząc na nią oczy od roboty i trzymając w ręku okulary.

— Nie chcę innego — mówiła Dora na w pół z płaczem. — Nigdy, nigdy nie będę miała innego! To byłoby szkaradnie z mojej strony. I cóż ten inny? Nie znał mię przecież dawniej. Nie poszarpał bukietu, który dostałam od Dewi, nie warczał na niego, kiedy pierwszy raz mię spotkał. Coż mi po takim psie? Nie mogłabym go lubić!

— Masz słuszność — rzekła babka.

— Babcia nie gniewa się na mnie?

— Za co, kwiatuszku? Że masz wierne serce? Szanuję to i cenię.

W niedzielę państwo Traddles przychodzili do nas na obiad. Bywało wtedy gwarno i wesoło, Dora śmiała się i klaskała w dłonie, lecz nie wstawała ze swego fotela, chociaż przy pożegnaniu obiecywała zwykle, że za tydzień odprowadzimy ich do domu.

Ale za tydzień było znów to samo. I czułem, że mój ciężar staje się z każdym dniem lżejszy, a nie widziałem na to żadnej rady. Radziliśmy się przecież najlepszych doktorów, wypełnialiśmy wszystkie ich przepisy, ale każdy z nich potrząsał głową i zapewniał, iż… życie ludzkie w ręku Boga.

Więc gdy w nocy usiadłem sam przy swojem biurku, zamiast sięgnąć po pióro i snuć fantastyczne obrazy, oparłem twarz na dłoni i płakałem długo.

Nie śmiałem wypowiedzieć swoich myśli, ale czułem, że stoję na progu nieszczęścia, że mój kwiatuszek rozwija skrzydełka, aby ulecieć ode mnie już na zawsze.

A nie mogłem wyobrazić sobie życia bez niej, bez tej ukochanej i słodkiej dzieciny, która była mi wiosną życia.

XIX. PRAWDA I MIŁOŚĆ ZWYCIĘŻA.

Pewnego dnia otrzymałem bardzo dziwny list z Canterbury. Znałem słabość pana Micawbera do pisania listów patetycznych, w tym jednakże tkwiło coś więcej w formie napuszonego frazesu.

Odwołując się do starej przyjaźni, która ośmiela go wyciągać rękę do człowieka na mojem stanowisku (!), malował w słowach tragicznych swój nastrój. Pozbawiony "pogody i spokoju ducha", z "sercem zatrutem", nie śmiąc "podnieść czoła wobec swych bliźnich", ani "patrzeć w przyszłość", pragnie wychylić do dna "gorzki kielich" i "spocząć w grobie", gdzie "robak zgryzoty ustąpi swej roli łagodniejszemu robakowi ciała". Żegnając świat ten jednak, pożąda raz ostatni "zerwać się z łańcucha" i rzucić okiem w lepszą niegdyś przeszłość. W tym celu na dwie doby uwolnił się od obowiązków, przybywa do Londynu w dniu oznaczonym o godzinie siódmej wieczorem i spotkać go może pod murem Więzienia Królewskiego ten, "kto nie gardzi dłonią, którą niegdyś ściskał przyjaźnie". W post scriptum zastrzeżenie tajemnicy przed panią Micawber.

Z dziwnem uczuciem odczytałem ten list kilkakrotnie, nie mogąc rozwiązać szczególnej zagadki, kiedy wszedł do mnie Traddles.

— Dobrze, że przyszedłeś! — zwróciłem się do niego. — Mam list od Micawbera tak szczególny...

— A ja przyszedłem z listem od pani Micawber, który chciałem, żebyś przeczytał.

Wziąłem podany papier i przebiegłem go szybko oczyma.

Pani Micawber była zrozpaczona stanem małżonka i wzywała rady przyjaciół. Ten dobry mąż i ojciec, niegdyś wzór cierpliwości, przywiązany tak serdecznie do rodziny, dzisiaj unikał prawie domowego ogniska, a jeżeli zjawił się czasem, był

tak zdenerwowany i podlegał tak dziwnym paroksyzmom, że obawiała się o jego umysł. Najłagodniejsze słowo sprowadzało wybuch. Któreś dziecko poprosiło go o parę pensów na cukierek, to zamierzył się na nie scyzorykiem. Wobec tego pani Micawber, przekonawszy się o skrytym zamiarze małżonka odwiedzenia Londynu w sposób tajemniczy, bez wiedzy nawet najbliższej rodziny, błaga starych przyjaciół w imię wszystkiego, co święte, ażeby się starali z nim zobaczyć i zrozumieć przyczyny jego zdenerwowania, naturalnie, nie zdradzając się zupełnie co do otrzymanych od niej informacyj.

Spojrzeliśmy na siebie po przeczytaniu tych listów. Odrzucając zwykłą przesadę wysłowienia się obojga państwa, były one jednak wymownem świadectwem, iż w życiu tej rodziny zaszły poważne zmiany, które muszą mieć jakieś źródło.

Po pierwsze więc, natychmiast odpisaliśmy obaj zacnej pani Micawber, starając się ją uspokoić i obiecując zająć się jej mężem.

Następnie postanowiliśmy udać się razem na miejsce wskazane.

Pan Micawber już oczekiwał, oparty o mur więzienia, z twarzą pełną wyrazu, jakby rozmawiał z chmurami. Zauważyłem jednak pewne zaniedbanie w stroju, a oczy niespokojne wyrażały zmieszanie.

Wymieniliśmy zwykłe uprzejmości, zapytując o zdrowie, lecz i na te najprostsze zapytania odpowiadał z jąkaniem i chwytaniem się za głowę.

Wzięliśmy go wreszcie obydwaj pod ręce i szliśmy wprost przed siebie na przechadzkę.

— Jakże się panu podoba nowy zawód? — odezwał się swobodnie Traddles.

Gość nic nie odpowiedział.

— A cóż porabia pan Heep, nasz przyjaciel? — wtrąciłem znów po chwili.

Micawber stanął nagle w obronnej postawie, pobladł, usta mu drżały, oczy zamigotały jakoś dziwnie.

— Co to jest "nasz przyjaciel"? — przemówił z goryczą. — Jeśli pan Heep jest pańskim przyjacielem, mogę pana tylko żałować; jeżeli go uważasz za mojego, mogę tylko uśmiechnąć się z ironją. Co on porabia? To, co lis, kiedy poluje na zdobycz. A zresztą proszę, porzućmy ten przedmiot rozmowy. Nie chcę, nie mogę więcej I Uciekam od tego.

Skręcił nagle w boczną uliczkę, oparł się o mur domu, wyjął chustkę z kieszeni i zasłoniwszy twarz, szlochał.

— Idźcie sobie, panowie — odezwał się wreszcie. — Nie dla mnie towarzystwo takich jak wy ludzi, nędzny robak sam czołgać się musi w ukryciu.

Mimo to czekaliśmy, aż się uspokoi, a wtedy przemówiłem znów bardzo serdecznie, zapewniając, że babka poleciła mi go przyprowadzić, że łóżko czeka na niego gotowe i że w gronie przyjaciół zapomni o troskach.

— A jeżeli zwierzenie może przynieść ulgę, dlaczegóż nie miałbyś pan być otwartym z nami? — dodał poważnie Traddles. — Przyjaźń to wielkie słowo.

Pan Micawber pochylił głowę i podał nam ręce. Pozwolił się prowadzić, choć widoczne było, że toczy się w nim jeszcze jakaś walka, i że sam nie wie, jak ma postąpić w tym razie.

Babka powitała go bardzo życzliwie. Ucałował podaną sobie rękę i zaraz cofnął się we wgłębienie okna, ocierając chustką pot z czoła, a może łzy z oczu.

Pan Dick wzruszył się bardzo tym widokiem. Jego dobre, dziecięce serce odczuwało żywo każde zmartwienie bliźniego, więc i teraz serdecznie zbliżył się do gościa i kilkakrotnie mocno potrząsnął mu rękę.

To dopełniło miary. Pan Micawber czuł się złamany. Usiadł na najbliższem krześle i daremnie szukał wyrazów.

— Dobroć wasza, przezacni państwo — zaczął wreszcie — pozwoliła mi zapomnieć na chwilę, że nie jestem dziś godzien tej przyjaźni, którą ceniłem jako skarb najdroższy.

— Co do mnie — odezwała się spokojnie babka — zawsze pamiętać będę, ile zawdzięcza panu Trot w najboleśniejszym okresie dzieciństwa. I żałuję, że nie miałam sposobności

wcześniej poznać pana i pańskiej rodziny. Mam nadzieję, że wszyscy zdrowi?

— Zdrowi? Cóż warte zdrowie rodziny wyrzutka, który pomimo męczarni moralnych nie miał dotąd dość siły…

— Za lepsze jutro, panie! — zawołał Traddles, podając mu szklaneczkę ponczu i stukając o swoją, którą natychmiast wypróżnił.

Stuknęliśmy się wszyscy. Pan Micawber spoglądał na nas dziwnym wzrokiem, na koniec poniósł do ust ulubiony napój. Zapominał o wszystkiem, smakując powoli.

— Bywał lepszy? — z uśmiechem zauważył Traddles. — Oto cytryny, cukier, esencja i woda: w imię dobra ogółu pokaż pan swą sztukę.

I podsuwał mu tacę, a biedak bezmyślnie wziął do ręki cytrynę i łyżeczkę, aby się zająć swoją specjalnością.

Lecz zaledwie zaczął tę pracę, nerwowym ruchem złożył znów wszystko na tacy, odsunął ją, wstał z krzesła, wyjął mokrą chustkę i, zasłaniając twarz, wybuchnął płaczem.

— Panie Micawber — rzekłem, biorąc go za ręce — jesteś pośród przyjaciół.

— Pośród przyjaciół! — wybuchnął gwałtownie. — Właśnie dlatego, żem pośród przyjaciół, nie mogę dłużej! To nad ludzkie siły! Nie chcę być zdrajcą, oszustem, złodziejem, — nie! Niechaj dzieci moje umrą z głodu, ja nie będę wspólnikiem i narzędziem pana Heepa!

Babka klasnęła w dłonie, wszystkie oczy spoczęły na zmienionej twarzy biedaka, na której malowało się postanowienie.

— Walka skończona! — zaczął znowu pan Micawber, potrząsając swą mokrą chustką. — Tak dłużej być nie może. Życie mi obrzydło i pragnąłem śmierci, aby ujść ze szponów łotra. Ale dziś nie! Chcę żyć i zdeptać go nogami! Zapłacić mu za wszystko, com wycierpiał. Za moją żonę i za moje dzieci, za ten brud, którym powalał mi ręce, że już nie śmiem uścisnąć dłoni uczciwych przyjaciół!

Nie widziałem go nigdy w takiem uniesieniu i nadaremnie usiłowałem uspokoić. Odsunął moją rękę, mówiąc coraz głośniej.

— Od tej chwili, przysięgam, nikomu nie podam ręki, dopóki nie rozetnę nią na dziesięć części tej podłej, jadowitej i zdradzieckiej żmii, Urji Heepa! Nie przyjmę gościnności i nie spocznę pod uczciwym dachem przyjaciół, póki nie zburzę tej jaskini zbója, w której kryje się kłamstwo i zdrada! I nie skosztuję żadnej przyjemności życia, nie wypiję szklaneczki ponczu, póki nie zmiażdżę tego obłudnika i nie uwolnię ludzkości od jadu najwstrętniejszego na świecie potwora!

Skończywszy tę przemowę, pan Micawber podniósł czoło i prawą rękę, w której powiewała duża i mokra chustka, i ku zdumieniu całego zebrania triumfalnym krokiem zwycięzcy opuścił pokój i zniknął w ciemnościach.

Nie ochłonęliśmy jeszcze ze zdumienia, kiedy nadbiegł posługacz z pobliskiej traktjerni. Przyniósł list, zaadresowany do miss Trotwood.

Niezwykle krótko, choć zawsze właściwym mu stylem, zawiadamiał nas pan Micawber, że godzina sprawiedliwości uderzyła i postanowił spełnić obowiązek, jaki włożyła na niego Opatrzność. W tym celu prosi babkę, mnie i Traddlesa, abyśmy od dziś za tydzień stawili się w Canterbury o godzinie 10-tej rano w Grandhotelu. Potem, spragniony wiecznego spoczynku, legnie w ciasnej mogile.

Nikt z nas nie wątpił, że wezwanie pana Micawbera ma na celu odsłonięcie ukrytych zamiarów i czynów Urji Heepa, zadawaliśmy sobie jednakże pytanie, czy nie będziemy przez to jedynie świadkami przykrego dla stron obu zerwania stosunków. Co pan Micawber, człowiek na pewno uczciwy, ale niezbyt obrotny, a często naiwny, może zrobić takiemu chytremu lisowi, jakim niewątpliwie był Urja?

Czy ta nasza wyprawa nie będzie trochę przedstawieniem, które ośmieszy nas we własnych oczach bez żadnego istotnego rezultatu?

A znowu z drugiej strony, jeśli pan Micawber może uwolnić Anię i jej ojca ze szponów nikczemnego wspólnika, czy wolno nam się cofać od udziału w tak ważnej sprawie?

Babka radziła, abym pojechał z Traddlesem, ona zaś pozostanie z biedną Dorą, która nie wstawała już z łóżka. Ale Dora pierwszy raz w życiu rozgniewała się na ten projekt i z niezwykłą jej stanowczością oświadczyła, że pojedziemy wszyscy, a dla niej Peggotty będzie wystarczającą opiekunką na tak krótki przeciąg czasu.

Nie śmiałem się sprzeciwiać, tak denerwował ją najmniejszy opór pod tym względem. Okazało się wtedy, że umie być stanowczą.

W przeddzień wyjazdu Traddles zawiadomił mię w krótkich wyrazach, że pan Micawber porozumiewał się z nim w tym tygodniu, zasięgając porady prawnej, że sprawa jest poważna i powinniśmy się stawić na pewno.

Wobec tego wyruszyliśmy, zabrawszy z sobą pana Dicka, którego nie mogliśmy zostawić samego. Stanęliśmy w hotelu i nazajutrz rano o godzinie dziesiątej oczekiwaliśmy przybycia pana Micawbera w salonie.

Babka chodziła tam i na powrót po pokoju, Traddles przesuwał rękę pomiędzy włosami i niby czytał dzisiejszą gazetę, ja stałem w oknie i patrzyłem na zegarek

— Pisał do mnie, że zapewne stawi się dopiero o wpół do jedenastej — zauważył Traddles obojętnie.

Spojrzałem na niego: widocznie w ostatnim tygodniu stale porozumiewał się z panem Micawberem. Ale on niby znów czytał gazetę.

na koniec zobaczyłem na rogu ulicy zbliżającego się pana Micawbera. Wkrótce wszedł do pokoju, poważny i wyprostowany, z twarzą bladą i wyzywającem spojrzeniem.

Pan Dick natychmiast mocno wstrząsnął jego ręce.

— Witam szanownych państwa — przemówił głosem uroczystym. — Jestem punktualny. Wezuwjusz wybuchnie za chwilę. Raczcie udać się ze mną do mieszkania pana Wickfielda.

— A czy pan po śniadaniu? — zapytał pan Dick z troskliwością.

— Panie Dixon — odpowiedział pan Micawber, podnosząc na sufit surowe spojrzenie — ja i apetyt dawno jesteśmy sobie obcy!

— Dick — szepnęła babka i zmieszany staruszek cofnął się natychmiast.

— Proszę wyjść za pięć minut — odezwał się znów pan Micawber. — Idę pierwszy.

Traddles podał rękę miss Betsy, postępowałem za nim z panem Dickiem.

Kiedy weszliśmy do domu, pan Micawber siedział przy biurku na zwykłem swojem miejscu.

— Dzień dobry — przemówiłem, gdyż trzeba było coś powiedzieć. — Jak się ma pan Wickfield?

— Pan Wickfield niezdrów dziś, leży — odpowiedział głośno — lecz miss Wickfield będzie państwu bardzo rada. Proszę.

I wprowadził nas do jadalnego pokoju obok gabinetu Urji.

— Miss Trotwood, pan Dawid Copperfield, pan Tomasz Traddles, pan Dixon — wyliczał nas z kolei.

Urja zerwał się z miejsca, zaskoczony naszem przybyciem i zadziwiony pewnie niemniej od nas samych. Jego ruchliwe oczy zamigotały czerwono, podniósł rękę do czoła i widocznie usiłował zebrać myśli i zrozumieć, co oznaczać może to zbiorowe najście.

Ale prędko się opamiętał i, zginając na wszystkie strony, zapewniał o swem szczęściu i pokorze z powodu naszego widoku. Pochwycił moje ręce, których nie mogłem usunąć, nie śmiał sięgnąć po rękę babki, a Traddles ukłonił mu się obojętnie.

— Nieoczekiwana przyjemność — powtarzał, kręcąc się po pokoju. — Jestem pokorny człowiek, ale…

W tej chwili weszła Ania w towarzystwie pana Micawbera. Zwróciliśmy się do niej. Zrozumiałem na pierwszy rzut oka, że jest wtajemniczona w całą sprawę, mówił o tem poważny wyraz bladej twarzy i spojrzenie ufnych jej oczu. Nie okazała żadnego

zdziwienia z powodu naszej obecności i witała wszystkich z uprzejmą powagą.

A więc pan Micawber znalazł w niej oparcie. Napełniło mię to otuchą. Rozsądne słowo Ani musiało zaważyć i na nim, a jej spokój dodawał mu sił i odwagi w walce niewątpliwie trudnej.

Jednocześnie zauważyłem porozumiewawcze spojrzenie pomiędzy Micawberem i Traddlesem, który usunął się na bok.

Ania prosiła, abyśmy usiedli, zajęła miejsce obok babki.

Pan Micawber z ogromną linją za tużurkiem stanął we drzwiach.

— Możesz odejść — zwrócił się Urja do niego. Lecz pan Micawber nie ruszył się z miejsca.

— Na co czekasz? — powtórzył niecierpliwie. — Powiedziałem ci, że możesz odejść. Czy słyszysz?

— Słyszę — odparł wyniośle.

Urja spojrzał na niego z hamowanym gniewem.

— Więc ruszaj do roboty. Zdaje mi się, że będę musiał rozstać się z panem wcześniej, niż myślałem. Czego chcesz jeszcze?

— Chcę — przemówił Micawber głośno, choć blady był jak ściana — chcę powiedzieć wobec tych świadków, że jest na świecie oszust imieniem Urja Heep!

Urja zachwiał się i upadł na krzesło, jak gdyby ugodzony nagłym ciosem. Wściekłość i przerażenie nadały jego twarzy wyraz wstrętny i straszny. Opamiętał się jednak.

— Ha! To spisek — zawołał. — Zmówiliście się z moim sługą! Przekupiliście go. Ale ja was się nie boję. Mam was wszystkich w ręku. Zazdrościcie mi, że z niczego się wyniosłem o własnej sile. He, panie Copperfield…

— Panie Micawber — przerwałem stanowczo — postępuj z tym człowiekiem, jak na to zasłużył.

— Ha, ha! — zaśmiał się Urja. — Przekupiony sługa, wyrzutek społeczeństwa, którego wyciągnąłem z błota, przyjaciel włóczęgi, który zdechłby z głodu, gdyby go nie przygarnęła z litości stara baba. Znam też dobrze i twoje tajemnice, miss Trotwood, miałem przyjemność znać twego małżonka. Ha, ha, ha! A co do pani, miss Wickfield, radzę ze względu na ojca, każ

tym ludziom milczeć i odejść. Mogę zgubić go jednem słowem, jeśli mię doprowadzą do ostateczności. Pomyśl pani, miss Wickfield. Co zaś do tego pana... — odwrócił się, szukając oczyma Traddlesa.

— Jestem — odezwał się Traddles uprzejmie, wchodząc z panią Heep do pokoju. — Pozwoliłem sobie przedstawić się pańskiej matce.

— Kto pan jesteś? — zawołał Urja niespokojnie. — Nie znam cię? Czego chcesz tutaj?

— Jestem upełnomocnionym prawnikiem i plenipotentem pana Wickfielda w sprawach spółki — odpowiedział łagodnie Traddles. — Mam w kieszeni odpowiednie dokumenty.

— Stary osioł spił się i podpisał bez przytomności, coście mu podsunęli — ryknął Urja. — Podpis wyłudzony podstępem...

— Niejeden podpis wyłudzony został od człowieka chorego podstępem i gwałtem — zauważył spokojnie Traddles. — o to nam właśnie chodzi. Panie Micawber, proszę, odczytaj akt oskarżenia.

— Uri! — zawołała pani Heep płaczliwie. — Upokórz się, moje dziecko.

— Milcz, matko — przerwał Urja. — To rzecz moja. Więc jest akt oskarżenia? Ha, wysłucham!

Usiadł z miną wyzywającą i bezczelną.

— Zaczynaj, panie Micawber — powtórzył spokojnie Traddles.

Pan Micawber poprawił linję, sięgającą mu z poza tużurka do brody, wyjął z kieszeni złożone we czworo papiery i blady, lecz panujący nad sobą, rzucił nam majestatyczne spojrzenie, następnie zaczął czytać głosem uroczystym zarzuty przeciw swemu zwierzchnikowi, spisane w formie listu.

— Przezacne panie i panowie!

Lekki uśmiech przemknął po ustach Traddlesa, a miss Betsy szepnęła półgłosem:

— On chyba myśli nawet w formie listu!

Tymczasem p. Micawber długo i patetycznie odczytywał, jakim sposobem został urzędnikiem i narzędziem oszusta, Urji

Heepa. Opisywał, jak od kolebki nędza, rozpacz i szaleństwo "zasiadły u jego wezgłowia". Mówił o swej rodzinie, która nie zaznała jeszcze "słodyczy życia", o zaślepieniu ludzi, którzy go nie oceniali. Zdobił styl krasomówczemi ustępami z Szekspira i innych autorów, z czego był widocznie dumny. Dopłynął wreszcie do stosunku z Urją, który jako "przyiaciel", pożyczając mu pieniędzy, uzależnił go od siebie przede wszystkiem. Był w jego ręku i na jego łasce, zanim przyjął ofiarowane mu miejsce. Przyjął je w dobrej wierze, uważając swego chlebodawcę za człowieka niepospolitych zdolności. Urja natomiast sądził, że ma do czynienia z głupcem i niedołęgą. Z wolna odsłaniał karty i zaczął go używać do nieczystych swoich interesów. Prawda, że Micawber nie od razu umiał się w nich zorjentować: wrodzona prawość i uczciwość nie pozwalały mu widzieć w zwierzchniku fałszerza, łotra i oszusta, ale — "podnosiła się tajemnicza zasłona" i nie mógł wątpić dłużej. Wówczas w duszy jego zaczęła się tragiczna walka. Oplątany przez Heepa materjalnie, niepewny moralnie drogi, którą powinien był kroczyć ze względu na różnorodne, sprzeczne obowiązki, dochodził do szaleństwa. Tracił zdrowie, unikał domowego ogniska i kochającej go tkliwie rodziny, zdawało mu się, że z sieci pająka pozostało mu jedno wyjście — samobójstwo!

Lecz oto głos przyjaciół i ich serdeczna życzliwość wskazały mu prawdziwą drogę obowiązku, i wstąpił na nią mężnie, aby pokonać groźnego potwora. Oskarża Urję Heepa...

Nagle Urja, który napozór spokojnie siedział zgięty we dwoje, błyskając krwawemi oczami, gwałtownym ruchem rzucił się na Micawbera, jak gdyby mu chciał wydrzeć oskarżenie i poszarpać na szczątki.

Ale Micawber ruchem błyskawicznym wysunął z za tużurka długą linję i z rycerskim rozmachem ciął nią w rękę wroga, która opadła, jakby przetrącona szablą.

Poskoczyliśmy z Traddlesem na pomoc, lecz było to zbyteczne. Urja, zgrzytając z wściekłości zębami, cofnął się do swego kąta.

Pan Micawber stał chwilę z podniesioną linją, niby rycerz, wyzywający do walki. Mimo całej powagi położenia musiałem się uśmiechnąć.

— Czytaj pan dalej — urzędowym głosem przemówił wtedy Traddles.

— Gotów jestem odeprzeć siłą wszelką napaść — wygłosił pan Micawber patetycznie.

Lecz napaści nie było, więc rozpoczął znowu swoją powieść.

Tragedja duszy jego zaczęła się ostatecznie już przed rokiem, od chwili znalezienia w dawnem mieszkaniu Heepa, które zajmował z rodziną, niedopalonego notatnika Urji. Odtąd nie mógł już wątpić-, że ma do czynienia z fałszerzem i oszustem.

Zdawało się, że Urja rzuci się na niego znowu, ale spojrzawszy na nas, zaniechał zamiaru.

— Uri — płaczliwie zawołała matka — upokorz się, mój synu!

Nic jej nie odpowiedział.

— Od dwunastu miesięcy rozpocząłem śledztwo, tajemne i niebezpieczne dochodzenie, które mi pozwoliło wyjaśnić i uporządkować przestępstwa Urji Heepa. Wiem w tej chwili, że zginę w więzieniu za długi, rodzinę moją czeka śmierć głodowa, ale sprawiedliwości uczyniłem zadość i krzywda zostanie pomszczona. Błagałem tu zgromadzonych, aby na kamieniu, który prochy moje przyciśnie, były należne mi słowa: Człowiek uczciwy.

Muszę przyznać, że mimo wszystko, czegośmy oczekiwali w tej chwili, cierpliwość nasza była bliską wyczerpania.

na koniec zaczął znowu podniesionym głosem, rzucając na Heepa wyzywające spojrzenie i wskazując go linją.

Pierwszy zarzut polegał na tem, iż korzystając z niepoczytalności pana W. w pewnych godzinach, Heep właśnie wtedy wymagał od niego załatwiania najważniejszych interesów i podsuwał mu do podpisywania dokumenty, których treści pan W. w danej chwili nie znał. Takim sposobem zyskał upełnomocnienie do podnoszenia sum i depozytów, złożonych u pana W., które niby z jego rozkazu umieszczał w nieistniejących przedsiębiorstwach. Tym sposobem wina

oszustwa obciążała pana W. Urja zaś oprócz tego uzyskał od pana W. podpis, świadczący, że pan W. od tegoż Urji pożyczył znaczną sumę, za którą jest odpowiedzialny całym majątkiem swoim i wolnością.

— Dowody? — krzyknął Urja. — Oskarżam cię o potwarz! Złóż dowody, bo cię... ja cię...

— Dowody są u mnie — spokojnie rzekł Traddles. — Wyratowany z popiołów notatnik i inne dokumenty.

Urja chwycił się za głowę.

— Upokórz się, synu! — zawołała matka. — Pokorą wszystko zrobisz!

— Zobaczymy! — rzekł Urja. — Czekaj matko. Musimy wiedzieć wszystko. Jeszcze nie wiadomo, kto się upokorzy w końcu.

— Powtóre — donośnym głosem zaczął znów pan Micawber — oskarżani Urję Heepa o wielokrotne fałszowanie podpisu pana W. w księgach i na dokumentach. Między innemi pan Heep sfałszował pokwitowanie pana W. na otrzymane jakoby od niego dwanaście tysięcy funtów, których w rzeczywistości nigdy nie oglądał. W notatniku, będącym w posiadaniu pana Traddlesa, znajdują się szczegóły.

— Zgodne z prawdą — powtórzył Traddles urzędowo — sfałszowany dokument jest u mnie.

Urja poskoczył do biurka i gwałtownie otworzył szufladę — lecz ręce mu opadły.

— Upokórz się, mój synu — nalegała matka.

— Kradzież — zawołał Urja. — Kradzież papierów z biurka! Oskarżam cię o kradzież!

— Mów pan dalej — przemówił urzędowo Traddles.

— Pomijając fałszerstwo ksiąg, które wykaże rewizja, zwracam uwagę szanownych słuchaczy na ostatni podstęp mego byłego zwierzchnika. Korzystając z przewagi swej nad panem W., który nie śmiał i nie umiał stawić mu oporu, Urja Heep w zwykły sposób zmusił go do podpisania dokumentu, na mocy którego pan W. zrzekał się udziału w spółce i potwierdzał akt sprzedaży rzeczonemu Urji Heepowi nawet sprzętów tego

mieszkania w zamian za skromne raty dożywotnie, które miał otrzymywać kwartalnie. Tym sposobem w chwili obecnej jesteśmy pozornie w mieszkaniu pana Heepa i korzystamy nawet z jego krzeseł. Pożyczając zrujnowanemu panu W. pieniędzy na lichwiarskie procenty, jego własne zresztą pieniądze skradzione, pan Heep bogacił się zyskami lichwy, a pan W., oplatany w jego sieci, czuł na sobie i dźwigał ciężką odpowiedzialność wobec własnego sumienia i prawa za wszelkie nadużycia i oszustwa.

Na wszystko to i wiele innych rzeczy, których niepodobna tu było wyniszczać, złożyłem niezbite dowody w ręce prawnika i pełnomocnika pana W., pana Tomasza Traddlesa.

Myśleliśmy, że koniec i powstaliśmy z miejsc, lecz pan Micawber uroczystym ruchem podniósł prawicę z linją i powstrzymał nas spojrzeniem i słowem:

— Za pozwoleniem!

Trzeba więc było pozwolić mu skończyć.

Wrócił znowu do siebie i swojej rodziny, ciężkiej walki i trudu, który podjął w imię przyjaźni i sprawiedliwości, zaznaczył mocno, że uczynił to bezinteresownie i oczekuje jedynie więzienia z powodu niemożności uregulowania przyjętych zobowiązań i spoczynku w przedwczesnej mogile.

Pamięć ludzka jednakże musi o nim świadczyć, że jak bohater poematu — skonał: "za ojczyznę, rodzinę i piękność".

Nie darował nam nawet długiego podpisu, zakończonego wreszcie imieniem i nazwiskiem. Poczem wręczył manuskrypt babce, ogarniając nas wszystkich pełnem triumfu spojrzeniem.

Nagle Urja poskoczył z miejsca kocim ruchem. W rogu pokoju stała znana mi szafa żelazna. Klucz tkwił w zamku. Heep otworzył ją gwałtownie. Była pusta.

— Kradzież — krzyknął głosem zdławionym. — Książki skradzione.

— Tylko przeniesione w bezpieczniejsze miejsce — zauważył Traddles spokojnie. — Oddane zostały pod moją opiekę.

— Kiedy? Kiedy? — rozpaczał Urja.

— Dziś rano — odparł Micawber. — Wziąłem klucz cd pana jak zwykle.

— Porachuję się z tobą — wrzasnął i bez względu na groźną linję chciał rzucić się na Micawbera z pięściami, ale w tej chwili, ku zdumieniu wszystkich, miss Betsy poskoczyła do niego gwałtownie, chwyciła go za gardło i, trzęsąc jak wiórem, wołała w uniesieniu:

— Oddawaj moje dobro, niegodziwcze! Oddaj, coś skradł, rabusiu, oszuście, złodzieju!

Poskoczyliśmy obydwaj z Traddlesem, ażeby go uwolnić, uspokajając babkę, że odbierze wszystko, co jej się należy. Widocznie jednak miała przekonanie, że Heep ukrywa jej dobro w halsztuku, gdyż nie chciała go puścić żadną miarą.

Ustąpiła na koniec i, drżąc ze wzruszenia i gniewu, zajęła swe poprzednie miejsce. Lecz natychmiast zwróciła się do Ani:

— Dopóki byłam przekonana, że jestem ofiarą pomyłki z winy twojego ojca, starego i zacnego przyjaciela, mogłam milczeć, wyrzec się straty i nie miałam do niego żalu. Ale skoro wiem teraz, kto mię skrzywdził…

— Upokórz się, synu! Upokórz się synu! — błagała matka Urji.

Lecz on gwałtem prawie posadził ją na krześle i zuchwale stanął przed nami.

— Czego chcecie? — zapytał. — Czego ode mnie żądacie?

Traddles mu odpowiedział.

— Pozostałych ukrytych dokumentów, stwierdzających twoje przestępstwa. Są, zdaje się, pod opieką twojej matki.

— A jeżeli nie oddam?

— Policja czeka na moje wezwanie w hotelu. Lecz nie koniec na tem. Oddasz dobrowolnie wszystko, coś zagrabił, do ostatniego szeląga.

— Doprawdy? — spytał Urja.

— A zanim to nastąpi, nie wolno ci opuszczać swojego pokoju, ani komunikować się z kimkolwiek. Chętnie jednak zrzeczemy się sprawy sądowej, nie ze względu na ciebie, jak się zapewne domyślasz, lecz gotowi jesteśmy cię puścić i nie wszczynać żadnego dochodzenia, jeśli zwrócisz pieniądze i dasz nam

piśmienne przyznanie się do winy, stwierdzone własnoręcznym podpisem wobec świadków. Wybieraj.

— Upokórz się, mój synu — powtarzała pani Heep z płaczem. — Bądźmy pokorni, jak dawniej. Zawsze ci mówiłam, że to najbezpieczniej. Uri, Uri, posłuchaj matki!

— Czy mam wezwać policję? — spytał Traddles. Potrząsnął rękami, jakby czuł na nich kajdany, objął nas wzrokiem pełnym nienawiści i zwrócił się do matki.

— Oddaj, matko — wybełkotał niewyraźnie.

— Pan Dick pójdzie z panią — rzekł Traddles.

Pan Dick podniósł głowę i z godnością spełnił zlecenie, o tyle trudne, że wrócił, dźwigając za staruszką dość dużą i okutą skrzynkę, w której widocznie Urja przechowywał ważne papiery.

Pani Heep wręczyła kluczyk Traddlesowi, który otworzył skrzynkę i spokojnie przejrzał jej zawartość.

— Mamy wszystko — rzekł wreszcie — pozostaje tylko napisanie przez Urję zeznania.Łotr w milczeniu z zaciśniętemi zębami spełnił, co mu kazano. Napisał, co mu Traddles podyktował, podpisał się wyraźnie, pod nim wszyscy świadkowie, wreszcie Traddles jako urzędnik państwowy. Mieliśmy w ręku wszystkie dowody naszej własności, mogliśmy każdej chwili ją odzyskać.

— Jesteś pan wolny — rzekł Traddles do Heepa. — Możesz odejść.

— Nim to nastąpi, pragnę wam powiedzieć, że wszystkich was nienawidzę, gardzę wami, najmocniej jednak tobą, Copperfieldzie. Od pierwszego poznania miałem wstręt do ciebie. Grałeś rolę panicza, ukrywałeś przeszłość, a przecież ją poznałem. I czułem się wyższy od ciebie. Miałem zawsze dom własny, nie byłem włóczęgą, nie wycierałem kątów u żadnych Micawberów, nie żywił, nie wychowywał mię nikt z łaski. Wszystko sobie samemu zawdzięczałem. I dlatego kazali mi wam usługiwać, mieć staranie o waszym koniu, waszym wózku. To do mnie należało, do pokornego sługi! Musiałem być pokorny, bo mną nikt się nie opiekował, nic nie miałem, prócz

swojej głowy. Spotkamy się jeszcze w życiu i każdemu z was zapłacę wedle zasług. Nie rachujcie na żadne względy!

Zniknął wreszcie za drzwiami, uprowadzając matkę.

Słuchaliśmy zarzutów jego z ciekawością, gdyż malowała się w nich cała nikczemność tej duszy. Pozwalały poznać go do dna.

Tegoż dnia jeszcze babka odwiedziła panią Micawber. Znaleźliśmy się tutaj wszyscy oprócz Ani, która została przy ojcu. Pomiędzy małżonkami przywrócone zostało zaufanie, oboje czuli się bardzo szczęśliwi i dumni. Pan Micawber, mimo pozornej skromności i szczerego zadowolenia ze swej roli i triumfu, w głębi duszy uważał się za bohatera, a podziw jego żony dla zasług i wielkości męża po prostu nie miał granic. Złożył w jej ręce odpis aktu oskarżenia, bardzo czysto i starannie napisany, aby go odczytała w wolnej chwili i schowała dla dzieci na pamiątkę. Patrząc na nich, zdawaliśmy sobie sprawę, że pomimo drobnych śmieszności są to ludzie z gruntu dobrzy i uczciwi, dzięki czemu wiele im dziś zawdzięczamy. Spłacić ten dług wdzięczności było naszym obowiązkiem.

Patrząc na gromadkę dzieci, onieśmielonych naszą obecnością, babka poruszyła tę kwestję. Zrobiła to z niezwykłą u niej delikatnością, przypominając smutny okres w mojem życiu, kiedy w domu państwa Micawber znalazłem życzliwą opiekę. Nazwała to zrządzeniem Opatrzności, bo przecież wówczas zawarty stosunek przyczynił się do wyzwolenia nas wszystkich ze szponów nikczemnego łotra. Zdajemy sobie sprawę, jak wiele zawdzięczamy dziś panu Micawberowi i pragniemy gorąco dług ten spłacić. Niech nam wskaże do tego drogę i sposobność.

Naturalnie pan Micawber oznajmił z godnością, że spełnił tylko obowiązek uczciwego człowieka i wydarł samego siebie z hańbiącej i poniżającej niewoli. Jest nam wdzięczny, że byliśmy do tego pobudką.

Niemniej przeto obowiązany jest zwrócić uwagę na odwrotną stronę tej sprawy. Ma rodzinę, której los winien zabezpieczyć. Niewątpliwie zostanie wkrótce uwięziony, gdyż weksle jego

pozostały w ręku Urji: były jego własnością. Oddał istotnie poważną przysługę ludziom szlachetnym, swoim przyjaciołom, i raduje to jego serce. Nie przyjąłby nigdy datku pieniężnego, lecz sądzi, że miss Trotwood nie odmówi mu drobnej pożyczki, którą ureguluje natychmiast po znalezieniu nowej podstawy bytu dla rodziny, dając tymczasem prawne i piśmienne zobowiązanie Znaliśmy dobrą wiarę pana Micawbera wobec jego wierzycieli i wiedzieliśmy wszyscy, jak znikoma jest taka po moc. To też przyjmując jego propozycję i przypominając jak wielkie trudności miał zawsze w znalezieniu pracy, zapytała go babka, czy nie myślał nigdy o emigracji do Australji.

Zapewnił ją z głębokiem przekonaniem, że było to marzeniem jego życia.

Pani Micawber trochę zaniepokojona, przede wszystkiem informowała się o klimat. Usłyszawszy, że jest i piękny, i zdrowy, wyraziła nadzieję, że w odpowiednich warunkach mąż jej zostałby niezawodnie w krótkim czasie gubernatorem której z wysp oceanu Spokojnego.

— Zapominasz, kochanku, że na to potrzebny kapitał, którego zdobyć nie możemy — posępnie zauważył pan Micawber.

— O to nie należy się troszczyć — żywo odparła babka — przyjaciele oddadzą panu przysługę za przysługę, a pożyczkę zwrócisz z łatwością, zająwszy w Nowym Świecie odpowiednie dla siebie stanowisko.

Słowa-babki uspokoiły zupełnie skrupuły pana Micawbera, podnieciły jego energję i napełniły bujną wyobraźnię słodkiemi marzeniami.

I my byliśmy również przekonani, że w nowem otoczeniu i warunkach człowiek pracowity i nie pozbawiony zdolności znaleźć może właściwe dla siebie zajęcie.

Rozpoczęły się przygotowania do drogi. Parę razy musieliśmy wykupywać go z rąk Urji Heepa, pani Micawber do ostatniej chwili łudziła się nadzieją, że wzruszona ich losem rodzina przynajmniej dobrem słowem zechce ich pożegnać, — nie przeszkodziło to jednak, że w miesiąc po bohaterskim czynie w

Canterbury pan Micawber z rodziną był na pokładzie statku, odpływającego do Nowego Świata.

Jednocześnie odpływali też nasi znajomi, ludzie zacni i pracowici, którym powierzyliśmy część funduszu, przeznaczonego dla naszych przyjaciół. Tym sposobem zabezpieczyliśmy ich na dłużej.

I nie zawiodły tym razem nadzieje. Pan Micawber istotnie został lepiej oceniony w społeczeństwie Australji, a po roku otrzymał nawet godność burmistrza. Zaczął też spłacać długi drobnemi ratami.

Więc dług wdzięczności został szczęśliwie spłacony.

XX. KWIATY I CIERNIE.

Jakże miłym stał się dom pana Wickfielda po ustąpieniu Heepów. Dawna cisza, dawna pogoda i spokój, swobodny uśmiech Ani i powrót do zdrowia jej ojca.

Ania czuwała nad nim z troskliwością kochającego serca, on, posłuszny jak dziecko, szczęśliwy był, ulegając jej słodkim wymaganiom. Bolesne przejścia lat ostatnich zrujnowały mu zdrowie, które wymagało teraz serdecznej opieki i dłuższej, poważnej kuracji. Lecz oboje wierzyli, że to minie w atmosferze spokoju i zadowolenia i z ufnością patrzyli w przyszłość.

Miss Betsy odzyskała cały swój majątek i marzyła o tem, aby powrócić do Duwru. Odkładaliśmy to jednak do czasu, kiedy stan zdrowia Dory o tyle się polepszy, że będziemy mogli przewieźć ją wraz z babką. Mieliśmy jeszcze niepłonną nadzieję, że odżywczy, uzdrawiający wpływ morskiego tchnienia pokrzepi wątłe jej siły.

Pan Dick tymczasem robił ogromne latawce, opiewające światu, że wkrótce przybędzie do Duwru i zamieszka znowu w dawnym pokoiku.

Można by więc powiedzieć, że złowrogie chmury rozproszone zostały szczęśliwie, gdyby nie to, że w moim małym domku nie chciało się wyjaśnić, nie chciała powrócić pogoda. Złocista główka Dory nie podnosiła się prawie z poduszki, umilkł jej śmiech wesoły, lekkie i skoczne nóżki leżały bezwładne, niezdolne dźwignąć wątłego jej ciała.

Ania dla kuracji ojca przyjechała na czas dłuższy do Londynu i wszystkie wolne chwili spędzała w pokoiku Dory. Była dla niej prawdziwą matką i nikt jej zastąpić nie umiał.

Pewnego dnia Dora, trzymając jej rękę, odezwała się w zwykły swój dziecinny sposób:

— Wiesz, Dewi, mnie się zdaje, że jestem waszą córeczką. Czasem myślę, że to się jakoś poplątało, że byłoby naprawdę lepiej, gdybym urodziła się waszą córeczką. O, jakby to było wesoło!

Mimo przykrości tak długiej choroby biedne dziecko zachowało anielską pogodę. Lubiła śmiać się, gdyśmy zasiedli koło niej i rozmawiali w sposób żartobliwy. Z Anią jednak miewała poważne rozmowy, gdy były same, a potem obie miały oczy zapłakane.

Czyżby biedne dziecko przeczuwało prawdę?

Dla nas nadzieja gasła z każdym zachodem słońca i nie budziła się rankiem. Choroba postępowała bardzo szybko, gdyż w wieku Dory niema na nią środka. Z rozpaczą w sercu musiałem się jednak uśmiechać, dla niej miałem siłę ukrywać ból straszny.

Straszny, bo dni jej były policzone, może nawet godziny. Nie wychodziłem z domu, prawie nie odstępowałem od jej łóżka.

Wtem uczuła się lepiej. Zaczęła marzyć o podróży, o domku babki, wydawało jej się, że siły przybywają.

Lecz wiedziałem, że to złudzenie, zwykłe w tej okropnej chorobie.

I pewnej nocy odeszła tak cicho, że nikt nie wiedział, kiedy się to stało.

Niepodobna mi pisać o tych strasznych chwilach…

Gdy wracałem z pogrzebu, byłem tak zgnębiony, że nic mię nie obchodziło na świecie. Nie odczułbym w tej chwili żadnego nieszczęścia. Los mię wystawił na próbę.

W domu zastałem list pilny. Wuj Dan, brat Peggotty, wzywał mię natychmiast do Yarmouth.

I wyruszyłem prawie obojętny, nawet nie usiłując odgadnąć przyczyny tego dziwnego wezwania.

Na stacji dyliżansów oczekiwano na mnie. Mówiono o burzy, usłyszałem imię Steerfortha.

Wkrótce zobaczyłem go po raz ostatni. Leżał piękny, jak we śnie, zdrów, silny i młody, leżał martwy na marach, jak niegdyś na łóżku, kiedy opowiadałem mu powieści.

Wpatrywałem się długo w te rysy tak drogie i zaszlochałem wreszcie. Opuszczali mię pierwsi towarzysze wspólnej wędrówki przez życie.

Zdawało mi się, że sam pozostałem.

Lecz skądże wziął się tu Steerforth?

Rybacy opowiadali o nieszczęściu. Burza, jakiej nie pamiętano, rozszalała się na morzu i lądzie. Okręt hiszpański rozbił się u brzegu w oczach bezradnych widzów, gdyż ratunek był niepodobieństwem. Opisywali mi ten straszny obraz. Ryk fali, wycie wichru, miotanie się na brzeg spienionych bałwanów, łoskot padających masztów, trzask druzgotanych szczątków okrętowych łączył się z krzykiem ludzi i odgłosem dzwonka na głównym maszcie ginącego statku. Rozbitkowie walczyli z odwagą rozpaczy. I widziano Steerfortha, jak uwijał się z siekierą w ręku, przecinając splątane liny, rąbiąc zwalone maszty. Wyróżniał go obcisły fez czerwony, który widniał z daleka, nie zerwany z głowy przez orkan.

Gdy okręt poszedł na dno, uczepił się masztu i dawał znaki ręką. Kilku najodważniejszych rzuciło się pomimo wszystko na ratunek, lecz fala odtrąciła na brzeg poranionych, a wysoka zielona góra z białą grzywą pokryła wszystko śmiertelnym całunem.

Nazajutrz fala wyrzuciła zwłoki.

Siedziałem przy nim, póki nie przygotowano pogrzebowego wozu, który miałem odprowadzić do rodzinnego domu przyjaciela. Siedziałem i patrzyłem na obrazy, długą wstęgą przesuwające się w mej wyobraźni. Widziałem go w Salem House, wyższego od nas wszystkich, wodza niezależnego, zuchwałego. I cicho przesunęła się blada i nikła postać nauczyciela, pana Mella, którego usunął ze swej drogi wyniośle i z krzywdą…

I widziałem go w jego domu, otoczonego miłością i zbytkiem, bożyszcze matki, władcę nieograniczonego, którego wola była dla wszystkich wyrokiem. Lecz on w tym domu był gościem jedynie, jego energja nie miała tu pola.

Potem w Londynie. Czyż był złym duchem dla mnie?… Czy Ania miała słuszność?… Wybryk młodości to rzecz tak zwyczajna — zwłaszcza, że — jakież on miał obowiązki? Co go wiązało z ludźmi prócz zabawy?

Sam powiedział: źle zostałem wychowany…

Może z czasem byłby się zmienił, przesycony pogonią za przyjemnościami, coraz nową rozrywką. Czyż nie powiedział, że puchar rozkoszy wyczerpuje się prędko? Czy go wychylił do dna?… Co mu przyniósł ten rok ostatni?…

Leży martwy i piękny, życie nie powróci, jakiż ślad po nim został? Jakie u ludzi wspomnienie?

Zdawało mi się, że widzę przed sobą bezcenne skarby ducha zmarnowane, inne rozbicie okrętu wśród burzy… I ból ściskał mi serce, oddałbym pół życia, gdybym mógł przelać je w pierś przyjaciela…

Gdy stanąłem przed matką, nie mogłem znaleźć słowa. Jak powiedzieć jej rzecz tak okropną?

— Czy pan chory? — spytała, widząc moją bladość.

— Nie, pani — wyjąkałem drżącym głosem.

— Mój syn? — szepnęła nagle przerażona.

— Słaby — odpowiedziałem bezdźwięcznie.

— Gdzie on? — krzyknęła prawie i chciała się podnieść, lecz zrozumiała wszystko z wyrazu mej twarzy.

Nie widziałem takiej bladości, jaka okryła ją nagle. Wyprostowała głowę, oczy stanęły słupem, zesztywniała.

Panna Róża z krzykiem rzuciła się ku niej, zadzwoniłem na służbę, wezwano doktorów. Pani Steerforth leżała sztywna, skamieniała, bez ruchu i bez mowy, cichy jęk tylko od czasu do czasu był oznaką życia i bólu.

Złożyliśmy w rodzinnych grobach jego zwłoki. Odjechałem.

Powróciłem tak wyczerpany, że już nie miałem siły nawet cierpieć. I we mnie życie skamieniało. Wszystko było mi obojętne, nawet współczucie babki i obecność Ani; nie mogłem wskrzesić w sobie żadnej iskierki uczucia.

Wtedy babka i Ania zmusiły mię prawie do wyjazdu na czas jakiś zagranicę. Traddles załatwił za mnie wszelkie formalności,

jak dziecko odprowadzili mię wszyscy na statek.

Rachowały na zmianę wrażeń, na konieczność zajęcia się codziennemi sprawami.

Trzy lata trwała moja nieobecność w kraju. Z początku bezmyślnie przenosiłem się z miejsca na miejsce, uciekając przed sobą samym, patrząc, ale nie widząc, obojętny na wszystko, co mię otaczało, zmartwiały we własnym bólu.

Ocknąłem się dopiero po kilku miesiącach w Szwajcarji. Była to dziwna chwila. Schodziłem stromą ścieżką ku dolinie, w której tuliła się niewielka wioska, tonąc w świeżej górskiej zieleni. Na skałach gorzało zachodzące słońce, z dołu płynęły echa dalekiego śpiewu, i ten spokojny obraz pięknego wieczoru na tle majestatu wspaniałej natury przemówił do mnie wreszcie. Głęboko wzruszony, rzuciłem się na mchy wilgotne i płakałem głośno i długo, a ze łzami spływało z duszy odrętwienie.

Zatrzymałem się tutaj, osiadłem na dłużej, z nieznaną mi rozkoszą odczuwając piękno przyrody i z zajęciem obserwując ciche życie ludzi prostych i dobrych. Zajrzałem w serca i znalazłem w nich skarby wielkie, połączyła mię z nimi przyjaźń. Robiłem dłuższe i dalsze wycieczki, lecz wracałem tu stale, witany radośnie, żegnany zawsze z żalem. Odczułem znowu słodycz życzliwych stosunków i podziału radości i smutku. Wtedy oceniłem swoje samolubstwo, osądziłem surowo niewdzięczność i słabość, zrozumiałem, że nie mogę być wyjątkiem od powszechnego prawa, które wszelkie życie splata z bólu i szczęścia, że męstwo jest obowiązkiem w tej walce, a współczucie dla bliźnich koi cierpienia własne.

Przyznać muszę, że listy Ani najwięcej mi do tego dopomogły. Dotąd przesyłałem do Anglji tylko krótkie karty z nowym adresem i wiadomością o zdrowiu, stąd doniosłem pierwszy raz, że mi tutaj dobrze i że zostanę dłużej. Wkrótce otrzymałem odpowiedź i pierwszy list dłuższy od Ani.

Pisała po swojemu: serdecznie i prosto. Wyrażała ufność w moje moralne siły. Mówiła o cierpieniu jak o rzeczy nieuniknionej, od której życie wolne być nie może, które

podnosi często naszą wartość, a pogłębia wszystkie uczucia i myśli. Człowiek silny z tej próby wychodzi zwycięsko, uszlachetniony i z bogatszą duszą. Pytała, czy pracuję i co robię. Potem kilku słowami przeniosła mię w czasy dzieciństwa, przypomniała szczęśliwe chwile, wywołała uśmiech na usta i zbudziła słodkie wspomnienia i spokojne, poważne myśli.

Jej list pokrzepił mię jak dłoń przyjazna. Odczytałem go kilkakrotnie i odpisałem tego samego wieczora, przyznając, że jak dawniej potrzebuję jej serca i rozsądku, gdyż sam sobie widocznie wystarczyć nie umiem.

Odtąd wymienialiśmy listy dosyć często. Z wolna w mej wyobraźni snuć się zaczęły pomysły, przejrzyste cienie, żądające kształtów, zbudziła się twórczość tak długo uśpiona i zacząłem pracować, pisać.

Pierwszą skończoną pracę posłałem na ręce Traddlesa i sprawiło mi wielką przyjemność jej ukazanie się w postaci książki. Zapał autorski ocknął się z całą potęgą, dając mi chwile najwyższej rozkoszy i nieznanego szczęścia. Imię moje stało się znane powszechnie.

Zatęskniłem wreszcie do swoich, do kraju, i zacząłem rozmyślać o niespodziance powrotu. Poco ich mam uprzedzać? Czy nie milsze będzie zjawienie się moje bez przygotowania? Uczułem, że ich kocham serdecznie, gorąco, że mam jeszcze na świecie drogie mi bardzo istoty.

To też radosna była chwila powitania, kiedy znalazłem się w domu Traddlesa. Pani Zofja śmiała się wciąż srebrnym śmiechem, a zacny Tomek jeżył niesforną czuprynę, coraz to w inny sposób okazując swe zadowolenie.

Prosiłem go o dyskrecję, gdyż chciałem i babce zrobić niespodziankę, lecz przedtem zamierzałem odwiedzić swe rodzinne gniazdo i cichy cmentarz, gdzie stare drzewa już tak dawno szumiały nad grobami moich rodziców.

Uścisnąwszy dłonie przyjaciół, wsiadłem wreszcie do dyliżansu i o wieczornej porze wpadłem jak mały chłopiec do pokoju, gdzie babka w okularach siedziała przy stole, pijąc herbatę i rozmawiając z panem Dickiem.

Jaki hałas powstał nagle w całym domu, trudno by było opisać dokładnie. Przybiegła Peggotty i padła mi z płaczem w objęcia. Pan Dick śmiał się i ściskał moje ręce, a babka wzywała wszystkich do porządku, ponieważ muszę być głodny.

Naturalnie że gawędziliśmy do północy i że spałem w swoim pokoju na górze, w tym samym, który zajmowałem niegdyś.

XXI. SZCZĘŚCIE.

Nazajutrz pojechałem konno do Canterbury.

Wiedziałem od miss Betsy, że pan Wickfield odzyskał dawny spokój. Biura już nie prowadzi, lecz jest przez całe miasto ukochanym doradcą prawnym wszystkich pokrzywdzonych i ubogich. Zajmuje mu to nieraz wiele czasu, ale daje zarazem tyle zadowolenia, że nie wyrzekłby się za nic tej pracy. Oprócz tego wynajął sobie spory ogród i sam się nim zajmuje z wielkiem zamiłowaniem.

Ania ma szkołę dziewcząt, kilka u niej mieszka, jest, jak była, poważna i pogodna. Kilkakrotnie mogła wyjść za mąż, ale nie chce.

— Dlaczego? — zapytałem niespokojnie.

— Nie wiem — odparła babka. — Zdaje mi się...

— Babci się zdaje?...

— Może mi się tak zdaje — rzekła babka. — Może nawet nie powinnam tego mówić... Tak sobie wyobrażam, że Ania dawno kogoś kocha...

Jakież dziwne wrażenie zrobiło na mnie to ciche i tak dobrze znane mi miasteczko. Pamiętałem tu niemal każdy kamień. Zatrzymałem się dłużej przed starym domem pana Wickfielda, gdyż serce mi tak biło, że nie miałem odwagi zadzwonić. Spojrzałem w okno, gdzie ujrzałem po raz pierwszy trupią twarz Urji Heepa i gdzie następnie pracował Micawber. Teraz białe firanki i kwiaty na oknie świadczyły, że miał inne przeznaczenie.

Otworzyła mi nieznana służąca i wskazała tę samą drogę, którą wszedłem przed laty do bawialnego pokoju.

Nic się tu nie zmieniło. Każdy sprzęt stał znowu na tem samem miejscu, jak niegdyś, jak przed laty, kiedy mieszkałem w tym domu. Ślady najścia rodziny Heepów zniknęły bez żadnego

śladu. Poznałem w rogu biurko, przy którem odrabiałem lekcje, i książki, które czytaliśmy z Anią.

Stanąłem w oknie i objąłem pokój jednem serdecznej sympatji spojrzeniem.

Wtem otworzyły się małe drzwi z boku i stanęła w nich Ania.

Spojrzeliśmy na siebie. Postąpiłem szybko krok naprzód, a ona wyciągnęła do mnie prawą rękę, a lewą przycisnęła serce z wyrazem cichej radości na twarzy.

— Aniu, najdroższa Aniu!

Objąłem ją w ramiona i przycisnąłem do piersi. Nigdy jeszcze nie czułem tak wyraźnie, jak mi jest potrzebna i droga.

Usiedliśmy na chwilę na małej kanapce, wypytywała o powrót, o babkę, mówiła o ojcu z dumą i radością.

Musiała jednak odejść, gdyż dzieci czekały. Wyszedłem tymczasem na miasto.

Przebiegałem ciche ulice, pełne pamiątek i wspomnień zajrzałem na podwórze dawnej szkoły, zatrzymałem się w miejscu, gdzie dwukrotnie walczyłem z atletą-rzeźnikiem. Zobaczyłem go nawet w jego własnym sklepie obok tęgiej żony i zdrowych dzieciaków. Tu tańczyłem na balu z panną Larkins, w tym kościele zachwycałem się tą blondynką… jakże ona się nazywała?

— Powróciłem na obiad. Pan Wickfield powitał mię serdecznie. Twarz miał pogodną, zdrową, chociaż przebyte cierpienia zostawiły na niej niezatarte ślady.

Po obiedzie Ania grała nam, jak dawniej, mówiliśmy o dawnych czasach, tamtych spokojnych i dobrych, zdawało nam się, że wróciły znowu.

Spałem w swoim dawnym pokoju i nazajutrz powróciłem do domu, żałując, że do Duwru jest parę godzin drogi.

Zamieszkałem u babki i zająłem się pracą autorską. Było mi tu tak dobrze i spokojnie, mogłem widywać Anię, ile razy chciałem, miałem tak blisko wszystkich ukochanych, bo i z Traddlesem łączyły nas częste stosunki, odwiedzaliśmy się nawzajem.

— Czy wiesz — zapytał kiedyś — co się stało z Heepem?

— Jestem szczęśliwy, że go nie spotykam i nie słyszałem o nim.

— Sfałszował znowu podpis i podniósł z banku cudzą sumę. Niedawno była sprawa. I dziwny zbieg okoliczności: siedzi w więzieniu, którego dozorcą jest obecnie… pan Creakle!

— Wszystko mi jedno — odpowiedziałem obojętnie — pragnę wspomnienie obu wykreślić z mego życia.

Pani Zofja była niezwykle wesołą i energiczną osóbką, rządziła mężem, dziećmi, gospodarstwem, nigdy nie brakowało jej humoru, wszędzie wnosiła z sobą trochę szumu, lecz zostawiała najmilsze wspomnienie.

Wolałem jednak moją cichą Anię. Coraz jaśniej zdawałem sobie sprawę, że kocham ją najszlachetniejszą miłością, która wzrastała ze mną, była szczęściem mego dzieciństwa, przetrwała burze życia i nic jej zachwiać nie zdoła.

Ale czy ja dla Ani jestem tem, czem ona dla mnie?

Od dwóch miesięcy widywałem ją każdego tygodnia, a czasem nawet częściej, ale jej twarz pogodna nic mi nie mówiła. Czy babka miała słuszność? Czy kochała kogo dawno w tajemnicy? Dlaczego nie powiedziała mi o tem, jeżeli ja tak szczerze otwierałem przed nią zawsze moje serce?

Postanowiłem zapytać ją otwarcie.

Wybrałem się konno w piękny dzień zimowy po lekkim śniegu, który przyprószył ziemię i błyszczał teraz w słońcu jak rozsypane brylanty.

Ania była swobodna, gdyż na czas świąteczny wszystkie dzieci rozjechały się do domów, ale ja, zaprzątnięty swoją myślą, jakoś nie wiedziałem, jak pokierować rozmową.

— Co ci jest? — rzekła Ania. — O czem myślisz, Dewi?

— O tobie, Aniu — odparłem, podnosząc na nią spojrzenie. — Powiedz mi, czy mogłabyś mieć tajemnicę przede mną? Przede mną, który zawsze byłem z tobą szczery?

Twarz Ani oblała się nagle rumieńcem, spuściła powieki, a łzy zadrżały na jej rzęsach.

— Aniu — mówiłem, biorąc jej rękę serdecznie — wiem, że nie prosi się o zaufanie, ale czy sądzisz, że ja nie mam prawa…

że ja… że ja…

— Nie mów, nie mów — prosiła — może masz zupełne prawo… ale…

— Kochasz kogoś od dawna?

— Całe życie.

— Całe życie! — powtórzyłem. — A ja myślałem, Aniu… a ja… miałem nadzieję… widzisz, byłem tak głupi, że się spodziewałem, że ty… że ja… bo nikt cię tak kochać nie może, jak ja cię kocham, Aniu.

— Dewi — szepnęła, podając mi ręce.

Zrozumiałem jej tajemnicę i uszczęśliwiony porwałem ją w ramiona.

— Moja, moja Aniu!…

Nazajutrz pojechaliśmy we dwoje do Duwru.

Babka siedziała z panem Dickiem przed kominkiem. Obejrzała się na nas, zdjęła okulary, przetarła je starannie, włożyła znowu i spojrzała na nas powtórnie. Ale nic nie odgadła, gdyż umówiliśmy się z Anią udawać przez czas jakiś niewiniątka.

Westchnęła i odwróciła się do pana Dicka, powitawszy nas serdecznie, lecz z pewną niechęcią. Wiedziałem, co to znaczy: miała wielki żal do mnie, że nie umiem ocenić i zrozumieć Ani.

Wtedy spojrzeliśmy na siebie z uśmiechem, objąłem ją wpół, stanęliśmy za krzesłem miss Betsy i szepnąłem:

— Babuniu!…

Obejrzała się i klasnęła w dłonie. Nagle zerwała się z miejsca, zaczęła wołać Peggotty prawie przeraźliwym głosem, rzuciła się panu Dickowi na szyję ku najwyższemu jego przerażeniu, wreszcie się rozpłakała i zaczęła ściskać nas oboje.

Peggotty i pan Dick także zrozumieli wreszcie, o co chodzi, i wszyscy byliśmy niezmiernie szczęśliwi.

— Ach, ty, ślepy chłopaku! — powiedziała raz jeszcze babka, uderzając mię po ramieniu.

W parę dni później pojechaliśmy oboje do Londynu, przede wszystkiem ażeby odwiedzić grób Dory.

Biedne, kochane dziecko! Teraz przyznała się Ania, że w ostatnich rozmowach prosiła jej zawsze, aby zajęła przy mnie opuszczone miejsce. Biedne, kochane dziecko!

Ślub nasz odbył się cicho w ciągu dwóch tygodni. Czas jakiś mieszkaliśmy w Canterbury ze względu na pana Wickfielda, któremu przykro było rozstać się ze starym domem, ale na lato przeniósł się z nami do Duwru i przyszedł do przekonania, że wśród dzieci i wnuków wszędzie szczęśliwym być może.